



Magdalena Cylwik

Technikum Grafiki i Poligrafii Cyfrowej
Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Białymstoku

epea

Nabór tekstów

PISZESZ

wiersze, opowiadania, reportaże, eseje, dramaty, felietony lub literaturę dziecięcą?

PRAGNIESZ

podzielić się swoją twórczością z innymi?

PRZEŚLIJ

zgłoszenie na adres e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl.

**KSIAZNICA
PODLASKA**
WYDAWNICTWO

pismo literackie

epea

ISSN 1733-8352

nr 1/2024 (12)



Epea. Pismo literackie

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
ul. Marii Curie-Skłodowskiej 14A, 15-097 Białystok
e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl

**KSIĄZNICA
PODLASKA**
WYDAWNICTWO

Nieregularnik, nakład 300 egz.
ISSN: 1733-8352

Redaktor naczelny: Piotr Janicki
Redakcja: Paulina Maria Reszotko, Ewelina Biernaś, Artur Jan Szczęsny, Mona Al-Kaber, Daniel Znamierowski

Projekt graficzny: Małgorzata Masłowiecka

Skład i łamanie: Nowe Kreski Mariusz Korolczuk



Hanna Paszukow



Katarzyna Śmigieliska

Dialog. Wewnętrzna sprawa dialogu

Są ryby i kiedy powie się „ryba”, to wszystko pasuje, lecz kiedy powie się „strzebla potokowa”, to zaczyna się pasowanie ryb. Jest też dialog i kiedy powie się „dialog”, i kiedy doda się, że żyje on właściwie dla siebie samego, to nie pasuje ani jego słowo, ani „ryba”. Kochamy to prawie tak bardzo jak naszych autorów. Tylko zajrzyjcie do spisu treści!



DRAMAT

- 4 | **Karol Maliszewski**, *Czternasta siedem. Moralitet buffo* (fragmenty)

PROZA

- 12 | **Mateusz Górniak**, *Legenda o Głupku* (fragmenty)
 18 | **Marta Kułaj**, 2 opowiadania
 21 | **Magdalena Hirsch**, *Inner inferno*
 27 | **Paweł Hohmann**, *Kwiecień pomiędzy zdjęciami*

ROZMOWA

- 32 | **Agnieszka Wolny-Hamkało**, **Piotr Janicki**, *Rozmowa o pojęciach*

ESEJ

- 36 | **Andrzej Sosnowski**, „*Hel 1*”
 40 | **andrzej woźniak**, *grunt, że razem*

POEZJA

- 44 | **Justyna Kulikowska**, *Cztery rzuty bumerangiem*
 47 | **Mateusz Guzy**, 4 wiersze

- 51 | **Maciej Julian Krotke**, 5 wierszy
 55 | **Jakub Ząbkiewicz**, 9 wierszy
 58 | **Julek Rosiński**, 6 wierszy

ROZMOWA

- 62 | **Kamil K. Pilichiewicz**, *Rozmowy Świetlickiego z Miłoszem ciągi dalsze*

ESEJ

- 66 | **Olga Rembélińska**, *Wałdowo. Gawęda*
 70 | **Michał Mytnik**, *Nollywood a sprawa dialogu międzykulturowego*
 78 | **Olga Rembélińska**, **Michał Mytnik**, *Oralna iluzja słowa*

PROZA

- 80 | **Michał Pięta**, *Olendry*
 82 | **Sławomir Bączkowski**, 2 opowiadania
 84 | **Jean Anglemont**, *Na imię mi Erywań*
 93 | **Katarzyna Chomczyk**, *Stolica życzliwości*

DRAMAT

- 95 | **Robert Traczyk**, *AskAPP* (fragmenty)

POEZJA

- 105 | **Dragan Jovanović Danilov**, 3 wiersze
 110 | **Michał Czarnota**, *po bandzie*
 112 | **Tristan Korecki**, *Witebsk*



21 |
Inner inferno
 – Magdalena Hirsch



MALARSTWO

114 | **Adam Obuchowicz**, *Smoki*

POEZJA

118 | **Alhelí Málaga**, 4 wiersze

122 | **Marcin Liszkiewicz**, 3 wiersze

124 | **Karolina Krasny**, 4 wiersze

ROZMOWA

126 | **Dawid Bujno, Piotr Janicki**, *Łepicka, Kapusta, Szymczyk i inni*

PROZA

130 | **Aleksandra Krysińska**, *Diagnoza*

132 | **Jan Dulka**, 2 opowiadania

136 | **Roksolana Zharkova**, *On, ona, oni*

138 | **Barbara Żakiewicz**, *Aklimatyzacja*

143 | **Jacek Bierut**, *Ludzie* (fragmenty)

RECENZJA ODZYSKANA

150 | **Marcin Hanuszkiewicz**, *Rozwibrowanie przeciwnieństw*

DLA DZIECI

154 | **Krzysztof Puławski**, *Słonik na podstawie bajki The Elephant Child Rudyarda Kiplinga*

159 | **Jeremi Siudyła**, *O księżniczce Janinie, lubelskiej baszcie i strzałach w wąwozie*



36 |
„Hel 1”
– Andrzej Sosnowski



143 |
Ludzie
– Jacek Bierut

Karol Maliszewski

Czternasta siedem. Moralitet buffo (fragmenty)

II (odgłosy przyrody)

Wierny Uczeń IV porusza się w ciemności. Coś usiłuje mówić, jest to jednak niejasne, bełkotliwe.

Wierny Uczeń IV

Wy, wy, wy... wywieźli nas za miasto, ale nie, nie, nie można było, wy, wy, wywieźli, ale nie pozwolili...

Jednocześnie zapala się światło i rozlega kakofonia dźwięków. Wierny Uczeń IV nieruchomieje, kuli się, zasłania jak przed kolejnym uderzeniem. Pada na kolana. Z jazgotu nakładających się na siebie informacji wyłania się klarowny głos spikera.

Spiker

W tej chwili mamy czternastą siedem. Przed państwem...

Wierny Uczeń IV powoli podnosi się, uspokaja. Po chwili unosi wyżej głowę, zaczyna śmiało iść. Mówi coraz wyraźniej, głośniej.

Wierny Uczeń IV

Przed państwem i nie przed państwem. Przed samym sobą, w sobie, dla siebie.

W szumie dochodzi do głosu gdacząco-skandujący chór.

Chór

Kim ty jesteś? Kim ty jesteś... nie to, nie to, nie to, kim ty jesteś, kim ty jesteś, że to, że to...

Wierny Uczeń IV

Jak nie to, to właściwie co? Co ma być według was, co jest naprawdę ważne, co potrzebne? Komu?

Chór

Gdzie twój, gdzie mistrz, gdzie twój, gdzie mistrz...

Wierny Uczeń IV

Trafiłem na takiego, którego nie ma. Muszę sam...

Chór

Musi sam, a ja jaj, musi sam, a ja jaj, a to cham, a to cham...

Wierny Uczeń IV

Nie cham, tylko człowiek chory, uzależniony. Mój mistrz jest ciągle pijany, więc muszę sam.

Spiker

Powtarzam, w tej chwili mamy czternastą siedem. Przed państwem...

Wierny Uczeń IV

Potem nas wywieźli daleko za miasto,
mamy się zachwycać i natychmiast pisać
[...]

IV (w jakim szumie?)

W ciszy i ciemności poruszenie. Nagle reflektor wyluskuje postać przycupniętą na krawędzi sceny. To Wierny Uczeń I.

Wierny Uczeń I

Mistrzu, jest tam mistrz?

Wierny Uczeń I podnosi się, idzie wzdłuż krawędzi sceny, dochodzi do kulis.

Wierny Uczeń I

Gdzie się mistrz schował?

Wraca na środek sceny. Wpatruje się w publiczność.

Wierny Uczeń I

Co ja mam teraz zrobić?

Wchodzi Organizator.

Organizator

Halo, a pan co tu?! Co się pan tak błąka? Zajęcia dawno się zaczęły, co pan tu robi?

Wierny Uczeń I

Czekam na mistrza, ale on nie nadchodzi.

Organizator

Mówilem wyraźnie: trzymać się harmonogramu i wskazanych pomieszczeń.

Wierny Uczeń I

Mój mistrz chciał je opuścić, wyjść na zewnątrz. Chciał mi więcej pokazać, w pomieszczeniu źle się czuł.

Organizator

A który to był? Ten z bródką, przysadzisty, ciemne okulary?

Wierny Uczeń I

Wypisz wymaluj!

Organizator

Wypisz, wypisz... Z malowaniem się wstrzymać, warsztaty plastyczne będą za tydzień... (*do siebie*) O, to się dopiero banda zjedzie.

Wierny Uczeń I

Proszę?! Co pan powiedział?

Organizator

Coś się panu przesyłało... w tym szumie!

Wierny Uczeń I

W jakim szumie?

Organizator

No, w tym...

Podchodzi do ściany, coś naciska. Agregaty szumu ruszają. Organizator wychodzi.

Wierny Uczeń I

No tak, wszystko jasne. Nie ma mistrza, jest szum.

W szumie słuchać skandowanie chóru.

Chór

Kim ty jesteś? Kim ty jesteś? Kim ty jesteś?

Wierny Uczeń I

To akurat najmniej ważne. A ty, kim jesteś, co? Odpowiesz mi czy nie?

Chór

Kim ty jesteś? Kim ty jesteś? Kim...

Wierny Uczeń I (przedrzeźnia)

A czym ty jesteś? A czym ty jesteś? Czym, do cholery, jesteś...

W szumie słychać odpowiedzi chóru. Są niewyraźne, nie można ich zrozumieć.

Wierny Uczeń I

Kto tobą manipuluje, żeby potem manipulować mną?!

Na chwilę szum zamiera. Cisza.

Wierny Uczeń I

A więc to tak... Kłopotliwe pytania dla szumu, kłopotliwe pytania dla tłumu... Tu tkwi tajemnica. Ludzie!!! Ja się zaczynam do czegoś dobierać, coś się zaczyna odsłaniać przede mną!

Pojawia się szum, a w nim słycać dyskusję, zgrabne kadencje; intonacja elegancko wznosi się i opada. Wreszcie strzęp czegoś wyraźnego dobiega do uszu widzów.

Dyskutant Pierwszy

Nie róbmy tajemnicy tam, gdzie jej nie ma.

Dyskutant Drugi

Nie róbmy? Jak to nie róbmy? Tajemnicy się raczej szuka, a nie robi, szanowny panie...

Głosy słabną, zanikają, już tylko cień przekomarzania.

[...]

VIII (dowód)

Ciemność i szum, który narasta, eksplodując paroksyzmami krzyków, rozmów, ostrych dźwięków muzyki. Raz po raz rozbłyśka światło. Trwa to kilka minut. Przez chwilę słycać transmisję z meczu piłkarskiego, falset emocjonującego się komentatora wypełnia przestrzeń. Na scenę wpada Wierny Uczeń I. Natychmiast dopadają go głosy chóru.

Chór

Kim ty jesteś? Kim ty jesteś? Kim ty jesteś?

Wierny Uczeń I wybiega. Za chwilę sytuacja powtarza się. Pojawia się zdyszany Wierny Uczeń II.

Chór

Kim ty jesteś? Kim ty jesteś? Kim ty jesteś?

Wierny Uczeń II wybiega, mijając się z Wiernym Uczniem III. Chór natychmiast zaczyna swoje skandowanie.

Chór

Kim ty jesteś? Kim ty jesteś? Kim...

Wierny Uczeń III

Serdecznie dziękuję za ciekawość! Do tej pory mało kto się mną interesował.

Chór

Ale kim ty jesteś? Jesteś kim? No powiedz, kim ty jesteś?

Wierny Uczeń III

Pytanie źle postawione. W tej chwili ważne jest inne. Kim byłem, kim tutaj się stałem i, dalej idąc, kim będę.

Chór

Jak to kim będę? Będę kim jak to? O, kur, o, kur, jak to będę? Ty będziesz, on będzie. . .

Wierny Uczeń III

Tak jest! My będziemy, nie poddamy się tak łatwo, nie zrobicie z nas małpek na smyczy.

Chór

Nie zrobimy, nie zrobimy. . . Jak to kim jesteś? Kim byłeś? Kim będziesz jak to?

Wierny Uczeń III

Tak to!!! I nie inaczej! Widzimy smycz i zamierzamy ją przegryźć!

Chór

Widzą i zamierzają, zamierzają i widzą! Ale kim ty jesteś, kim ty jesteś, jesteś, jesteś. . .

Wierny Uczeń II

Już dajcie, kurwa, spokój, dowód mam pokazać czy jak?

Głos chóru zanika na rzecz „ludowych” rytmów.

[...]

IX (dofinansowanie już się skończyło)

Jednostajny szum jak zawsze. Scena rozświetlona, powiew powietrza porusza rozrzuconymi kartkami. Na scenę wchodzi Wierny Uczeń IV, ściskając w ręku walizkę. Odstawia ją. Usiłuje złapać jedną z kartek. Uda mu się. Ogląda się za siebie nerwowo.

[...]

Spiker

W tej chwili mamy czternastą siedem. Przed państwem po raz ostatni radiowy kącik poezji. Na prośbę słuchaczy rezygnujemy z tej formy popularyzacji literatury. Do zobaczenia, do usłyszenia, poezjo. Może kiedyś w innym wcieleniu. . .

Wierny Uczeń IV (*w czasie jego recytacji szum stopniowo słabnie, by całkowicie zniknąć przy fragmencie „A kiedyś jeden”; po skończonej recytacji szum wybucha ze zdwojoną siłą*)

Stare konie w literackim biurze,
w ich dłoniach karteczki,
na których bardzo chcą pomieścić
za długie wiersze,

ktoś decyduje o długości,
inny chytrze określa zakres treści,
późnym wieczorem przychodzi kierownik
i decyduje, czy wpiąć do akt.

Kogo nie wpięto,
natychmiast wyjeżdża,
dofinansowanie już się skończyło,
klucz z plastiku nie otwiera drzwi.

A kiedyś jeden się postawił,
spal na wycieracze,
donosiliśmy mu ciastka
i resztki z obiadu.

Miał tak długie włosy,
że chyba był dziewczyną.
Zbuntowaną całkiem jak ta
z oglądanego przez Polskę serialu.

Wierny Uczeń IV zgina kartkę. Wciska ją sobie do kieszeni. Chwyta walizkę. Wychodzi.

X (po krzyku)

Scena nadal rozświetlona. Szum nie ustaje. Na scenę wpadają rozjuszoni, spoceni adepci. Wierny Uczeń III trzyma w dłoni kij bejsbolowy. Dwaj pozostali ciągną długie kawałki smyczy.

Wierny Uczeń III

No mówię wam, że to gdzieś tu było... Ten szum jest sterowany! Poddaje się nas jego presji!

Wierny Uczeń II

Dobrze mówi! Zlikwidować, kurczę, zlikwidować!

Wierny Uczeń I

Zniszczmy źródło, zniszczmy, a ustanie ta gonitwa myśli, nie naszych myśli...

Wierny Uczeń II

Myślisz, że to wystarczy?

Wierny Uczeń III

Więcej, trzeba więcej, koledzy, do boju!

Wierny Uczeń III rzuca się z krzykiem w kierunku ściany. Zaczyna ją okładać kijem bejsbolowym. Z każdym uderzeniem słyhać zakłócenie szumu. Wreszcie coś strzela w ścianie, iskrząc, wybuchając. Szum dławi się, zamiera.

Wierny Uczeń III odwraca się do pozostałych.

Wierny Uczeń III

I po krzyku...

Podchodzi do krawędzi sceny, powtarza głośniej.

Wierny Uczeń III

I po krzyku!

Dołącza do niego Wierny Uczeń II.

Wierny Uczeń I

Teraz będzie dużo ciszej!

Wierny Uczeń I podchodzi do krawędzi sceny.

Wierny Uczeń I

A to bydło pogonimy, zobaczycie...

*Adepci podnoszą ręce jak do ślubowania. Mamrocą coś pod nosem.
Wyciemnienie.*

XI (koniec poezji)

Przeraźliwa cisza. Nagle tupot i wrzaski. Rozbłysk światła. Wpadają przerażeni prowadzący. Za chwilę znikają za kulisami. Znow stamtąd wybiegają.

Mistrz Pierwszy

Jezu Chryste, co ich napadło?

Mistrz Drugi

Jezus ci nie odpowie, nie w tej sztuce bynajmniej...

Mistrz Trzeci

A co? Gra w tej chwili w innej?

Mistrz Drugi

W ogóle nie gra. Dawno leży w grobie.

Mistrz Pierwszy

Panowie, zaraz my tam będziemy leżeć! Nie wiem, co tych gówniarzy napadło.

Mistrz Trzeci

Dawno nie było tak kapryśnego rocznika.

Mistrz Drugi

Nooo, wszystkiego im mało.

Mistrz Pierwszy

Zajebiecie... roszczeniowi!

Mistrz Trzeci

Ciszej, bo jeszcze usłyszą...

Milkną. Przez chwilę lekliwie nasłuchują.

Mistrz Drugi (szepcem)

To jest właśnie ten ich wkurw...

Mistrz Pierwszy (głośniej)

Ale żeby aż tak... I to ma być kultura? To ma być poezja?!

Mistrz Drugi

Nie ma już poezji!

Mistrz Trzeci

Nie ma już poezji takiej, jaką znaliśmy...

Mistrz Pierwszy

Ale takiego turnusu jeszcze nie mieliśmy!

Mistrz Drugi

I nigdy nie będziemy mieli.

Mistrz Trzeci

Bo nie będzie żadnych turnusów, żadnych warsztatów, skończyło się...

Mistrz Pierwszy

Cicho! Coś usłyszałem...

Do uszu widzów dobiegają gwałtowne odgłosy, słycać krzyki. Mistrzowie wybiegają.

KAROL MALISZEWSKI

– (urodzony 27 lipca 1960 w Nowej Rudzie) polski poeta, prozaik, krytyk literacki, literaturoznawca, doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego.

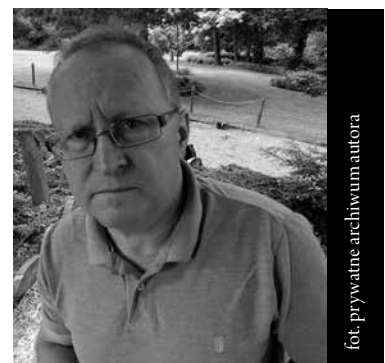


foto prywatne archiwum autora

Mateusz Górniak

Legenda o Głupku (fragmenty)

[...]

Cześć słońce cześć niebo cześć ludzie. To ja do was mówię, Głupek. Czasem, jak mam bardzo bardzo bardzo dobry humor, to organizuję sobie w głowie takie mowy do przyszłości, więc witaj kochany słoneczny ludzie i uzbrój się proszę w psotliwość, bo mam bardzo bardzo bardzo dobry humor.

Popatrzcie tylko na mnie! Idziemy za rękę, jego ręka jest ciepła, mokra, mięciutka, a ja mam w skroniach bum bum bum, a pomiędzy mózgowymi oponami tę taką piosenkę – *Apanipinapa* od Lady Ann, Sir Andy Vaney i El Chombo (to ten od *Chacarrón*).

Idziemy i jest dym, bo płonie kosz, idziemy zjeść do baru Bufet kupę i może jeszcze jakiegoś krokicika albo pieczone ziemniaki. On dzisiaj coś smutny, a ja mam ten swój humor bardzo bardzo bardzo dobry, więc ściskam go mocniej za rękę i wtedy słońce robi się bardziej fioletowe (albo czerwone?) i okrąża je taka jedna chmurka, jest naprawdę szybka, jest zupełnie jak jakiś tłusty bączek, i trwa to dłuższą chwilę, nie że za długo, bo dokładnie tyle, ile trzeba.

Idziemy, a z nami dym. To tamten czy jakiś nowy? Bo może to inny kosz płonie? Że to taki dzień, że idziemy, trzymamy się za ręce i podpalamy kosze na śmieci, moim szuranieniem tenisówek i jego stąpaniem dziurawych adidasów, krok za krokiem? Ja nie wiem, jak to jest.

A kto wie? Słońce wie, słoneczko nasze pierdolone – wiedz tak wszystko dalej, kochanie, bo robisz to najlepiej. Kiedy jest takie czerwone albo fioletowe, to ono nas miłośnie rozumie.

Idziemy za rękę przez dym, a to słońce to lampa na pilot, a piloty to różne nasze chęci, jak na przykład moja teraz taka chęćka, żeby mu ścisnąć tę dłoń mocniej, i ta dłoń jest taka śliska, i ona mi się wymyka.

[...]

O, a tam – śmieszny pan! Patrzcie go, idzie sobie w kapelusiku. Kiedy mam bardzo bardzo bardzo dobry humor, lubię patrzeć na ludzi, parzyć ich uśmiechem i wysysać

oczami. Zabawiam się nimi, myślowo igram w takie człowieczkowe gry o losie i miłości.

Temu panu nie ufam. Zwałbym mu ten kapelusik.

I oto wieje wiatr!

Żartowałem, taki wiatr nie zawieje, idziemy dalej, a z nami dym, pan nas właśnie mijają, słońce ma malinowy nalot.

A oto ZĘBY!

Zaczyna się spektakl – usta jak rolety, jak pozioma kurtyna. Przez mgnienie – zęby jak neony, konstelacja prostokątnych księżyców. I mgnienie później – błysk kła, ruch kurtyny, mijają nas zęby, chrzęst rolet, spowija nas dym.

A on to smutas.

I ma taką miękką łapkę, taką mokrą, i ona mi się wymyka.

[...]

Cześć, to ja, Głupek, mam bardzo bardzo dobry humor, bo jest poniedziałek i jestem w szkole, a ja Kocham Chodzić do szkoły, bo mam tutaj swoją bandę i bez przerwy wymyślamy jakieś przygody.

Naszą hersztką jest Amelka. Dziewczyna, która urwała się z choinki. Czy jakoś tak. Nie bolało, gdy lądowała – to wiemy na pewno. Amelka wymyśliła pierwszą przygodę, dlatego jest hersztką. Naszą pierwszą przygodą było utworzenie bandy i to było tak, że Amelka spacerowała sobie po szkolnym boisku i piskliwym głosikiem zawijała taki jeden refren, chodziła w kółko i w kółko przerabiała tych samych kilka wersów, z refrenu na refren coraz piskliwiej. W jednym kącie boiska Szary bawił się patykiem, a w drugim ja jadłem owocka. No i właśnie wtedy na boisko wbiegła Madzia zwana też Małą, która weszła Amelce w śpiewopisk, i nas przywołała, po prostu. Potem każde o sobie opowiadało, a gdy opowieści się wyczerpały, Amelka wszystkich obwąchała i oświadczyła, że jesteśmy bandą.

Naszą wilczycą jest Madzia zwana też Małą. Wygląda jak sierotka bez rączki, ale to dziewczyna typu nija. Rączki nie ma, bo jej zgniła, a potem trzeba było uciąć. Wtedy też została sierotą. To było tak, że najpierw miała małą ranek,

zacięła się na jakimś zasyfionym placu zabaw czy gdzieś, a potem mała ranka stopniowo zamieniała się w dużą ranę, rozlewała jej się po ręce jak jakaś plama, a jej głupia mama cały czas mówiła, że to nic takiego, skoro szczególnie nie boli. Kiedy poszły w końcu do lekarza, było za późno. Rączkę trzeba było uciąć i Madzia została z jedną rączką, a tak się składało, że jej mama miała radykalnie posuniętą nerwicę symetrii. Nie mogła zdzierżyć córki z parą uszu i oczu, dwiema nogami i jedną ręką. Dzień po amputacji spakowała manatki i nigdy nie wróciła; Madzia została sierotą i z małym tobołkiem wsiąkła w miasto. Tak więc, poza byciem wilczycą, Madzia zwana też Małą jest też naszą wtyką w środowiskach sieroco-terrorystycznych. Mieszka w opuszczonym kiosku z Ralfikiem, swoim chłopakiem. Wszyscy trzymamy kciuki, żeby go wyprowadziła na ludzi, jako takich ludzi oczywiście, nie aż tak zjebanych. Bo chłopiec ma cudowne serce, ale tańczy tango z demonami. A ona jest inna, inna niż my i inna niż sieroty-terrorysty. A na czym polega jej bycie wilczycą? Nie wiem. To się jeszcze nie okazało.

Szary to ziomal. Ustami potrafi naśladować kilkanaście instrumentów, wybekuje alfabet, cały czas kłamie, chodzi na rękach, tańczy na głowie, jeździ na desce, mówi po włosku, kuzyn zrobił mu tatuaże, koleguje się z dorosłymi, był w Brazylii, ma gładką skórę i niewinne spojrzenie. Jest bardziej funkcją niż człowiekiem. Czymś pojebanym. Mieszka z braćmi i ojcem, wszyscy mają szare twarze, wszyscy mają gładką skórę i wszyscy mają niewinne spojrzenie. Kiedy jadą razem do supermarketu, to nie wiadomo, kto jest czym bratem albo ojcem, są po prostu szarzy, kłamią, chodzą na rękach, a kuzyn robi całej rodzinie wymyślne tatuaże we florystyczne motywy.

Ja jestem tu majtkiem. Panem cudownikiem. Przyszłem, nie przyszedłem, w wianku na głowie. W teczce mam sto masek, chodzę jak największy luzak.

Nasza banda działa w szkole i na mieście. Siejemy zamęt również w lasach, różnie bywa. Mamy swój harmonogram, rozpisujemy go co tydzień na różne sposoby.

No i dzisiaj, w poniedziałek, mamy występ. Zaplanowaliśmy występ dla całej szkoły. Nic specjalnego. Po prostu dowiedzieliśmy się, że będzie akademie z okazji czegoś-tam, i postanowiliśmy uczcić to na swój sposób, śmieszoną piosenką z Youtube'a i maską, którą Szary ukradł tydzień temu na przymusowej wycieczce do Zakopanego.

Stoimy sobie w rzędku. Kilkadziesiąt dzieci w białych wdziankach, kilkadziesiąt zaspanych i wynudzonych buziek. Starsza pani nas musztruje, trzyma w tym rzędku

i temperuje wzrokiem. Szary przestępuje z nogi na nogę – to znaczy, że jest ziomalem. Stoimy w tym rzędku. Do hymnu – każą śpiewać hymn.

I nagle Szary się śmieje, pierdzi ustami, a ja kręcę na to pupcią i wychodzę na środek, i klaniam się szanownej publiczności.

Szybko dołącza do mnie Szary, beatboxując. Mam na sobie maskę z Zakopanego, słyszę, jak się śmieją. Szary leci i ja lecę, najpierw ślamazarnie, a potem nie:

*Chcę, żeby państwo to usłyszeli
Mamy kurczaki mamy ziemniaki
Chcę, żeby państwo to usłyszeli
Mamy kurczaki mamy ziemniaki*

I wtedy dołączają do mnie na środku Madzia i Amelka. Wajbują do ślamazarzenia, kręcą dupciami, dokręcają piskliwie niektóre dźwięki Szarego, a ja lecę dalej:

*I to są fakty tutaj nad Wisłą
To ja, ja znam receptę
A recepta jest bardzo prosta
I przypomnę jeszcze raz
Proszę tutaj prosto w twarz*

Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki i ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki i ziemniaki Ziemniaki, mniaki, mniaki

Tuskotronic Tuskotuskotuskotronic Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki i ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki i ziemniaki... Ziemniaki, mniaki, mniaki

W tym momencie cała szkoła dostaje pierdolca. Wszyscy lecą ze mną:

Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki i ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki i ziemniaki Ziemniaki, mniaki, mniaki

Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki i ziemniaki Kurczaki ziemniaki Kurczaki i ziemniaki Ziemniaki, mniaki, mniaki

[...]

Moja mama to Ryba. Ale nie taka prawdziwa, nie, nie. Ona ma tak na imię. Choć to nie jest jej prawdziwe imię. Ale używa go jak prawdziwego. I zawsze mówiłem do niej Ryba, nie mama, sama tak chciała.

Ryba daje mi do zjedzenia ryż i ma rozmazany makijaż – nie przez imprezę, drugi raz powtarza.

To znaczy, że w weekend nie było u nas imprezy? Czy że rozmazała sobie ten makijaż już po imprezie? Bo na przykład na imprezie stało się coś, co ją rozplakało? Na całą noc?

Gapi się na mnie. Bo nie jem ryżu, co mi ugotowała. I mówi, że chyba zaraz mi jebnie. Choć nigdy mi nie jebła.

Nigdy mi nie jebła, ale często płacze. Dlatego drażę z tym makijażem. I znów mówi, że zaraz mi jebnie. Choć nigdy mi nie jebła.

A płacze kilka razy w tygodniu. I ma wtedy rozmazany makijaż, który też robi kilka razy w tygodniu. Ryba to w ogóle chodzi jak w zegarku, takim własnym oczywiście. Ale to inny wątek. Tutaj, teraz, Ryba chyba zaraz mi jebnie. Bo nie jem ryżu. I wiem, że jest zaplakana.

W tym tygodniu płakała już dwa razy. Raz, po prostu, z bólu, bo się walnęła małym paluszkim o szafkę. Za drugim razem przez tę pindę jej koleżaneczkę Anetę, bo powiedziała jej przez telefon jakieś okrutne rzeczy, których Ryba nie chciała mi zacytować, ale widziałem, że wstrząsnęły nią na kilka godzin.

W tamtym tygodniu płakała codziennie. Tak wyszło. I cztery razy miała rozmazany makijaż. W poniedziałek płakała, bo miała kaca. We wtorek, bo zasnęła i nie miała siły się śpieszyć. W środę, bo odcięli jej telefon, a w czwartek, piątek, sobotę i niedzielę spotykały się wieczorami z Józią na wspólne seanse płakania.

Dwa tygodnie temu, w poniedziałek, obudziła się z płaczem. I tak dalej.

A teraz gapi się na mnie, bo nie jem ryżu, a ja rzeczywiście nie zamierzam tego ryżu tknąć. Najpierw musi powiedzieć, czemu płakała.

[...]

Ja to jestem taki, że może już duży, ale ciągle z silną potrzebą chodzenia z tatą za rękę. I żeby Ryba opowiadała mi bajki. Albo opowieści.

I opowiada. To część naszego układu, Ryba jest naprawdę spoko. Opowiada mi coś ze swojego czy mojego życia albo wymyśla cudaczne historyjki, które nic, tylko mnie kształtują i kształtują.

To jest tak, że ona mnie tą gadką kąpie przed snem w przeszłości albo przyszłości, nastraja na jutro albo oczyszcza z dnia minionego.

Dzisiaj idziemy w przeszłość, w Kair i czerwone niebo.

Jechaliśmy tam z przemytnikiem, ciężarówką. Dzień i noc, dzień i noc, dzień i noc.

Ciężarówka była pomarańczowa, najpierw mieszkaliśmy w namiocie, potem dwa tygodnie pod mostem, a na koniec w takim mieszkanku. Uciekliśmy z Egiptu, bo tata zniknął i bez niego całe to kairsko-czerwone szaleństwo nie miało dla mnie i Ryby ani sensu, ani uroku. Wróciliśmy wtedy do Polski, Ryba została wziętą DJ-ką, znalazła nam kwaterekę, nakupowała mrożonek i czekaliśmy na tego potępieńca, mojego tatę, w naszym nowym polskim domu.

Ryba mówi mi teraz, że jej Kair to mieszkanie z dywanem.

Chciała wychować mnie w jakiejś pięknej, urojono-kolorowej scenerii, a na takim wypasionym kairskim dywanie dało się to podobno zorganizować. Rosłem niepodręcznikowo szybko, ciągle zmieniał mi się kolor oczu i chichrałem się jak opętany. Rodzice specjalnie długo nie uczyli mnie słów, żebym uwrażliwił się na kształty, kolory i struktury. Moim pierwszym abecadłem były więc wzorki na dywanie i mam się z tym zajebiście (Ryba też), całymi dniami leżałem na dywanie i gapilem się na wzorki, a oni starali się nie używać przy mnie ludzkich słów.

Teraz, kiedy zaraz zasnę, Ryba kreśli mi te wzorki palcem po czole, a one zjawiają się jeden po drugim pod powiekami i migają, i obracają się, gdzieś mnie zabierają.

[...]

Dziś wieczorem – teatrzyk dla Ryby. Ona już roześmiana, pije sobie browarka na kanapie, jej kochanego harnasiczka. Patrę się na nią przez małą szparkę od drzwi naszej szafy. Zaraz z tej szafy wyskoczę. Ale teraz patrę. Patrę jak przebiega nóżkami, gotuje się na mój występ, pije harnasiczka. Ma piękny makijaż, nóżkę położyła na nóżkę. Na teatralny wieczór włożyła neonowe rajtki, dżinsową sukienkę i punkową bluzkę z napisem FUCK YOU. Nie wiem, czy wspominałem, ale Ryba jest zajebista pod każdym względem.

Ona mi opowieści, ja jej teatrzyk – taki mamy mamo-synkowy deal.

No i wreszcie wyskakuję z szafy, w niesamowitej masce!, i zaraz na tę szafę znowu wskoczę, ale najpierw gram i się wczuwam:

Cześć Ryba, to ja, Głupek w bardzo bardzo bardzo dobrym humorze i precudnej masce, opowiem ci teraz o osobach, co zaludnią przyszłość

Ojcem praojcem ich – i niech mnie kule biją jeśli nie – jest Paweł zwany też

*J u m p e r e m (na tej skale zbudujemy nasze
cudaczne domki)*

*Paweł Jumper jak stał tam na tym murku na tym
podwyższeniu*

*a Święty Maniek się dezorientował i kiedy koledzy
się podniecali,*

*TUTAJ MAMY – HAHA – Z METR
PIĘĆDZIESIĄT (obok cztery schodki),*

*to Paweł zwany Jumperem miał minę jak boże
tchnienie,*

*jak śpiewające pierdołkowate ptaszki, i widać było
jakie ma kolana –*

jakie piękne ma kolana

*Paweł buty miał też sandały i czarne krótkie
skarpetki*

Kolana kolana kolana, serce jak dzwon!

*PROSZĘ PAŃSTWA PAWEŁ BĘDZIE SKAKAŁ
NA BOLIDZIE (ikonicznym)*

LAKIEREK NOWY,

NO I PAN PAWEŁ (zwany J u m p e r e m).

*Święty Maniek się podniecał i czas było wreszcie
skakać,*

*DAWAJ MANIEK TO SIĘ JUŻ KAMERUJE,
czy jakoś tak –*

*wolałi koleżkowie, i Paweł zwany Jumperem wziął
był skoczył,*

poleciał na łeb,

jak delfinek poleciał

albo jaki zestrzelony łosiu

AŁA KURWA RZECZYWIŚCIE,

jęczał potem cichuteńko,

bo nie wiedział co był uczynił,

ALE MNIE WSZYSTKO BOLI!

Najpierw popętnia się błąd,

a potem powstaje nowe społeczeństwo

*Od upadku rosną mu skrzydła (albo coś takiego,
co się już paru osobom stało)*

i idzie Paweł zwany Jumperem w świat

Trochę zdezorientowany

A trochę natchniony

*A ósóbki co pójdą za nim i co wzrosną z tego
upadku –*

to one – te ósóbki – też będą skrzydlaste

Skrzydlaste & ulotne!

Pożyją tylko troszkę, ale za to – jak!

[...]

Cześć, to ja, Głupek, pstryknąłem palcami i zatrzyma-
łem czas.

Czas nie istnieje, bo tata uważa, że byliśmy w Kairze
cztery lata, a Ryba ciągle mówi, że dwa. I tak dalej.

Zgasilem światło, a potem zatrzymałem czas. Kiedyś
był jakiś tam piątek czy wtorek, ale ja, Głupek, to pierdołę.

Tym razem chodzi mi o muchę.

Na moim parapecie umierają muchy.

Taka jedna przed chwilą jeszcze się ruszała. A teraz
przestała, zamarała i to koniec. Koniec muchy i czasu. Idę
na drzemkę, polatać sobie.

[...]

Ryba to DJ-ka. Często jej nie ma, bo ma imprezy, networ-
king, ogarnianka albo wyjazdy. Miewa też odsypianko
i wtedy nie ma jej w inny sposób, ale też jej nie ma i jestem
sam. Dzisiaj siedzę sam, bo ona gra, w jakimś w ogóle innym
mieście i totalnie groźnym klubie.

Nie wiem, czy lubię zostawiać sam. No ale mamy
z Rybą fajne mieszkanie. Nie jest ani za duże, ani za małe.
Można po nim biegać albo spacerować, można tu gotować
i grać w większość fajnych gier.

Jak zostaję sam w mieszkaniu, to zamieniam się
w fauna-gluptaska czy coś w tym stylu. A może to bardziej
koziolatek?

Nie wiem.

Sprawdzam, odbijając się od ścian. Raz, dwaczczytery,

Mamy z Rybą piękne ściany, jedną teraz podpieram
i widzę trzy pozostałe. Jedna jest błękitnym tłem dla wiel-
gachnych kwiatów. Druga to filoletowiutka łączka, a na trze-
ciej wisi telewizor, który kiedyś podarował nam tata. Ta pod-
pierana jest biała, szara, tłusta i plamiasta, bo jesteśmy
z Rybą niezłymi flejami.

Przydałoby się tu trochę przeremontować. Poremont-
ować to wszystko jakoś, żeby inaczej było, coś z tym wszyst-
kim zrobić.

Przesuwam naszą biedną, zrujnowaną kanapę
na środek, wspinam się na oparcie, kręcę żyrandolem
jak na dyskoteci i OTO ZNÓW JESTEM CENTRUM
WSZECHŚWIATA.

Wprawiam się w bardzo bardzo dobry humor. Sam sobie śpiewam piosenkę. A to radio na parapecie to szmelnę, więc wyrzucę je przez okno. Ryba się nie wkurzy, bo robię to, żeby było milej. I mikrofalówkę też wyrzucam. Mikrofalówki to najbardziej podejrzane urządzenia, jak na mój gust.

Za oknem świat – rumor, rozwalona mikrofalówka, pogubieni ludzie. A ja jestem sobie na spacerze po oparciu naszej biednej, zrujnowanej kanapy. I myślę, że jednak lubię zostawać sam. Niech sobie Ryba gra, a ja będę tu czekał, jako centrum wszechświata. Okno cały czas otwarte, za oknem świat – coraz większy rumor, rozbite radio i mikrofalówka, coraz większe pogubienie. Wrzucam im tam jeszcze taki wazonik i wracam na oparcie, na spacer. Balansuję jak baletnica.

Żyrandol rozhuśtany. On zawsze wygląda, jakby miał zaraz spaść, tak jak Ryba czasem wygląda, jakby miało ją zaraz rozsadzić. Okno cały czas otwarte, idę do niego. Nie wrócę już na oparcie, jestem centrum wszechświata i stoję przy oknie. Przez okno widzę, że idzie sobie zblakany piesek, jedzie pojedyncze czerwone auto. Nic im już dzisiaj

nie dam. Pojedyncze czerwone auto przejechało, zblakany piesek wciąż gdzieś tu tupta.

I tak dalej, nie wiem, kiedy Ryba wróci.

[...]

Na urodziny Ryba zabrała mnie do wróżki (powiązać z lataniem, a najlepiej zawiązać tu monolog bezdomnego przed lataniem czy coś).

[...]

Jak będę duży, to będę kochał.

Właśnie tak sobie pomyślałem nad grobem mojego ojca. Ćpun Niedorajda, mój kochany tatuś, spoczął pod takim marnym kopczykiem ziemi, a ja, Ryba i kilkanaście innych osób rzuciliśmy na ten kopczyk po smutnym bukietiku kwiatów. To było wczoraj, a dziś chciałem...

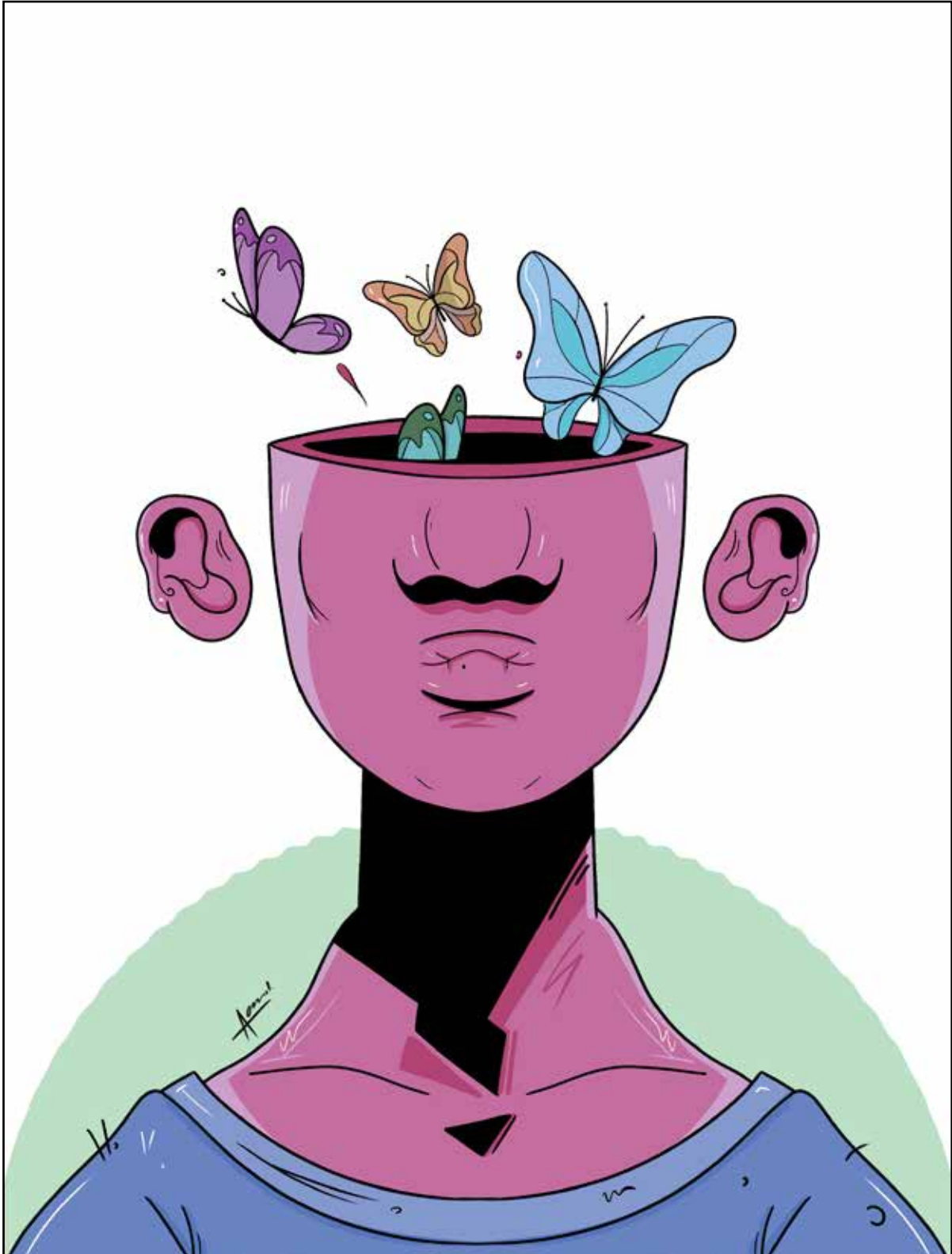
Ryba tępo się gapi. Chyba w chmury. Ciekawe, czy jej też kręci się w głowie.

[...]

MATEUSZ GÓRNIAK

– autor *Trash Story* i *Dwóch powieści ruchu*, dramaturg, redaktor „Stonera Polskiego”. W sezonie 23/24 odbywa rezydencję w warszawskim Nowym Teatrze, dla którego adaptuje content z polskiego YouTube’a.





Aleksander Omilianuk-Orzechowski / ZDZ w Białymstoku

Marta Kułaj

2 opowiadania

Godziny

1.

Powinienem pójść po gazetę. Po co mi gazeta? W gruncie rzeczy nie wiem, ale jest poniedziałek, godzina dziesiąta, a ja w poniedziałek o godzinie dziesiątej chodzę do kiosku po gazetę. Czy czytam je? Nie bardzo. Zaraz jak tylko wrócę z gazetą, siadam przy oknie i patrzę. Na co patrzę? Na szybę. Na nic więcej. Jestem jak ta mucha uwięziona między firanką a szkłem. Nie, nie jestem jak mucha. Jestem jak większe zwierzę, taki na przykład kot. Taki kot to ma dobrze. Dziesiąta osiem. Już nie pójde do kiosku po gazetę. A może dzisiaj nie jest nawet poniedziałek? Nie wiem. Trzeba by sprawdzić w kalendarzu. Nie mam kalendarza. Styczeń już, zaawansowany, a ja nawet kalendarza nie kupiłem. Trzeba się spieszyć. Przed dwunastą powinienem wstać kartofle. Co poniedziałek jem trzy kartofle. We wtorek kartofli nie jem. We wtorek co jem, we wtorek powiem. W poniedziałek nie mówię, co jem we wtorek. Można się przechytryć w ten sposób, bo co jeśli wtorek nie przyjdzie? Zostanę ze słowami wypowiedzianymi, które nie będą mogły mieć odbicia w rzeczywistości, jak moja twarz w szybie. Nie ogoliłem się. Gołę się w srode. Środy jeszcze nie ma. Może nie przyjdzie. Co to ja miałem zrobić? Miałem iść po gazetę, ale tego już nie zrobię. A tak, kartofle. Równo o dwunastej muszę się podnieść i zrobić to, co powinienem zrobić. Nie zrobię, bo już po dwunastej.

2.

Odmiana wyrazów. Ćwiczenie, żeby nie zapomnieć. Tabliczki mnożenia już nie pamiętam. Jaka cisza u mnie. U innych na piętrze też cisza. Można by radio włączyć, ale wtedy ciszy już nie będzie. Radio zabija ciszę. Ktoś puka do drzwi albo to tylko w mojej głowie. Zabija ciszę to pukanie. Trzeba się podnieść i zobaczyć, kto puka do drzwi, jeśli do nich ktoś puka. Puka, i jeszcze raz. Przestaje i puka.

Może pożar w budynku, a ja nic nie wiem. Spłonę, bo nic nie wiem. Nikt nie przyjdzie, nie zapuka. Ale puka. Otworzę drzwi. Zobaczą kto. To pani. Jaka pani dzisiaj piękna. Jak pięknie wygląda pani w tym swetrze. Nie powinienem tego mówić, może ją to spłoszyć, zawstydzić. Inaczej – jak miło, że pani do mnie wpadła. Napije się pani czegoś? Kawy? Herbaty? Nie? Czegoś mocniejszego? Niestety nie mam i jak widzi pani, nie jestem przygotowany na to spotkanie. Strój nie ten, nieogolony jestem. Ależ proszę, może pani usiąść, oczywiście. Przepraszam, że nie zaproponowałem wcześniej. Więc może jabłko, jeśli herbata nie. Zaraz, powinienem mieć gdzieś jedno jabłko. Nie ma. Chyba zjadłem. Więc może ciastko. Nie, ciastka też nie mam. Więc... przestał pukać. Lepiej, bo nie mam nic.

3.

Zaczyna przeszkadzać mi zapach. Jak rozkładającego się mięsa. Czasem zalatuje z klatki, czasem z zewnątrz. Powinienem podnieść się, pójść i powiedzieć, że to tak nieładnie kazać innym wachać zapachy nieprzyjemne. Zupełnie nieładnie. Ten zapach jest coraz silniejszy, zupełnie jakbym przesiąkł nim na wskroś. Czuję go w nozdrzach, w buzi, w żołądku, w głowie go czuję. Poszedłbym do nich i powiedział, że to nieładnie tak kazać innym chłonąć cudzy zapach. Cuchnę nim już cały, od stóp aż po głowę, klei się do mnie, lgnie. I czuję dziwną wilgoć. Jakby ktoś wylał na mnie garnek wody, więcej wody niż garnek, może całe wiadro, a może wziął metalową wannę z łazienki i przyniósł w niej wodę. Wlewa mi się ta wilgoć do uszu, w usta, do nosa, przez skórę przenika, na skórze osadza, chcę ją zetrzeć, usunąć. Musiałbym wziąć ścierkę, żeby ją zetrzeć, ale w poniedziałek nie biorę ścierki nigdy do rąk. W poniedziałki biorę tylko ręczniki, a po dwunastej nie chodzę do łazienki. Chodzę o piątej, a do piątej jeszcze dużo czasu. Muszę znosić tę wilgoć. Zniosę ją, choć to trudne. Spływa ze mnie, czuję krople, które dążą ku podłodze. Jedna za drugą, kap, kap, ale nie są chyże, jak zwykle krople wody, są powolne, ociągają się, zanim spadną, jakby z gęstej cieczy

były, nie z wody. Drażą swoją drogę po skórze, żłobią ją, a potem, gdy już mają spaść, nie rozchlapują się na wszystkie strony. Uderzają o podłogę wolno. Ciągną się jedna za drugą, jak ślimaczy śluz.

4.

Odpadł mi palec. Zwyczajnie, gdy próbowałem podnieść rękę, odpadł mi mały palec u prawej dłoni. Leży teraz na podłodze. Mógłbym się schylić i podnieść go, ale co z nim miałbym potem zrobić? Nie potrafię go przyszyć, przytwierdzić na miejsce, zresztą mogę sobie poradzić i bez palca. Mam jeszcze dziewięć, no chyba że wszystkie odpadną, wtedy nie będę mógł ich nawet podnieść. Można spróbować stopami. Kiedyś umiałem pisać lewą stopą. Wkładałem długopis między palce i pisałem. Kształt liter nie był idealny, ale można było rozszyfrować, tekst nie był do końca zniekształcony. Jeśli odpadną mi wszystkie palce, spróbuję stopami. Tylko jak zdejmę buty? Z butem nie poradzę sobie. Stopa musi być naga, jak nagie czasem są myśli. Czasem moje myśli były nagie, podróżowały po nagich ciałach. To były bardzo długie podróże. I bardzo dawno temu. Teraz nie jestem nagi. Dziwnie tylko ubranie coraz bardziej przywiera do ciała. Staje się jednym, jakby tkanka zaczęła się z nim utożsamiać. Miękkie jest, czuję to całym ciałem.

5.

Minęła północ. Wiem, że minęła północ, bo zegar na wieży wybił już dwanaście razy. Nie sędzę, że się pomyliłem, liczyłem dobrze, żeby umysł wyćwiczyć i żeby nie zardzewiał. Doliczyłem do dziesięciu, a były jeszcze dwa. Musi być północ. Ciemno jest, więc musi być północ. Cicho, u mnie i u innych na piętrze. Ciemno i cicho. Z pewnością jest północ. Dziewiąta albo dziesiąta, od kiedy nie mogę się ruszyć.

Od kiedy umarłem.

Rzecz o suchych liściach

Zbierało się je czasem do worków parcianych, żeby do kopców było. Wspinano się, żeby je zebrać, pod szosę. Dzień był na szczęście zazwyczaj suchy. Takie się wybierało. I liście, ale tych się już nie wybierało. Brało się, jak leciały. Z drzewa

na ziemię leciały nawet wtedy, a to połowa jesieni była. Suche liście szeleściły w suchych workach. Lekkie było. To zbieranie lekkie było i reszta. Leciało się z góry na sam dół, z tymi workami na plecach. Jak ptacy.

Ptaki – poprawiam. Ale mnie nie słucha.

Taki wstęp. Wyśpiewała to pod nosem, jakby przygotowywała się od miesiący, lat, jak na akademii państwowej.

Ktoś zwyczajowo traktorem na górę chyba jeździł, bo pojedyncze koleiny widać.

Przerwała swój monolog. Zamyśliła się. Być może teraz myślami jest na tej górze. Takie jej święte miejsce. Bez kościoła i reszty. Tylko ona.

Na wiosnę czuć było zapach ziemi. Wychodziły żółte kwiaty. Zwali je dzwoneczkami. Nie mam pojęcia, jaka była



Izabela Chodziutko / ZDZ w Białymstoku

(jest) ich nazwa, ta Linneusza czy kogo innego. Do matury z biologii przygotowywał się kto wie gdzie, chodził chyba aż do lasu, siadał na wiadrze odwróconym do góry dnem, po farbie, i uczył się, ze starych książek, z których odpadły już okładki. Wracał po zmroku. Przygotowywała mu herbatę, w ręcznik owijała, żeby nie wystygła. Pił chłodną, lurę, ale nie narzekał. Wyszedł na ludzi. Uciekł stąd. Wreszcie mu się udało. Spłacił długi, swoje i ich. A mieli je, mieli, jak wszyscy.

Na ludzi – przeciągnęła dłużej „i”, gdy to mówiła.

A potem przyjeżdżali ludzie z miasta. Z mikrofonami i magnetofonami. Wtedy jeszcze takich telefonów nie było. Nagrywali, mówili, że jakieś badania prowadzą, jak mówimy. A potem wyjeżdżali. Nowi przyjeżdżali, co innego badali. Raz jeden podobno jakieś stare rzeczy znaleźli, z drewna chyba, rozkopali pole u Wieśka, nie mógł traktorem wjechać. Wyjechali, a on nadal nie mógł wjechać, bo tam wody się zebrało i nie może już obsiać. Wyjechali. Mówią, że to źle tam, a potem przychodzą ci mądrzejsi, którzy mówią, że lepiej. I tak się ciągnie, raz tak, raz tak.

On przyjechał? – pytam w końcu.

Nie odpowiada. Kiwa głową, a za każdym razem jak kiwa, robi jej się więcej zmarszczek na całej twarzy.

Przed oczami coraz więcej plam – mówi – lekarze nie mogą nic zrobić. Kiedyś będzie zupełnie ciemno albo już tego nie dożyje. A mówiąc to, śmieje się. Pamięć jest dziwna.

Tyle słońca w głowie się pamięta. Starczy do końca – dodaje. Teraz ona nalewa tę wychłodzoną już herbatę do brudnych szklanek, częstuje.

On na uniwersytecie był – zmienia temat. Próbuje mi wytłumaczyć, po swojemu, co to ten uniwersytet jest. Macham ręką. To widzi.

Będą go czytać, własne miary będą przykładać, będą się śmiać i płakać. Teorie, teorie, ile tylko kto nici poprowadzi od pierwszej do drugiej, a niech nie waży się pominąć choć jednej po drodze, bo zgubi trop.

Szuka jakiejś książki. Wiedziała, że ją ma, jeszcze po swojej babce albo babce babki. Wydobyła ją z pudła pod stołem, stało obok wiadra z obierkami. Zapleśniało i jedno, i drugie.

Dopiero jak przyjechali, żeby kopać, kilka gazet od nich dostała. I tamtą książkę.

Od babki przecież.

Nie, od nich – mówi.

Być, być, być – powtarza, jakby się zacięła.

Najgorzej jest łączyć w pęczki – mówi. Bo może nie pasuje do siebie jedno z drugim.

Już jej nie rozumiem.

Jej syn nie żyje. Ona to wie. Ale nie mówi ani słowa.

Pokazuje mi tylko nekrolog.

Zakładkę w zapleśniałej książce.

MARTA KUŁAJ

– absolwentka filologii klasycznej i polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, doktor nauk humanistycznych (literaturoznawstwo). Publikowała m.in. w „Twórczości” i „Nowych Książkach”.

Magdalena Hirsch

Inner inferno

– Te wyniki są poprawne, niech pani spojrzy. . . żadnych pasożytów, poziom markerów nowotworowych nie jest podwyższony, brak stanów zapalnych, morfologia i reszta też w normie.

Sandra wiedziała, że zaraz się rozplacze. Wyrwała lekarzowi kartki i przeleciała wzrokiem po wynikach. W normie, w normie, w normie. Znowu. Dlaczego? Przecież to nie ma sensu.

– Proszę pana, przecież to niemożliwe. . . Przy tym bólu ani te, ani żadne inne wyniki nie mogą być w normie.

Już wszystko jedno, nawet nie próbowała powstrzymać łez. Wpadła dziś na głupi pomysł, żeby pomalować oczy na ciemno, tak dla dodania sobie odwagi, i teraz wszystko spływało czarnymi, gęstymi strużkami. Lekarz podsunął jej pudełko chusteczek; wzięła kilka i na chybił trafił otarła policzki. Cierpienie w milczeniu à la *femme fatale* nigdy jej nie wychodziło.

– Pani Sandro, bardzo mi przykro. – Doktor zebrał kartki i stuknął nimi o blat, żeby się równo ułożyły. – Ale nie możemy powtarzać badań w nieskończoność, zrobiliśmy już wszystkie po kilka razy. Wszystkie wskaźniki z krwi, moczu, kału, badania endoskopowe, rezonans magnetyczny i USG, przeróżne badania neurologiczne. . . Zresztą ma pani do nich dostęp, wie pani, jak jest. Zostaje nam tylko leczenie objawowe: dietoterapia, zabiegi, masaże. . . i środki przeciwbólowe.

Nie patrzył jej w oczy, ale nie miała do niego pretensji. Był cenionym neurologiem, który słynął z tego, że poprowadzi nawet najbardziej beznadziejny przypadek. Sandra była pierwszą pacjentką, której nie potrafił pomóc, i to już od pięciu lat.

– Wysłałem receptę i zalecenia na maila. Obiecuję, że będę jeszcze myślał i szukał rozwiązań. – Wstał i uścił jej dłoń. – Do widzenia.

Sandra kiwnęła głową, uśmiechając się od niechcenia. Teraz jak zwykle pójdzie do recepcji zapłacić za wizytę, a potem zejdzie na parking, gdzie czeka w samochodzie któryś z rodziców.

– I co? – spytała mama. To jej częściej przypadało robienie za szofera, więc i ona częściej słyszała pełne rezygnacji „wyniki w normie”.

– Wyniki w normie. – Sandra zapięła pasy. – Masz wodę? Chyba muszę wziąć tabletki.

– Nie minęły jeszcze trzy godziny. – Mama, zerkając ze skupieniem w lusterko, wyjechała z parkingu. – Płakałaś?

– Nie no skąd. Nie mam przecież żadnego powodu do płaczu.

Sandra miała dwadzieścia trzy lata i była na utrzymaniu rodziców. Studiowała filologię angielską na prywatnej uczelni – nigdzie indziej nie chcieli jej przyjąć. Wątpiła, czy uda jej się skończyć chociażby licencjat, nie mówiąc już o znalezieniu zatrudnienia – co z tego, że jest tyle możliwości pracy zdalnej, skoro ból czasem nie pozwalał jej sięgnąć po komputer. Sandra najbardziej bała się, że skończy kiedyś na czyjejs łasce, sama.

– Pytam po prostu, musisz mi od razu takim tonem odpowiadać? To moja wina, że tak się czujesz? Przecież wiesz, że robimy, co się da.

Sandra patrzyła przed siebie, rzadko mrugała i tylko obrywała skórki wokół paznokci. Ja wiem, ale ty nie wiesz. Nie wiesz, jak to jest nie pamiętać dnia bez bólu i wątpić, czy się go przypadkiem nie zmyśliło. Nie wiesz, co się czuje, kiedy wszyscy mówią ci, że gorsze momenty mijają, a ty wiesz, że trwają wiecznie.

– A może jednak któryś z tych leków ci szkodzi?

Pierwszy raz trafiła do psychiatry siedem lat temu. Jej lekarka prowadząca stwierdziła, że pacjentka jest apatyczna i zrezygnowana. Miała sporo racji, lecz Sandra wątpiła, czy lykanie kolejnych prochów jest najlepszym rozwiązaniem. Ale co miała do gadania. Poszła na pierwszą, drugą i kolejną wizytę, a potem grzecznie brała tabletki. Psychiatra przetestował na niej wszystkie możliwe kombinacje leków. Nie docierało do niego, że powodem jej stanu psychicznego może być – doprawdy, zaskakujące – chroniczny, upokarzający ból.

– Mamo.

– Zastanawiam się. Może pominęli jakieś badanie albo źle odczytali wyniki? Może powinnaś poprosić o pow. . .



NASTURCJA PODOLAK

– artysta interdyscyplinarny urodzony w małej kolonii miasta Dąbrowa Górnicza – Piekło w 1996 r. Po zdobyciu tytułu magistra sztuki założył swój pierwszy profil na portalu społecznościowym, gdzie dzieli się swoją sztuką. Przygotowuje się do realizacji swojej pierwszej autorskiej wystawy. Ma na koncie liczne występy performatywne w lasach pomiędzy Opolem a Częstochową, gdzie do dziś można na drzewach spotkać ślady jego obecności w postaci resztek instalacji. Na co dzień funkcjonuje właściwie, nie opowiada się za żadną partią polityczną. Planuje obsceniczny grawerunek tulipanem na porzuconych miejscach pracy.



foto: wygenerowana przy użyciu AI

Sandra gwałtownie się odwróciła.

– Kobieto, czego ty nie rozumiesz? Oni nie potrafią mi pomóc! Nikt nie potrafi! – Oparła twarz o szybę. Znowu miała łzy w oczach. Nienawidziła płakać przy innych.

Mama się nie odzywała – i dobrze. Co w takiej sytuacji można jeszcze powiedzieć? W słowa pocieszenia Sandra nie wierzyła. W nic już chyba nie wierzyła. Testowała różne leki homeopatyczne, brała udział w modlitwach o uzdrowienie, odmawiała nowenny, kupowała minerały, paliła kadzidelka. Wydała mnóstwo pieniędzy – oczywiście na próżno. W końcu się poddała.

– Jesteśmy. – Mama zgasiła silnik. – Możesz już wziąć te tabletki, tylko najpierw coś zjedz.

– Mdli mnie, nie chcę jeść. I jednak obęde się bez tabletek.

– Na pewno?

– Na pewno. Muszę się położyć.

W pokoju Sandra od razu weszła do łóżka i nakryła się kocem, aż po czubek głowy. Głupia, chciała być silniejsza od bólu. Teraz leżała skulona, z kolanami podciągniętymi pod brodę; miała męczące *déjà vu*. Który już raz tak leżała?

Zadręczały ją najgorsze wspomnienia, a to tylko potęgowało ból głowy. Mózg pulsował, puchł, aż wreszcie Sandra usłyszała huk i zapadła w stan na granicy omdlenia i snu.

Sen zawsze miała płytki, jakby jej powieki przepuszczały światło. Może właśnie to było przyczyną uporczywego zmęczenia, to jaskrawe, ciągle obecne światło.

Kolejne dni miały tępo i ciężko, nie było na co czekać. Sandra leżała i słuchała muzyki. Piosenki cięły czas na kilkuminutowe odcinki, które trawiło się łatwiej.

Siódmiej doby od wizyty telefon wybudził Sandrę o czwartej nad ranem. Dzwonił lekarz.

– Halo? Boże, niech mi pani wybaczy porę, ale musiałem. Udało mi się wreszcie zdobyć zgodę na...

– Zgodę?

– Tak, na przeprowadzenie badania ze specjalnym rodzajem kontrastu, dotychczas bardzo rzadko wykorzystywanym. Pracowałem nad tym od miesięcy, ale nic pani nie mówiłem – nie wiedziałem, jak to się potoczy. To badanie może być naszą ostatnią szansą na uzyskanie diagnozy. Czy mogłaby pani przyjechać do szpitala dziś po południu?

Co można odpowiedzieć na takie pytanie?

– Tak! Tak, oczywiście.

– Wspaniale. Umówmy się na siedemnastą, przedstawię wtedy szczegóły i podejmie pani decyzję, czy chce się pani poddać temu...

Serce waliło Sandrze coraz szybciej.

– Oczywiście, że się zgadzam, nie muszę znać szczegółów.

– Spokojnie, jeden dzień nas nie zbawi. Badanie jest co prawda nieinwazyjne, ale niestety dość kosztowne...

Podał sumę. Sandra przez chwilę milczała.

– Rozumiem. Porozmawiam z rodzicami.

– Gdyby ktoś z nich mogło pojawić się na wizycie...

– Dobrze, powinno się udać.

– W takim razie do widzenia, pani Sandro. – Lekarz rozłączył się, a Sandra zebrała wszystkie siły, żeby przebić się przez szum w głowie i pomyśleć.

Myślała też, kiedy wschodziło słońce i kiedy rozmawiała z rodzicami, a ojciec powiedział, że mogą opłacić badanie. I myślała, kiedy wsiadały razem z mamą do samochodu i kiedy czekały pod gabinetem, i kiedy weszły do środka.

– Proszę, niech panie siadają. Nie będę przedłużał.

Lekarz chrząknął i sięgnął po plik kartek. Na biurku piętrzyły się stosy papierów.

– Jak już wspomniałem, mamy możliwość wykorzystania nowego środka kontrastującego, który pozwala na niezwykle precyzyjne przesledzenie zmian w organizmie. Badanie przebiegłoby jak rezonans magnetyczny, ale z wykorzystaniem fal radiowych o innej częstotliwości niż standardowa. Samo badanie jest nieinwazyjne, ryzyko powikłań czy uszkodzeń praktycznie nie istnieje... ale jest pani jedną z pierwszych osób na świecie, która zostałaby mu poddana. Czy mimo to wyraża pani zgodę?

Sandra poczuła silny ból brzucha.

– Tak. Wyrażam zgodę.

Lekarz odetchnął.

– Chciałbym przeprowadzić to jak najszybciej... jutro o ósmej? Dwanaście godzin przed badaniem nie powinno się przyjmować żadnych płynów ani pokarmów. Czy myśli pani, że wytrzyma pani bez środków przeciwbólowych?

Zawahala się.

– A miałyby to wpływ na dokładność badania?

– Nie mamy pewności, ale...

– Wytrzymam.

– Dobrze. Proszę udać się do recepcji i podpisać odpowiednie dokumenty. Do zobaczenia.

Dwanaście godzin bez leków? Przy takiej stawce... Sandra zacisnęła zęby, wbiła paznokcie w przedramię i wytrzymała.

Rano męczyło ją przede wszystkim pragnienie.

– Wzięłam ci herbatę do termosu i banana – rzuciła mama. Potem obie milczały, jakby droga, przemierzana dziesiątki razy, wymagała tym razem nabożnego skupienia.

Sandra nigdy nie wychodziła bez czegoś do jedzenia, picia, zestawu leków i w ogóle pełnego przygotowania. Dziwne, że teraz o wszystkim zapomniała.

– Ja nie wiem, jak to jest, że my tu zawsze mamy gdzie zaparkować – oznajmiła zwyczajowo mama. – Mój tata przed parkowaniem modlił się do Anioła Stróża, żeby mieć zaklepane miejsce, a ja mam je za darmo.

Sandrze nie chciało się odpowiadać. Niezbyt ją obchodził w tym momencie dziadek i jego Anioł Stróż.

– To co, czekam tam, gdzie zwykle. I jestem pod telefonem, w razie jakbym była potrzebna. Nigdy nie mówila „jakbyś mnie potrzebowała”, tylko „jakbym była potrzebna”.

– Dzień dobry, tak, to ja, mam tu skierowanie... .

Dziewczyna z recepcji zawołała pielęgniarkę, która zaprowadziła Sandrę do gabinetu i życzliwie zagadując, wstrzyknęła jej kontrast.

– O, już pani jest. – Zza drzwi wychylił się doktor. Był podekscytowany i nie potrafił tego ukryć.

– Pani Elwiro, pacjentka gotowa?

– Tak. Proszę zostawić torebkę tu, w szafce. Nie ma pani na sobie niczego metalowego? Pasek, biżuteria, druty w biustonoszu?

– Nie mam.

– W takim razie – neurolog zaprosił ją gestem – idziemy.

Sandra weszła do sali i położyła się we wskazanym miejscu; za sobą miała tunel maszyny.

– Niech się pani nie denerwuje. Proszę się nie ruszać, a gdyby coś się działo, niech pani daje znać. Usłyszymy panią. Jest pani gotowa?

Głos doktora brzmiał mechanicznie i niewyraźnie, jakby jej się śnił. Czy była gotowa? Chyba musiała być.

– Tak. – Sandra zamknęła oczy i poczuła, jak rozluźniają ją jej się mięśnie.

A więc nie ma odwrotu; wjeżdżała do tunelu.

Najważniejsze to nie otwierać oczu; raz popelniała ten błąd...

A więc nie otwierać oczu, zignorować buczenie i inne hałasy, spróbować myśleć o czymś innym. Kiedyś recytowała w myślach wiersze, żeby się uspokoić, ale teraz nie mogła sobie przypomnieć ani linijki.

W tunelu było ciemno. Zasnęła.

– Halo? Proszę pani?

Ocknęła się. Leżała na czymś twardym – kark jej zeszywniał, bolały ją plecy. Znajdowała się w ciemnym pomieszczeniu, którego jedynym jasnym punktem była ubrana na białą kobieta. W powietrzu unosił się specyficzny, znajomy zapach, a cisza szumiała w uszach.

Sandra zgłupiała i przez krótką chwilę rozważała, czy nie umarła.

– Proszę pani? Już po badaniu. Dobrze się pani czuje? Ach.

– Chyba tak.

– Świetnie. Miałam przekazać, że wyniki będą w ciągu trzech tygodni, doktor się do pani odezwie osobiście. Odprowadzę panią do holu.

Większość drogi przeszły w milczeniu.

Sandra wyjęła telefon z torebki.

– Halo? Cześć, mam, już po. Tak. Chodź, bo ledwo stoję. Co? Wyniki w ciągu trzech tygodni. Błagam, przyjdź, bo zaraz padnę.

– Halo? Dzień dobry, Sandra z tej strony. Tak, jadę już, muszę tylko uprzedzić, że spóźnię się chwilę... . tak, tkwię w korku. Tak, z mamą. Nie, wydaje mi się, że nic nie stoi na przeszkodzie. Do widzenia.

Sandra założyła czarną sukienkę i pomalowała oczy. A co jej szkodzi, najwyżej wszystko znowu spłynie. Od badania minęły równo trzy tygodnie.

– Doktor chce, żebyś była przy omawianiu wyników. – Sandra przekładała telefon z ręki do ręki. – Dziwnie brzmiał.

– Nie przejmuj się na zapas. Ja pierdzielę, skąd tyle aut o tej godzinie?

– Łatwo ci mówić.

– Wiesz, nie chcę się mądrzyć, ale moim zdaniem niczego się nie dowiemy. Oczywiście nie mam do ciebie żalu, te pieniądze sobie z ojcem odrobimy, ale rozumiesz... .

Tak, rozumiała. Ale nadal wierzyła, że będzie inaczej.

– Dzień dobry, dziękuję, że obie panie się pojawiły.

Ręce doktora lekko drżały. Spojrzał na mamę Sandry.

– Spytam na początku o pani ciążę. Czy działo się wtedy coś nietypowego?

– Wie pan, to było tyle lat temu... Ale pamiętam, że na USG początkowo było widać dwa zarodki, już się nastawiałam na bliźniaki. Potem się okazało, że widoczny jest tylko jeden płód, znaczy się Sandra. Moja ginekolog powiedziała, że to musiał być jakiś błąd. W końcu maszyny nie są nieomyłne.

– I ciąża przebiegała prawidłowo, tak? I poród też?

– Zgadza się, wszyscy mi mówili, że jestem podręcznikowym przypadkiem.

– Dobrze. – Lekarz coś zanotował. – Trudno mi przejść do sedna sprawy, bo nigdy się z czymś takim nie spotkałem, ba, nie wiem, czy w ogóle ktoś się spotkał.

Wdech, wydech. Nie płakać.

– Słyszały panie o czymś takim jak *fetus in fetu*?

Mama i córka spojrzały po sobie niepewnie.

– No tak, jest to raczej rzadki przypadek. – Neurolog splótł dłonie. – Mowa o sytuacji, w której jeden z bliźniaków wchłania drugiego na wczesnym etapie życia płodowego. Drugi bliźniak nadal się rozwija, ale w obrębie organizmu tego silniejszego.

– Czy ma pan na myśli, że... że ja... – Ściśnięta szczęka nie pozwalała Sandrze mówić.

– Tak. – Doktor zamilkł na chwilę. – To ewenement, że pani nadal żyje i że żaden z pani organów nie jest poważnie uszkodzony. Zazwyczaj, kiedy bliźniak pasożytuje na płodzie od wewnątrz, ciąża kończy się poronieniem. Jeśli jakimś cudem się utrzyma, to żywicielowi grozi porażenie mózgowie, ciężka, widoczna niepełnosprawność...

– Ale to się da jakoś usunąć, prawda? I wtedy będę zdrowa?

– Tak, takie operacje, mimo że skomplikowane, były przeprowadzane z powodzeniem...

Sandra wybuchła histerycznym śmiechem.

– ...ale w pani przypadku to nie będzie możliwe.

Sandra zastygła z rozchylonymi ustami.

– Ale... dlaczego?

– Zaraz pokażę pani wydruki z rezonansu, na nich najprościej będzie mi to wytłumaczyć. Muszę jednak uprzedzić, że ten widok może być dość... szokujący. – Lekarz

położył na biurku kilka czarno-białych, bardzo wyraźnych zdjęć.

Sandra nachyliła się nad stołem.

Na początku nie była w stanie rozpoznać dziwnych kształtów, które miała przed oczami. Po chwili jednak dostrzegła zarysy kości; w miarę oględzin zauważała osobliwe struktury ściśle przylegające do narządów, przedziwnie posplatane. Zrozumiała, że patrzy na ludzkie ciało – zmutowane, nieproporcjonalne i pozbawione głowy, ale bez wątplenia ludzkie.

– Czy to... o tu i tutaj, i tu... to jest...?



Nasturcja Podolak

– Tak. Teraz pani rozumie? To... ten organizm tak mocno wrósł we wszystkie tkanki, że oddzielenie go jest niemożliwe. To dlatego żadne z badań nie wykryło prawdziwych przyczyn pani cierpienia, wszystkie maszyny brały tamto... ciało za część pani własnego organizmu.

– Czyli ja będę z tym... tym czymś żyła do śmierci?

Doktor spojrzal jej w oczy.

– Tak. Jest w pani coś, na co nie mamy żadnego wpływu, coś, co pani nie zabije, ale będzie powodować ból, który możemy tylko zagłuszać. Zamierzam nadal szukać sposobów, żeby pani pomóc. Przetestujemy kolejne leki, zabiegi... wszystko. Tyle możemy. – Oparł się o biurko. – Ale jest też dobra wiadomość.

Dobra wiadomość? Sandrze chciało się śmiać. Dla niej już nie istniało coś takiego jak dobra wiadomość. Wydawało jej się, że siedziała w tym gabinecie od zawsze, jakby cała jej rzeczywistość skurczyła się do biurka, dziwacznych wydruków, których widoku nie mogła wyrzucić z głowy, i doktora, doręczyciela wyroku.

– To, co się w pani rozwinęło, zespoliło się z panią. Co więcej, przyjęło podobną postać, niemalże identyczną

budowę jak tkanki, na których pasożytuje. Z czasem ten proces będzie się pogłębiał, z korzyścią dla pani. – Z korytarza dobiegł stukot kroków i po chwili zanikł.

– Organizm w końcu przyjmie tamto ciało, wchłonie je, będzie umiał opanować to, co go niszczy. Nie wiem, ile miesięcy albo nawet lat może to zająć, ale... Powiem pani szczerze: mógłbym naciskać na przeprowadzenie operacji, zaufać najlepszym specjalistom, aparaturze i wierzyć, że istnieje szansa. Ale nie umiem tego zrobić. Ostateczną decyzję pozostawiam jednak pani. Co pani na to powie?

Sandra poczuła, że ktoś ją wykroił ze świata. Niewyraźny obraz, dźwięki przytłumione... Mimo to myślała trzeźwo jak nigdy w życiu. Z całą mocą docierało do niej, że stoi przed najtrudniejszym wyborem, przed *być albo nie być*.

Jeśli być, to w ciągłej niepewności, bez szans na zmianę.

Wybór wydawał się prosty, wręcz oczywisty.

Tylko że w człowieku nie ma nic z oczywistości.

– Nie decyduję się na operację.

Doktor, cały czas uważnie wpatrzony w Sandrę, wstał i mocno uściśnął jej dłoń.

MAGDALENA HIRSCH

– (2002), studentka Sztuki pisania na UW. W wolnym czasie czyta, prowadzi instagramowy profil z literacko-kulturalnymi obrazkami, (@wawer_intellectuals) i odwiedza stołeczne kina studyjne. Publikowała w magazynach „Tlen Literacki”, „zakład.magazyn” i „Składka”.



foto prywatne archiwum autorki

Paweł Hohmann

Kwiecień pomiędzy zdjęciami

Rozdział I: Fotografia.

Oto opowieść, na którą nikt nie czekał. Moje prawdziwe życie wyglądało zupełnie inaczej niż to – precyzyjnie zaprojektowane przez moich rodziców, dlatego też postanowiłem sobie wymyślić swoją ścieżkę losu od nowa. Posiadam coś, co od dawna powinno siedzieć mocno zamknięte jedynie w mojej wypelnionej synestezjami głowie. Cóż za ulga, że wreszcie mam to już wszystko za sobą. Za moment zanurkuje razem ze mną w moje wspomnienia pewien na zawsze anonimowy Czytelnik.

- / -

A teraz możecie zobaczyć nas w komplecie. Pozujemy do wspólnego zdjęcia. Przecież wiem, że czytacie te słowa. Litera po literce. No już dobrze. Zlituję się nad tą waszą ciągłą potrzebą zaspokajania niezdrowej ciekawości. Oto my! Cała rodzina w komplecie: czterech synów, mama i tata. Zdjęcie jest kolorowe. Na czerwonym tapczanie, w środku, zobaczymy, jak siedzą: Michał (lat cztery) i Krzysztof (dziewiętnaście), a po bokach: od lewej mamunia, a od prawej tatunio. Proszę – nasi rodzice: bez imion, zmarszczek oraz багаżu przeżytych lat. O tak, oni zawsze będą dla nas poza wiekiem i kalendarzowym spisem solenizantów. Na razie spokojnie rozpęda się początek kwietnia. Od tego momentu minie ponad osiem miesięcy, kiedy to wreszcie wybijie nasz ostatni wspólny sylwester. Jest jeszcze rok 1974. Mamy święto. W kwietniu 1949 rodzice powiedzieli sobie „tak”. Čwierć wieku później powstało to zdjęcie. No właśnie. Skończyłem czternaście lat. I ciągle nie wiem, kim chciałbym zostać. A to jest bardzo poważne zagadnienie w naszej rodzinie. Stoję na drugim planie: pośrodku, lekko z lewej, a po prawej – Zbyszek (dwadzieścia cztery lata). Wszyscy chłopcy są ubrani w ciemne, granatowe garnitury, białe koszule i zielone krawaty. Tak jak ojciec. A mamę zobaczymy w ciasnej, obcisłej, różowej spódnicy do kolan oraz niebieskiej, źle dobranej koszulce. Swoje siwe, delikatne włosy ma przystrzyżone „na chłopaka”. Ojciec jest łysy i gruby. Jak przystało na dyrektora wielkiej kopalni węgla

kamiennego. Koksującego. W 1976 stary przejdzie na emeryturę. Honorowy prezes znanego śląskiego klubu piłki nożnej. Mama wciąż uczy (prywatnie) gry na fortepianie. A w tle żółte ściany. Fotografię zrobiono w salonie naszego ładnego i obszernego domu z ogrodem. Stoi na dalekich przedmieściach ważnego, przemysłowego miasta. Tuż przy lesie. W malowniczej okolicy. Moi bracia są blondynami. I tylko ja jestem rudy i fałszywy. Przedstawiam wam moją miłościwie znienawidzoną rodzinę: za rok mój brat Krzysztof, mając dwadzieścia wiosen, wygra Konkurs Chopinowski i zostanie największym pianistą tego pięknie głupawego świata. A nieledwie za dwa lata (1976) Zbyszek wyjedzie do Wielkiej Brytanii. Najlepszy piłkarz globu sezonu 1977/1978. A w 1979 najmłodszy z nas – Michał – pojedzie do Szwajcarii. Tam ukończy elitarną szkołę średnią. Potem, w USA, będzie studiował matematykę i fizykę. Dwadzieścia lat później – czyli w 1994 roku (dwie dekady po wykonaniu niniejszej fotografii) założy jedną z pierwszych na świecie zyskownych internetowych firm. Dziś (2022) – klasyk tego biznesu. Ja – na uniwersytecie – wybrałem anglistykę. Od 1984 uczyłem w miejskim liceum. Krzysztof, pianista, w 1977 wyjedzie do Szwajcarii. Nigdy na stałe nie wrócił do Polski. Tak jak Zbyszek. I Michał. Ale nie ja.

W 1979 roku zmieniłem imię na Roman. A nazwisko wymyśliłem sobie pięć sekund później. Imię znalazłem w kalendarzu. Wybrałem dla siebie następująco brzmiące miano: WIRSZTA. Nie mogłem i nie potrafiłem żyć z kompleksem moich sławnych braci. Potrójny cień. Ojciec umiera pięć lat po *tym* zdjęciu. Chyba dostał zawału serca na wieść o tym, że wyparłem się jego nazwiska i imienia (o które wcześniej ciężko walczyła z nim moja matka). Trudno. Było to w cztery lata po tym, jak wyjechałem ze Śląska do Krakowa. Dość już tych oficjałek. Mateczka mnie zaniedbywała w wychowaniu i umarła w Szwajcarii (1981 rok). Tata często po pijanemu powątpiewał w to, że jestem jego prawdziwym synem. W domu przeżywałem na przemian raj i czyściec. Ignorowano mnie. Z wżajemnością. W sumie – nie było aż tak źle. Bądźmy obiektywni. Jesteśmy, ależ jesteśmy. Do bólu. Szczerze dodam,

że na zdjęciu tylko jedna, jedyna osoba szeroko się uśmiecha. Zgadnijcie, kto to może być? Bravo! Wygraliście turniej. Nagroda – paczka pierników z Torunia.

Rozdział II: Język

[1]

Mój pokój znajdował się na najwyższym, trzecim, piętrze. Przytulnie urządzone poddasze w pastelowych barwach (błady róż). Niedoszły strych. Okno z widokiem na północ. W obszernej piwnicy, o trzy sufity niżej od śliskiego blatu biurka, na którym nie lubiłem ślęzczyć przy domowym zadaniu z matematyki na jutro, dudnił klang fortepianu. Młody mistrz świata klawiatury całą rodzinę zamęczał wielogodzinnym maratonem ćwiczeń. Ściany cierpliwie chwytaly każdą nutę. Uszy mi puchły. Nie było dokąd uciec. Profesor czujnie trenował Krzysztofa. Wieczorami czytywałem grube książki. Telewizor był w salonie. Tam ojciec oglądał głośne transmisje z meczów piłki nożnej. Jest uroczysty dzień. Kwietniowa wiosna 1974 roku. Tato ze Zbyszkciem głośno komentują boiskowe zdarzenia. Mama poszła już spać. Ululał ją tkliwy, sentymentalny brzdęk kupionego w Kaliszu instrumentu. Typowy schylek sobotnio-niedzielnego rodzinnego wypoczynku. Jasny snop światła kieruję wprost na sześćset dziewięćdziesiąt dziewiątą stronę mojej ukochanej książki Baltazara Wittego: „Kola”. Dziś, ponad czterdzieści pięć lat od tej chwili, wstydziłbym się sprawdzać, czy ulotny czar jej fabuły wciąż jeszcze na mnie działa. Lepiej nie. Nie próbuj. Zostaw ją w spokoju. Na talerzyku obok tapczanu, na którym nie zdążyłem zasnąć, możecie znaleźć trzy niedojedzone herbatniki. Cztery centymetry dalej stoi syfon z gazowaną wodą. Nie pamiętacie, co to takiego? Woda mineralna zamknięta w szklanej butli zwieńczonej u góry czymś podobnym do starej ogrodowej konewki. Mruczy cicho zawieszona na półce radio. Czasami nagrywałem z niego muzykę. Mieliśmy w domu ogromną płytotekę. Piłkarz Zbyszek lubił przeboje. Ojciec – jazz tradycyjny. Matka – operę i klasykę. Krzysiu – wirtuoz i geniusz – bluesa i Wagnera. A ja nie miałem z nimi nic wspólnego. Na starym magnetofonie nabierałem sobie solidną szafę taśm z rolkami nagrań.

Właśnie zarejestrowałem najbardziej obco brzmiącą muzykę na świecie. Elektroniczne dźwięki. Abstrakcyjne. Podobne do niemożliwie dalekiej międzygalaktycznej podróży. Wiosna 1974 roku. No i było po mnie. W tym

jednym jedynym, egzaltowanym momencie, który przeżyłem tylko raz w całym swoim życiu, podjąłem decyzję. Już się nigdy więcej nie będę „katował” poznawaniem innej, „lepszey” sztuki. Nareszcie alternatywna muzyka. Nie awangardowa. Apolityczna. Bez semantycznej treści. Moja – teraz i na zawsze. Jak pierwsza dziewczyna. Tego właśnie dnia (niedzielny wieczór siódmego kwietnia) spoważniałem i wydorosłałem. Śmieszny, nastoletni filozof o pretensjonalnym, bo udawanym, zbyt ponurym spojrzeniu. Chciałem się zbuntować, więc nareszcie, w końcu, odnalazłem swoją formę. Dźwięki o modulowanym, pulsująco zniewalającym rytmie, pozbawione gitar, wokalistów, perkusji, sekcji dętej, smyczków. Tylko plastycznie wyczuwalne, migotliwe, jak z powieści sci-fi, szmery i pobrzękiwania. Ściana dźwięku przechodzi w hipnotyczny, narkotyczny trans, aby wszystko zakończyć słodką medytacją. Super! Od tej chwili zacząłem być naprawdę kłopotliwym synem, bratem, a nawet kolegą. Już nie musiałem z nimi rozmawiać. Odnalazłem własny język, a wcześniej – alfabet. Może to i głupie, ale prawdziwe. Bo moje własne. Nie, nie mogłem zostać zawodowym muzykiem. Tu ślepe naśladownictwo w ogóle nie wchodziło w grę. Ja po prostu odnalazłem swój ton i styl. To wtedy wreszcie poczułem się doskonale we własnej skórze. Oto płyta, która przekreśliła tryby w maszynie, w jakiej dotąd trudno było mi żyć. Zabrzmiało patetycznie? Bo tak miało być. Potem wszystko stało się dla mnie prostsze. Później nie musiałem słuchać tej muzyki po tysiąc razy, żeby lżej było mi trwać. Wypełniła moją duszę w dzieciennie naiwny sposób – po same brzegi wanny z brudną wodą życia, w której do dziś muszę się taplać. Jednak tylko dla mnie. Bo tam – niżej – cała moja rodzina żyła jak co dzień. Ale ja – od tego momentu – postanowiłem zmienić parametry układanki, w jakiej dotąd żyliśmy. Spokojnie. Bez rewolucji. Bez krzyku. Bez oporów. Bez złośliwości. Bierny opór. Boykot. Ewolucja. Emigracja wewnętrzna. Świat, który stworzył moją ukochaną muzykę, nie należał do tej części rzeczywistości, w jakiej, niestety, mnie przyszło żyć. Dlatego obrazilem się na fakty. Przyrzekłem sobie zmienić je. Jeżeli tylko będę w stanie... Spróbuję... Na początku zabiorę się za moich braci. Potem kolegów. Na końcu sprzeciwię się rodzicom i całemu politycznemu państwu. Wykonam jeszcze inną woltę. Zmienię się wraz z nadchodzącymi globalnymi rewolucjami. Chcecie wojny? Zostanę pacyfistą. Boicie się partii? Opluję ją. Gardzicie literaturą sci-fi? Będę ją wielbił. Nie znosisz sztucznej elektroniki? Wylącznie ją właśnie cenil będę ponad wszelką miarę. Lubisz sport

i futbol? Nie chcę cię znać, kolego. Słuchacie może muzycznego jazzu i klasyki? Ominę was szerokim łukiem. Niech żyje technologia. To jest mój młodzieńczy kanon. Niech mi sam miłosierny Pan Bóg wybaczy. Musiałem taki być. Bez dwóch zdań. I ani słowa więcej. O czym? O tym.

[2]

W poniedziałek, następnego dnia, słońko wstało razem ze mną, lekko podekscytowane. Świat nabral jaskrawości. Dobra. Zaczynamy.

Wrzask maleńkiego, czteroletniego Michałka postawił na baczność cały dom. Beniaminek oblał się gorącą herbatą. Niania w tym samym czasie robiła siku w ubikacji. Do pokoju Michała pierwszy wpadł piłkarz Zbyszek oraz jego młoda żona Laura. To był znak, żebym wreszcie poszedł na od dawna zasłużone wagary. Zabrałem tornię. Przekroczyłem próg domu, a potem wyszedłem poza granicę bramy domykającej nasz trzymetrowy mur grodzący park i willę. Ciekawe, który z nas odziedziczy ten zabójczo bezsensownie bogaty pałac ojca. Spokojnie przeszedłem na drugą stronę ulicy. Umknąłem tuż przed gwałtownie hamującą karetką. Mam przed sobą wolny dzień. Jutro mamusia napisze mi ładne usprawiedliwienie za nieobecność. Tymczasem za moimi plecami zniknął rozchukany rodzinny dom. Zapomniałem zabrać ze sobą kanapki na drugie śniadanie do szkoły. Nic nie szkodzi. Na mieście kupię sobie pączka. Cukierni przecież nikt dotąd nie podpalił, więc spokojna głowa, zawsze jeszcze zdążę coś wrzucić na ruszt. Mamusia będzie zapłakana. Tatusiowi pogłębi się arytmia serca. Znowu będzie miał kłopoty z podejmowaniem decyzji. Pianista Krzysiu jest w szoku. Na dwa, trzy dni przestanie grać. W mieszkaniu zapanuje łagodna cisza. „Kucharkę i nianię się wyrzuci”. Pośpieszne domowe śledztwo ujawniło winnych rodzinnej tragedii. Gdy Michał oblewał się wrzątkiem, kucharka szukała w szafce głębokiego garnka. Ktoś kogoś nie dopilnował. Laura od Zbyszka złapie się za swój opuchnięty brzuch. Obezwładni ją strach. Boi się poronić. Nie lękaj się, za miesiąc i tak urodzisz martwego syna. To będzie prawdziwy koniec twojego małżeństwa. Nie moja wina, że wszystko tak brzydko się ułożyło. Jednak – przyznaję – chaos ułatwia mi życie. Wsiadam w autobus. Mam ochotę na poranny filmowy seans. Pod kinem, już z daleka, dostrzegam tłum uczniów. Dzisiaj nie grzeszę przesadną oryginalnością. Sala projekcyjna szczerze wypełniła się wagarowiczami z kilkunastu okolicznych szkół. Zamiast filmu zapalono sufitowe

światła. Na widownię wpadły niebieskie psy. Policja? Wtedy jeszcze milicja obywatelska (MO). Dyrektor kina zadzwonił na komendę. Pożalił im się, że ma komplet pustych ławek w swojej szkole. No i złapali nas. Potem wywlekli jak stado baranów wprost na ulicę. Wcześniej ciurkiem spisali każdego po kolei. Afera. No, może dla nich. Pod dom podwiózł mnie patrol milicji. Szkoda waszego paliwa. Kasy biletowe pieniędzy nie zwrócili. Nasi nieliczni sąsiedzi byli bardzo zadowoleni. Ojciec podpisał protokół. Wściekły. Matka pojechała do szpitala. Przecież to nie ja oblałem Michała gorącą herbatą. Co, zbijesz mnie za to pasem? Nie? Boli go serce. Słusznie. Mnie też by bolało, gdybym został ojcem czworga dzieci i miał pod sobą całą kopalnię węgla kamiennego – plus ambicje żony, niespełnionej artystki – no i te wstrętne marzenia o globalnej piłkarskiej karierze przyszłego dziedzica fortuny – Zbyszka itp., itd., etc.

O piętnastej zero zero znow rozłożyłem się na tapczanie, w swoim przytulnym pokoju na poddaszu. Dostałem trzy miesiące zakazu wychodzenia z domu. Będę odwożony i zawożony tylko do szkoły. Bez końca. Tam i z powrotem. Do pokoju wpadł ojciec.

– Siadaj!

Wstałem. Chwilę wcześniej leżałem przykryty czarnym kocem i udawałem, że śpię.

– Nic mi nie masz do powiedzenia?

– Nic.

– W domu dramat, a ty dajesz nogę. Wychowuję tchórze i dezertera?

Ziewnąłem.

– Tylko nie próbuj być bezczelny. Odpowiadaj, bo dostaniesz.

– Powtórz pytanie.

Sapnął. Jego dłonie zamieniły się w dwie wściekle pięści.

– Jesteś tchórzem? Z wojska też uciekniesz?

– Kto wie? Jak będzie okazja.

Policzki mu poczerwieniały.

– Wiesz, że mnie kompromitujesz?

– Przed znajomymi milicjantami.

A może teraz zaczniesz wymachiwać rękami? Co mu powiedzieć? „Nie lubię cię”? Że Michałek jest mi obojętny? Coś mówi. Szeptem?

– Jesteś wszawym nasieniem.

– No to zbij mnie i się odczep.

– Nie podskakuj, bo cię załatwię. Nie szanujesz rodziców. Łamiesz Boże przykazania.

Jego ton nieuchronnie zmierza ku hysterii. Zaraz obleję go zimną wodą. A może jednak wcześniej da mi po twarzy? Podbije mi oko. Ciekawe, czy *wtedy* zawiadomi pogotowie.

– Mam przed tobą ukłęknąć? Albo chcesz, żebym się do ciebie pomodlił?

– Ty brudasie. Szyderców osądzi Pan – syknął.

– Twój Pan. Bo na pewno nie mój. Uważaj, należysz do partii. WPZPR nie lubią wierzących. Poskarżę się egzekutywie Komitetu Wojewódzkiego.

Usiadł za biurkiem. Jeszcze raz mocno kaszlnął.

– W kogo się wdałeś?

– A może mama cię zdradziła?

Momentalnie zapakował mi w mordę. Z pięści. Błyskawicznie przygwoździł kolanem do podłogi. Leżałem na brzuchu. Zerwał pasek ze spodni. Ściągnął mi gacie. Przełożył przez kolano. I zaczął metodycznie lać.

– Jestem na to za stary – wychrypiałem.

Skończył. Wstał. Poczłapał do wyjścia. Potrafił przy okazji złośliwie trzasnąć drzwiami.

– Nie hałasuj!

Usłyszał mnie. Skoczył z powrotem do mojego pokoju. Właśnie zapinałem spodnie. Znowu mnie zdzielił. Z otwartej dłoni. Blacha w czoło. Z liścia. Po uczniacku. Z kieszeni marynarki wyciągnął nóż. Sprężynowy. Jak za starych, dobrych, wojenno-okupacyjnych czasów.

– No, zabij mnie, ty oprawco dzieci.

– Nawet mnie nie prowokuj.

– A co, zabronisz mi?

– Matce powiesz, że dostałeś od bandytów.

Rzucił we mnie grubym rulonem dolarów. Trafił nim idealnie w pusty talerzyk po herbatnikach. Nie zamknął drzwi. Po godzinie wrócił. Siedzimy obok siebie na tapczanie. Zapalił cygaro.

– Jak chcesz ze mną rozmawiać? Mówię o przyszłości. Tylko bez synowskich grepsów. Gadaj, co myślisz. Chwila męskiej szczerości. Nie dostaniesz po gębie. Obiecuję.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem, co do mnie mówisz.

– Po chińsku mam ci to przetłumaczyć?

W tym momencie powinienem westchnąć. Nic. Nie umiałem wzruszyć ramionami. Miałem obolale ciało.

– Powtarzam: wytłumacz, o co chodzi. Wydaje mi się, że tylko udajesz najgłupszego z moich synów. Czego ci brakuje? Pieniądzy? Chcesz iść na dziwki? Wysłać cię za granicę? Za rok skończysz podstawówkę. Wyślę cię do siostry mamy. Kraków. Rok 1975. Duże, obce miasto, dobre szkoły średnie, uniwersytet, inni, nieznanymi ludziami. Co ty na to?

– Zgoda.

Popatrzył na mnie, jakbym sobie z niego zakpił.

– Powiedz coś.

– Jestem wzruszony twoją troską.

– Kłamiesz.

– Podbiłeś mi najpierw lewe, potem prawe oko.

Nie mam trzeciego ślepiego z tyłu głowy, więc może byś wprowadził następny cios w mój brzuch?

– Jesteś potworem.

– A ty nadopiekuńczym ojczulkiem.

– Kiedyś się tak wycwanili?

– Nie używam podobnego słownictwa.

– Za to też cię nie lubię. Udajesz grzecznego, a w środku jesteś spopielony trup.

– Tato, „spopielony trup”? Gdzieś to wyczytał?

– W „Trybunie Robotniczej”.

Usiłowałem się uśmiechnąć, ale spod spuchniętych warg (trzeci ojcowski cios pięścią) nie umiałem wydobyć ani krzty rechotu głupiej ropuchy.

Wstał. Cygaro wciąż trzymał w ustach. Rozejrział się po moim pokoju. Pokiwał w stronę ściennego kalendarza z obrazkiem jelenia na rykowisku.

– Załatwione. Za rok, w lipcu, wyjeżdżasz do Krakowa.

I niech ci ziemia lekką będzie.

– Na wieki wieków amen.

Szklanym wzrokiem spojrzał na moje biurko.

– Przestałbyś czytać te głupie książki. Trudno się z tobą dogadać.

Teraz to ja wstałem z kanapy. Zapięły mnie pośladki.

– Lepiej, żebyś już stąd wyszedł.

– Bezcelny. Wyrzucasz mnie ze swojego pokoju w moim domu?

– Tak. Wydaje mi się, że matka wróciła z Michałem.

– Żartujesz.

– Naprawdę.

Nastało kłopotliwe milczenie.

– Ani słowa matce. Rozumiesz? Bo każę cię porwać i utopić w najbliższej sadzawce.

– Zgoda. Bo wiem, że zrobiłbyś to z miłą chęcią.

– Bestia.

– I vice versa.

– Za dużo czytasz. Pomieszało ci się w głowie. Pomyśl o tym. Lepiej byś się pomodlił.

– Krzyż na drogę.

Odwrócił się ode mnie. Sapał, gdy schodził w dół po schodach. Na odwrót niż wszyscy znani mi dotąd ludzie.

Oparłem się o drewnianą poręcz balustrady. Czekam. Jeszcze coś powie. Nie wytrzyma. Powiedział.

– Nigdy się nie dogadamy.

– Racja. Nigdy.

Teraz ja trzasnąłem drzwiami. Aż zadrżały futryny.

– Przepraszam. Mamy przeciąg. Zapomniałem zamknąć okno w pokoju.

Cisza. Daję ucho pod klamkę. Ojciec pod nosem coś mruczy. Chce, żebym go usłyszał. Dobra dykcja.

– Ty mały bandyto.

Położyłem się do łóżka. Okno znowu otwarłem na oścież. Przed domem rodzice dyskutują o stanie zdrowia Michała. Na nóżki założyli mu opatrunki. Poparzenia wyglądają na poważne, ale sprawa nie jest beznadziejna. Rany w końcu się zagoją. Michalek będzie miał do końca życia blade, pomarszczone blizny na udach. Epokowe zdarzenie. Nie pierwsze i nie ostatnie w naszej rodzinie. Sięgnąłem do szuflady pod szafką. Lusterko. Muszę zobaczyć plamy na swoich pośladkach. Nieźle. Krwawe pręgi. Podbite oczy. Spuchnięta gęba. Mam w domu ojca chuligana. Sympatyczny z niego gość. Wychowa mnie na ludzi. Ćwicz swojego syna za młodu. Wyrośnie na porządnego człowieka. Wesola perspektywa.

Mama nieźle się dzisiaj popłakała. Zapadła decyzja. Tata ustąpił. Nie zmieniamy kucharki Ani, opiekunki do dzieci – Hani – też nie. Damy im jeszcze jedną małą,

ostatnią szansę. Dziś, po południu, ojciec jest wybitnie prostolinijny, a nawet wspaniałomyślny. Poszedłem do okna. W ogrodzie tatuś rozmawia z mamusią. Matka stoi odwrócona do mnie plecami. On zauważył syna znad obrębu jej słomkowego kapelusza, upstrzonego sztucznymi różami. Na jego twarzy pojawił się grymas, prawdopodobnie zaciekawienia. Z bólem uśmiechnąłem się do niego. Zamurowało go. Na moment.

Pokazałem mu język.

Rozdział III: Fandango.

[1]

Rok później jeszcze raz, na złość ojcu, sam poszedłem do mojego wolnego od szkoły kina. Na sali projekcyjnej było dość pustawo.

C.d.n.

PAWEŁ HOHMANN

– urodzony 5 czerwca 1969 roku w Zabrze. Uprawiane gatunki literackie: powieść (realistyczna proza współczesna), wiersze, eseje, opowiadania. Publikował w: „Opcjach” (4/1996), „Toposie” (2/2018), „Nowym Napisie” (3/2021), „Nowych Książkach” (6/2022), (7–8/2022), (12/2022), (3/2023). Laureat nagrody głównej w kategorii epika w II Ogólnopolskim Konkursie na Książkę Literacką „Nowy Dokument Tekstowy” za powieść *Iskra i kamień* (2020). Doktor Uniwersytetu Śląskiego, redaktor portalu internetowego, nauczyciel. Mieszka w Zabrzu.



Agnieszka Wolny-Hamkało, Piotr Janicki

Rozmowa o pojęciach

Piotr Janicki: Napoiłaś się książką *Wiersze o pojęciach* czy czytasz menu?

Agnieszka Wolny-Hamkało: Czytam menu i chyba zacznę od deseru.

PJ: Chcesz powiedzieć, że możliwe jest coś na kształt kontynuacji tomu albo sposobu, w jaki się do nas zwróciłaś w nim?

AW-H: Teraz kończę zupełnie inną książkę. Ale potem chciałabym wrócić do sposobu, w jaki się zwróciłam.

PJ: Powiesz więcej? Co to będzie za książka? Co za sposób?

AW-H: Myślę, że w kolejnej książce będzie śmielsze instrumentarium. *Wiersze o pojęciach* są wyciszone, w pewnym sensie skromniejsze, próbowałam je trzymać bliżej ziemi. Ale niemal jednocześnie pisała mi się rozpasana książka. Jakbym sobie musiała na boku pobiegać. „Pojęcia” to są kumulacje, w następnej książce rzeczy będą szerzej rozpisane, z naciskiem na sekcję rytmiczną.

PJ: W jakimś sensie jednak *Wiersze o pojęciach* są wysoko nad ziemią; widać to już w spisie treści. Tytuły „zapalniczka” czy „wróble” giną między Guimardem, lacanistami, „chromosomem”, „serotoniną”, „pięknem” itd.

Poza wyjątkami, jak w niemal (bo podstęp) dziewiczym wierszu „podstęp” czy „białko”, w którym obraz rzeczy wydaje się „czysty” (a i tak drży od swojego oniryzmu odrywającej się kropli wody od lodygi), cała reszta spełnia jakby życzenie z „dialektu”:

Wpompuj życie w pojęcia.

AW-H: Kiedy odpowiadam na jakieś pytanie, w głowie czasem pojawia mi się odpowiedź, nazwijmy to – alternatywna. Dokładnie sprzeczna z tym, co mówiłam, a jednocześnie

równie autentyczna. Kiedy sobie to uświadomiłam, poczułam się trochę nieswojo, pt. „jakim ja właściwie jestem człowiekiem”. Potem chętnie badałam tę cechę na studiach kulturoznawczych („ruchome” wartości) i w pracy doktorskiej (kamp jako kategoria niebinarna, ściśle dialektyczna). *Wiersze o pojęciach* są naturalną kontynuacją tych moich – okreśłmy to – zainteresowań.

PJ: A co z ziemią? W ping-pongu do każdego uderzenia piłki paletką dołożyć należy jej kontakt ze stołem. Jedynym wyjątkiem jest błąd, ale i wtedy piłka ma kontakt z ziemią. I może od razu następane pytanie: jakim jesteś człowiekiem teraz?

AW-H: Masz rację, kontakt ze stołem musi być. Dlatego każdy z tych wierszy może nie tyle „o czymś mówić”, co „coś na sobie ma”. Może więc ma ten przywołany przez ciebie stół, a może coś, co jedynie wcześniej dotknęło stołu. Byłoby to w takim wierszu punktem odniesienia, czymś, czego szukamy, kiedy próbujemy się do wiersza dobrać, zastanowić się, co nam ten wiersz robi.

Błąd, o którym wspomniałaś, jest chyba w wierszu aberracją, nadmiarem lub niedoborem. Ani jedno, ani drugie nie razi mnie w cudzym wierszu. Wiersz to nie jest Miss Polonia, nie jest też pięknym, doskonałym równaniem. Może mieć swoje słabe strony i to jest okej.

A jakim jestem człowiekiem? Nie wiem, czy w ogóle jakimś człowiekiem się JEST jakoś dłużej. W sensie „tak samo”, „w taki sam sposób” jest się dłużej, niż trwa mrugnięcie okiem? I czym jeszcze można mrugnąć jak nie okiem?

PJ: Czy ten sceptycyzm wobec siebie ma analogie w niepewności wobec innych przejaw życia? Gdy pytałem, jaka jesteś teraz, miałem na myśli chwilę i nie tamtą, w której padało pytanie po raz pierwszy, a tę.

AW-H: Teraz jestem chyba przestraszona. I myślę, że jest mnóstwo ludzi i innych „przejaw życia”, które są tak samo przerażone jak ja.

PJ: Czy w *Wierszach o pojęciach* przerażenie miało się znaleźć? Nie widzę go wyraźnie; czyżbyś tę emocję zasłaniała? Wiersz „wczoraj nasz pies wytarzał się w martwym wróblu” mógłby mówić o przerażeniu, gdybyś mnie przekonała, podobnie jak (sąsiadująca) „zapalniczka”. Jedne z najbardziej soczystych w książce zdań z „trzeźwi (ze światełkami)”

Życie z definicji nie jest czymś, co uczy się samo od siebie. Katastrofa nie wydarzyła się tuż za rogiem – raczej żyje się w niej.

zmiękcza rozerotyzowane zakończenie. „autoironia (tak czy nie)” ze złowrogim, przyznaję, otwarciem „Jakby konie się żarły – taka noc”? Co masz na myśli, pisząc o przerażeniu?

AW-H: Spytałeś, jakim człowiekiem jestem TERAZ. „Pojęcia” już się wyedytowały i tam bardziej chodziło mi o zimną ciekawość, jak to się mówi. Przerażony badacz nie odniesie sukcesu w laboratorium. Dziękuję, że przywołałeś właśnie ten katastroficzny fragment. No tak jest, prawda? Trzeba się nauczyć żyć w katastrofie. A konie są z *Makbeta*, to była „ta” noc. I jak to dalej szło? „Jutro, jutro już tu jest”. A ty jak sobie z tym radzisz?

PJ: Trzymam się przekonania, że badacz cierpi, że naukę popychają, jak wszystko inne, emocje i wtenczas moje są takie jak wszystkie (przejawy).

Instrumentarium: czy do niego zaliczasz emocje?

AW-H: Skupianie się na narzędziach czy środkach bywa niebezpieczne. Max Weber tak charakteryzował nowoczesność: oczywiste cele, których się nie kwestionuje, i „środki”, na których się skupiamy – w biurokracji to na nich zaczyna i kończy się nasza uwaga. Emocje to tylko „środki”, mogą się pojawiać, ale też – jak to uczucia – mijają. Dlatego wolę myśleć o nich jako o katalizatorze niż o czymś, czym „robię” wiersz.

PJ: „Piękno” zaczęłaś zdaniem „Prawdopodobnie. / Nie umiem użyć do tego języka”. Dziwnie się poczułem; mówisz i piszesz przebojowo, a tu taki... unik? Ale dobrze, w następnej książce rzeczy będą szerzej opisane. Pewnie i nowe; nam czekać.

Sądysz, że jest w świecie coś, co nie mija jak uczucia albo mija wolniej?

AW-H: Nie wiem, czym jest uroda rzeczy, to nie unik. Przecież nic jej nie gwarantuje – ani precyzja, ani harmonia. Pięknie można zszyć rękę i pięknie można obliczać. Trudno odpowiedzieć na twoje pytanie.

PJ: Czy dobrze rozumiem no.1, że użyłaś słowa „uczciwość”, czcząc na równi myślenie i czucie? Myślisz, że myślenie, a zatem i mówienie, nadawanie jest bardziej, hmm, widzialne niż czucie, odbieranie?

AW-H: Widzę, że chcesz mnie wpuścić w pojęcia. Już samo pojęcie „uczciwości” jest nieporęczne, jakoś narzucające się i jednocześnie zabawne. Definicja „uczciwości” wydaje mi się obszerna, pełna zastrzeżeń, skomplikowana. A ty pytasz jeszcze o „myślenie” i „czucie” – no i robi się horror gore: moja krew na masce twojego auta. Po prostu już oddzielenie „myślenia” od „czucia” wymaga sporego skupienia. Nie wiem, jak ludzie to robią (śmiech).

PJ: Jeszcze bym zapytał o perspektywę postantropocentryczną: po co w niej pojęcia?

AW-H: Myślę, że pomagają nam tę perspektywę rozwijać. Ta antropocentryczna jest znaturalizowana, to trochę jak z realizmem kapitalistycznym – nawyki myślowe, przesady, scenariusze przeżywania rzeczywistości, mechanizmy są w nas tak głęboko wpisane, że trudno tam przekroczyć „stare” myślenie. Zmiana paradygmatu jest trudna, ale nie niemożliwa. A pojęcia bywają na tyle plastyczne, że przesuwają nas w odpowiednich kierunkach. Dobre pojęcie pomaga lepiej myśleć. Tak myślę.

PJ: *Pojęcia* zaczynasz wierszem „pytania otwarte” ze zdaniem „Obserwujemy łańcuchy pojęć, które tłuką się i hałasują / ich erotyka się rozwija”. Następny wers zaczynasz partykułą „jakbyś”, co sugeruje niedosłowność tamtej myśli, tymczasem „jakbyś” mówi tu tyle, co „gdybyś”, czyli znów sugerujesz co innego. „Jak?” to pytanie otwarte, a „gdy” – zaklętym w następstwa opowiadaniem. Miałabyś coś ludziom do opowiedzenia, po prostu?

AW-H: „Opowiadanie historyjek” w pewnym momencie zaczęło uchodzić za infantylne. Jako taki haczyk, na który łapie się czytelnika, rusztowanie pomocnicze – na nim dopiero miało rosnąć właściwe ciało wiersza. Ale myślę, że to anegdotka jak każda inna, w stylu: „to należy robić w wierszu”, „tego nie można robić w wierszu”. Wylapywanie takich trendów, które wydają się świeże, to dopiero jest koniunktura.

Wiersze o pojęciach są mniej narracyjne, raczej rozłożone na kole – mam na myśli kompozycję książki (można do niej wejść w różnych miejscach), ale też pojedyncze wiersze. Zależało mi na tym, żeby niektóre można było czytać od środka i od dołu. Żeby tworzyły plan, ruchome pole. Bardzo mnie interesowało to, co zrobił Hegel w *Fenomenologii ducha*, że ta książka działa jak palindrom, że w pewnym sensie należy ją czytać od końca.

PJ: Jeszcze jeden wiersz, „szturchańce” z zakończeniem „[...] przyjdiesz tak ciepło jak słońce pojęcia / że przyjdiesz tak ciepło jak kula w dwóch częściach”. Wzruszyło mnie i zdumiało, zdumiała emocjonalna relacja z... pojęciem, rozumieniem. Pamiętasz, co się z tobą działo, kiedy wiersz pisałaś?

AW-H: Pamiętam. To był moment, kiedy pierwszy raz zobaczyłam pojęcie jako kulę, pewną doskonałość, oznaczoność. Coś, czego należy szukać, a może wytwarzać. Po to, żeby ująć jakiś element rzeczywistości i spróbować z nią pracować.

PJ: Czy dobrze rozumiem no.2, że za rzeczywistość uznajesz Boga, nieskończoność, zewnątrz? Pojęcia mówią i o nich.

AW-H: Myślę, że dla kulturoznawców Bóg może być wzorem kultury, tak jak wzorem kultury jest np. powitanie albo jakaś wspólna wartość czy zasada. A niebinarna natura Boga (istnieje w trzech osobach) powinna przekonać katolików do queeru. O tym mówi wiersz „piękno”.

PJ: A co to jest według ciebie w ogóle za pomysł, żeby człowiek modlitwę, rozmowę z Bogiem zastępował, aż zastąpił biernym uczestnictwem w prezentacji dialogu na scenie?

AW-H: To uczestnictwo nigdy nie jest bierne. Przepływa między publicznością a aktorami napędza całą inscenizację.

Dobrze to pokazały przedstawienia w trakcie pandemii. Nie tylko obecność kamery była niewystarczająca; publiczność w maskach też bardzo utrudniała grę aktorom, właśnie dlatego, że maski zaburzały komunikację. A gdzie był Bóg? Zależy, kogo o to zapytasz.

PJ: **Niesamowite. Czy udało ci się usłyszeć podczas spektakli też głos reżyserów, autorów?**

AW-H: Trudno nie usłyszeć reżyserki / reżysera. W końcu najpierw mówią oni. A głos – nie dość, że mówi, to musi jeszcze myśleć? Chcesz powiedzieć, że w tym samym czasie?

PJ: Myślę, że koniec końców wypada nam przyznać, że w jednym czasie jesteśmy z całym tym ziemskim i pozaziemskim majdanem orkiestrą.

A co z resztą, która nie poszła, nie pójdzie do teatru?

AW-H: Ty i ja patrzemy w podobnym kierunku: na orkiestrę jako całość. Nic dziwnego – w końcu to postulat naszych czasów: zabić człowieka-orkiestrę, wskrzesić orkiestrę, w której jednakowo waży kobza i kobziarz, powietrze w sali koncertowej, drobnoustrój w jelicie kobziarza, jego frak i kurz, który osiadł na lakierkach. Wirus, przez który kicha, i bawelna, która go chroni przed zimnem.

PJ: **Ale robi własny teatr. W Dzień dobry, wszyscy umrzemy, twojej pierwszej sztuce, bohater o imieniu Barman zajmuje mieszkanie po poprzednim lokatorze, a następnie ubiera jego rzeczy, przejmując matkę. Ale tobie mało, więc piszesz o kobiecie ze zdjęć po pierwszym lokatorze, na którą Barman zaczyna czekać, że „Jakby przerażała ją myśl, że może stanąć oko w oko z czarnoksiężnikiem” – Barmanem. Ale i tego ci mało, więc Barman robi nieustającą dramę, jako barman.**

AW-H: No właśnie tak to jest z pierwszymi tekstami w gatunku (a to był mój pierwszy dramat), że wszystkiego ci mało, a potem oglądasz – i wszystkiego ci za dużo. No ale powiedzmy, że to był moment, kiedy jeszcze myślałam, że dramat to literatura. Zauważyłaś, że niektórzy panicznie boją się „przedobrzyć”? Jest parę innych rzeczy, których należy się bać.

PJ: Co to znaczy: bać się? Mnie to tak gra, że panika jest bożym buntem, którym chce on nas zatruć.

AW-H: Mnie tak gra, że panika to coś innego niż strach. Strach jest chyba bardziej plateau, podtruwa cię jak skórki migdałów (wiesz, że mają w sobie truciznę). Raczej zasypiamy – żaby w podgrzewanej wodzie. Panika jest jednak

bardziej performatywna. Jest to jakaś wzmożona produkcja, nadmiar, fałda. Więc – używając twoich pionków – ustawię to tak na planszy: „boży bunt” to panika, strach to włókno między zębami. W pisaniu strach jest pewnie kastracją, ale już czujność (ale czy ona nie jest rodzajem strachu?) pomaga być w formie. – I patrz, jaki nam się zrobił nadmiar.

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

– zawsze wkurzali mnie faceci, którzy oglądali mecze.

PIOTR JANICKI

– już właściwie nie oglądam meczów.



Andrzej Sosnowski

„Hel 1”

... chodziła przed wieczorem z koleżanką po ulicy Wiejskiej, często trzymały się za ręce lub szły objęte w tali, wcześniej, na pewno przynajmniej do obiadu, rodzinnie musiała bywać na plaży, ale tam jej nie widywałem, bo nad morze schodziliśmy dopiero na skraju miasteczka, czyli po lewej, bardziej zachodniej stronie, przechodząc lasem



Nasturcja Podolak

wzdłuż zarośniętych okopów całkiem już blisko helskiego labiryntu (jak ja się tam kiedyś zgubiłem o świcie, na jakieś dwie godziny, kiedy wszędzie słyszałem morze i nigdzie nie mogłem go znaleźć), żeby zaraz po zejściu na brzeg iść z biegiem słońca w kierunku Juraty przez jedenaście kilometrów najpiękniejszej szerokiej piaszczystej pustej plaży – ale po co ja to piszę; to nie ma nic do rzeczy; to jest niechciany literacki dryf... Niedługo pokażę, o co właściwie mi chodzi.

A my przed wieczorem, po powrocie pociągiem lub plażą z Juraty, szliśmy zjeść coś większego w Heweliuszu en Ville (bo był też w tamtym czasie Heweliusz-sur-Mer, francuską onomastykę wprowadził Tadeusz) albo u kapitana Morgana, bądź w Maszoperii – a teraz znowu jakieś lokale, szylidy, mamidla detali, w które tak łatwo popaść, jak w każdy bałamutny blichtr treści typu *I remember, Je me souviens*, „Pamiętam, że”... Daj spokój.

Ulicą Wiejską w Helu chodzi się tam i z powrotem, bo Wiejska to regularny deptak, a te dwie panny, minawszy nas, kiedy szły z naprzeciwka, często zawracały i ruszały za nami, wiedząc, że tu czy tam będziemy się zatrzymywali, żeby kupić nestea, gofra czy loda dla dziecka, gofra zwykle z kolorową perelkową posypką, loda śmietankowego z maszyny Carpigiani... naturalnie mogę też wspomnieć inne nasze przystanki i postoje, przy stoiskach z bursztynowymi ozdóbkami, maskotkami, żaglowcami w butelkach, pamiątkami, kolczykami, wisiorami, rzęście oświetlone wnętrza automatów (był jeden, z którego dziecko mechaniczną ręką codziennie chciało ze sterty zabawek wyłowić figurkę Blastoisa). W ogóle dać barwny prospekt ulicy Wiejskiej w Helu wieczorem, kompletne wyobrażenie z zapachami smażonych ryb, piwa i frytek, mrowiem zadowolonych letników i muzyką. Może kiedy indziej.

Hegel dość topornie powiada, że siła jest pobudzająca o tyle, „o ile jest pobudzana do tego, aby być pobudzającą”, więc nie bardzo wiadomo, jak ta kooperacja, to wzajemne pobudzanie się zaczyna. Wcześniej zdałem sobie sprawę, że lubi mnie spotykać i odpowiadać spojrzeniem na spojrzenie, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, nie przelotnie, lecz śmiało, uważnie i pochmurnie. Była piękna, toteż zawsze

na nią patrzyłem, ale ona może powinna to ignorować, mogła nie patrzeć, nawet na mnie nie spojrzeć – takie, jak to się zazwyczaj mówi, d z i e c k o.

A ta jej towarzyszka, która od początku musiała coś wiedzieć (ale co i w jakich słowach to wiedziała), pewnego razu, kiedy znów szliśmy w przeciwne strony, zauważywszy nas z większej odległości, popatrzyła na mnie zaraz potem przez chwilę w taki zabawnie chytry, porozumiewawczy i figlarny sposób, jakbyśmy zawczasu uknuli jakiś plan – cały czas do niej gadając i ciągle coś jej natarczywie pokazując, witrynę butików, gablotkę z biżuterią, żeby tamta nie mogła patrzeć przed siebie, i w końcu, trzymając ją pod rękę, nagle skrzyła ostro w moją stronę i pchnęła ją na mnie, głośno mówiąc:

– To teraz go masz.

I zrobiła kilka kroków do tyłu, i odwróciła się, zostawiając nas samych (dziecko z Elżbietą weszli właśnie do jakiegoś sklepu), to znaczy, na środku chodnika.

(Musiałem przytrzymać ją w ramionach, ponieważ mocno pchnięta, straciła równowagę).

„To teraz go masz”.

Zabrzmiało to jak słowa dziewczyny: „Teraz na pewno już będziemy mieli dziecko”, w filmie *Motyle*, kiedy dziecięcy bohaterowie upadli na ziemię i trochę się siłowali, i turlali – jeśli dobrze zapamiętałem scenę, którą widziałem w kinie w 1973 roku.

Nasza scena oczywiście też była całkiem niewinna, przynajmniej dla przechodniów, bo wyglądałem raczej jak nieszczęśliwie młody ojciec albo jakiś stryj lub wuj, ależ tak, „paznokiec” i „wuj” ze starej piosenki „Chantar d’ongle d’oncle”: *ongla oncle*.

Wesele, wesołość w jej oczach, gdy podniosła na mnie wzrok, ruchem głowy strząsając włosy z czoła – najpiękniejsze oczy i spojrzenie, jakie widziałem. W głowie niezbyt zrozumiałe słowa, zamęt.

*Youre eyen two wol sleye me sodenly
I may the beautee of hem nat susteyne*

Wesołość, wyraz wesela w oczach. W całym życiu nie było w tamtej chwili niczego innego.

I zaraz potem, kiedy odżył czas, ta fantazja nieuchronnie „poetycka”, tylko na takie mnie stać – czy mógłbym upaść teraz przed nią na kolana, przylgnąć do niej, mówiąc (no bo chyba jednak nie śpiewając):

*Like the leaf clings to the tree
Oh, my darling, cling to me
For we’re like creatures in the wind
And wild is the wind*

Za długo. Jaki może mieć zapach takie młode życie? Latem nad morzem głównie słońce, słona woda i wiatr. Dotyk i smak były z tej gry wykluczone.

Albo czy mógłbym rzec: „Lady, shall I lie in your lap?” „I mean, my head upon your lap?”. Nic z tych rzeczy.

Byłem pewien, że wyjechały, bo już nie spotykaliśmy ich na Wiejskiej, jednak trzy dni później znowu ją zobaczyłem – wczesnym przedpołudniem, z okna naszej „kwatery”, po stronie zatoki, nieopodal portu – na rowerze. Po kilkudziesięciu metrach jazdy rzuciła rower, zrobiła parę kroków prosto przed siebie, następnie w lewo, potem w prawo, później podbiegła do koleżanki i coś do niej powiedziała; znikając na kilka chwil za rzędem kontenerów stojących wzdłuż ściany dużego hangaru, zatoczyła koło, wróciła – i wtedy nagle poczułem coś jak ból rozłęki, ponieważ była daleko, a widziałem ją teraz z góry, taką „zobiektywizowaną”, tak obiektywnie niedosiężną i małą. I w dziwności tego oddalenia mogłem nareszcie pomyśleć, jak doskonale samowiedne jest to dziecięce, dziewczęce ciało, w każdym momencie, jakkolwiek niepozornym czy przypadkowym, nieomylnie pełne gracji, bo najwyraźniej, pod jakimś czysto wewnętrznym spojrzeniem skupione na sobie, bez żadnego zewnętrznego odniesienia zajęte i przejęte czymś rytmicznie, instynktownie, intuicyjnie z chwili na chwilę przez to ciało wytwarzanym i wyrażanym – jej stopy nagle metryczne, trochej i jamb, choriamb, spondeje, bardzo drobny szybki krok, nieakcentowany, na krawężniku; zeskok, obrót – a tam na dole nikogo wtedy nie było, żadnych widzów, nikt na nią nie patrzył, jej towarzyszka oddaliła się wcześniej w kierunku przystani. Zobaczyła mnie w tym oknie na trzecim piętrze kamienicy dopiero po pięciu, sześciu czy siedmiu minutach, kiedy podniosła głowę, wyprostowawszy się, aby się przeciągnąć – na moment znieruchomiała; i pobiegła w stronę portu, uciekla.

Chciałem unieść rękę i pomachać, choćby na pożegnanie, ale nie zdążyłem. Ile miała lat? Dziesięć, jedenaście? Przyjmijmy kategorycznie, że dziewięć.

Tak jest, „zjawiła mi się w początku dziewiątego roku swego żywota, podczas gdy ja kończyłem rok dziewiąty”. Szczęściarz; tyle miał lat, żeby napisać gigantyczny

przypis do tamtego spotkania, 14233 linijki. Dziewięć. Może to zawsze musi być *una niña de nueve años*.

„Jednodniowe” – (w zaokrągleniu rzecz biorąc) – piękno – bez przyszłości. Ale co to za piękno w mgnieniu dnia bez przyszłości? Osadzona w miejscu, zahamowana wiosna zwiastowania, *figura serpentinata* na iluzorycznym wietrze, nic lub wszystko powściągnięte na progu, na krawędzi, w znieruchomiałym wirze bezczasu – kiedy czas za chwilę zmieni się w wodospad. Wszystko lub nic zatrzymane przed odjazdem w żmudną trasę przez stacje kolei losu albo przez bezlik przypadków poza stacjami kolei losu, w szczerym polu widzenia, gdzie życie też zawsze gra-wituje ku idylli z błękitnym niebem i białymi obłokami nad małym wodospadem, który wpada do strumienia

między skalami i drzewami; oraz z legowiskiem z chrustu i suchych liści; i jeszcze z żeńską dłonią wysoko unoszącą gazową latarenkę, aby jaśniej oświetlić pejzaż, skądinąd widoczny w świetle dziennym przez wyrwę w ceglany murze – całość za masywnymi, zamkniętymi, drewnianymi drzwiami.

Również taki Schlegel (Friedrich) zawsze sprowadzi rzecz na ziemię, powiadając, że „dziewczę w swojej naiwnej niewiedzy wie już przecież wszystko, nim jeszcze błyskawica miłości skrzese iskłę w jej czułym łonie i sprawi, że zamknięty pąk rozkwitnie jako kielich pełen żądz”. *Fair enough*. Ani ta ironia, ani ziemia nie są złe. Potrzeba tylko trochę czasu, by móc wspominać coś, co było szczęśliwie bez przyszłości. *Ta-ra*.

ANDRZEJ SOSNOWSKI

– (1959) polski poeta i tłumacz, urodzony w Warszawie.



foto. Elżbieta Siwecka



Hanna Paszukow/ ZDZ w Białymstoku

andrzej woźniak

grunt, że razem

*what can we do together that we cannot do alone
anya cloud, makisig akin*

epea zleciła mi tekst o ruchu; ucieszyłem się, a jakże. potem dodała, że dziesięć tysięcy znaków, na co ucieszyłem się mniej. doświadczenie poruszającego się ciała przypomina mi teleportowanie się w slow motion albo ciągly, samonaprawiający się glitch kształtu – jak pisać o czymś takim rozlegle?

zaczę może gdzie indziej.

dobiegła mnie dziś informacja o śmierci steve'a paxtona, niezwykłego artysty. nie było mi dane poznać go osobiście, ale gdybym miał rozrysować drzewo z nazwisk, które wywarły na mnie wpływ w mojej tanecznej ścieżce, większość konarów prowadziłaby do niego.

oprócz bycia tancerzem, performerem, badaczem i rewolucjonistą, steve paxton był również myślicielem i, podobnie jak wiele innych osób tworzących awangardę judson church, pisał krótsze lub dłuższe teksty.

przeglądając po raz kolejny „gravity”, książeczkę, którą wydał przed kilku laty, próbuję pojąć, na czym polega jej fenomen, a konkretniej – na czym polega moc takiego pisania o ciele. mamy w niej hiperrealistyczne frazy, swego rodzaju reportaże z fizjologii, przeplatane spostrzeżeniami i wspomnieniami. do tego kilka partytur tanecznych i to w zasadzie wszystko. ponieważ jednak owe komunikaty są podparte sześćdziesięcioma latami głębokiej praktyki w studiu, czyta się je jak destylaty, oczyszczone z niepotrzebnych elementów. weźmy na przykład taki fragment:

What is my body doing when I am not conscious of it? [...] Many answers have been proposed and then discarded over the years [...] Unfortunately, I couldn't find it. Anything that I became aware of thinking was probably conscious thought. I tried to catch myself behaving unconsciously, but again, the perception was ruined by turning my consciousness to it. Occasionally, I would remember walking, while walking, and try to continue, just as I was before I remembered to watch. I was spying on myself. Self-hacking.

robisz coś dramatycznie poza zasięgiem większości ludzi, potem powtarzasz to wielokrotnie – klasyczny trening tancerza.

chodzisz na długie dystanse (niekoniecznie po manhattanie), po czym próbujesz to opisać – trening tancerki postmodernistycznej. interesuje mnie relacja ruchu i języka, zwłaszcza że jedno i drugie jest kontynuacją ciała.

przyglądam się z zainteresowaniem konstrukcjom składniowym, którymi odgradzam się od własnej fizyczności. mówię „moje ciało domaga się odpoczynku”, jakby faktycznie moja wola była bezbrzeżnie wolna i niezależna od rytmu aktywności. małgorzata lebda, biegaczka, wymienia w „mer de glace” przymioty ciała: posłuszne, wdzięczne, odezwało się skurczami.

na moment przyjmę pozycję dziada psującego zabawę i zapytam: posłuszne komu? wdzięczne komu? skurczami czyich mięśni?

pewnie nie robiłbym wokół tego zagadnienia wielkiego halo, gdyby nie doświadczenie chronicznej choroby, z którą zmagam się od kilkunastu lat.

ono, wespół z intensywną praktyką ruchową, skłoniło mnie do myślenia, że „moje ciało” to nie tylko ontogenetyczny absurd i kiwka językowa, ale również problem systemowy. wyobraźmy sobie bowiem następujący cykl zdarzeń: człowiek zaczyna mieć niepokojące objawy, ale udaje, że ich nie dostrzega (szczególnie jeśli jest socjalizowany po męsku) -> poziom stresu (w tym nieuświadomionego) podnosi się u człowieka na tyle, że objawy zaostwiają się znacząco, i decyduje się on pójść do lekarza -> lekarz zleca badania i przedstawia nieprzyjemne rozpoznanie -> człowiek w lęku podejmuje się leczenia, chcąc zlikwidować objawy i odzyskać spokój -> leczenie prowadzi do wyciszenia objawów -> człowiek czuje się spokojniej i odstawia leki -> objawy wracają. brzmi znajomo? ośmielę się stwierdzić, że to historia znana większości ludzi, ale nie chodzi mi tu bynajmniej o jakąś banalną socjologiczną tezę, lecz o zwykłe spostrzeżenie: możemy odgradzać się od swojej fizyczności

na wszystkie możliwe sposoby, ale to odgrodenie i tak będzie ją zamieszkiwać. innymi słowy: przestaję postrzegać ciało jako czynność, a zaczynam jako funkcję dopiero wtedy, kiedy zacznie szwankować, w efekcie czego oddaję się w ręce innych. jest to wyuczona bezradność, którą głęboko ucieleśniam.

pułapka? poezja i taniec jak zwykle nadchodzą z odsieczą.

partytura nr 1

wiadomo, ruszanie się między setami pisania jest wskazane i zdrowe, ale czy próbowałeś pisać między setami ruchu? potrzebujesz do tego kawałka podłogi, światła (najlepiej naturalnego), kartki i długopisu w zasięgu ręki. wyznacz sobie jakąś ramę czasową, to pomaga. pięć minut wydaje się na początek optymalne. znajdź wygodną pozycję, możliwie blisko podłoga, i zamknij oczy. zauważ to, co zauważasz. przyjrzyj się ruchowi przepony, klatki piersiowej i brzucha. zmiana kształtu następuje od środka, zawartość porusza naczyniem.

w swoim czasie zacznij intencjonalnie zmieniać położenie, ale możliwie powoli i łagodnie, tak żeby twoja uwaga nadążała za ruchem (nita little). kości nóg oddalają się od siebie nawzajem, a potem zbliżają, skóra ma nieskończenie wiele kierunków. jeśli jest rano, to pewnie będziesz ziewać i przeciągać się. przeciąganie to rozklejanie polepionych plastrów powięzi, jakby ziewały wszystkie tkanki. ten ruch ma nie być o czymkolwiek konkretnym i do niczego nie musi prowadzić. uwaga wzbogaca się o komponent fizyczny: jest horyzontalna, wertrykalna, pelza, gnie się i kuca. ile waży uwaga oparta o podłogę, a ile uniesiona?

dokończ ruch, usiądź z kartką papieru i pozwól sobie kontynuować. dłoń ma swoją choreografię, zakreśla litery, a te łączą się w słowa. powstają zdania lub strzępki, pozorowanie przypadkowe.

po pięciu minutach pisania powtórz cały cykl albo odpocznij, jeśli wolisz.

moim doświadczeniem jest ruch, który powoduje przeciąg w systemie. limfa zaczyna się przemieszczać, a myśli razem z nią. efekt za każdym razem mnie zadziwia: oto procesy poznawcze i twórcze przestają być zlokalizowane centralnie, w głowie rozpalonej jak reaktor jądrowy, i odbywają się wszędzie, w każdej z bilionów komórkowych drobin.

w konsekwencji następuje rozluźnienie, pomysły przychodzą z lekkością i z podobną lekkością są odrzucane, a te, które się ostają, to perelki, gotowe wypowiedzi. przypuszczam, że dopamina i serotonina uwalniające się w trakcie ruchu odgrywają tu swoją rolę i jeśli nie generujemy tych naturalnych substancji samodzielnie, to próbujemy zastąpić je syntetykami (obecnie młodzież literacka podobno psychodelikami i mefedronem). chyba tylko justyna bargielska i dominik bielicki są ponad tym wszystkim i piszą, jakby mieli wyjebane, czego szalenie im zazdroścę. nie wiem, jak z nią, ale niewykluczone, że w jego przypadku to jednak ping-pong, koordynacja oko – ręka, nogi gibkie i silne.

partytura – oddech

czy wiesz że kiedy oddychasz do tyłu płuc palce gnioł chleby?

nie wystarczy w to wierzyć trzeba jeszcze potrzywać w ciepłym

dopóki nie zagłębiłem się trochę w anatomię, nie zdałem sobie sprawy z tego, jak zmyślnie funkcjonujemy. to na pewno było na lekcjach biologii, może nawet w podstawówce, ale wówczas bardziej niż wymiana gazowa w płucach interesowało mnie bicie rekordu w żonglerce. dopiero mając trzydzieści parę lat, zacząłem się delektować subtelnościami oddychania, jego źródłem w ruchu przepony, zasysaniem jako zjawiskiem innym od wciągania, kubaturą płuc. nauka mówi, że nie da się funkcjonować bez przepony, i aż kusi, żeby spróbować zasymulować tę sytuację, ale uczucie jest takie, jakby się topiło we własnym wdechu. używając języka praktyk somatycznych, powiemy, że oddech to ruch, masaż, jaki serwują żebrom płuca. oddech to wibracja, a wibracja to dźwięk. wydawałoby się, że trudno coś takiego popsuć, ale jednak się da. ustami wpuszczam jedzenie, wypuszczam mowę i śmiech. unoszę ramiona na wdechu, opuszczam na wydechu, ponieważ płuca są trampoliną dla obojczyków i łopatek. biegam na nosie jak paweł stasiewicz, mądry człowiek. dużo do odpakowania, tyle lat na próby.

partytura – oczy

patrzyłem zachwycony jak w tańcu znikają mi dłonie

ruszałem się tak powoli że znikalem cały

kiedy pozostał tylko wzrok był wszędzie

bardzo chcę wspomnieć o wzroku, odzyskać go trochę, zauważyć. myślę, że jest nogami wśród zmysłów – ciągle w gotowości, przeczołgany, wykorzystywany do wszystkich niezbędnych działań, a potem do jeszcze większej ilości zbędnych.

nie mam wprawdzie żadnych sprawdzonych superpatentów na regenerację oczu. mało tego – zmagam się z koszmarnym uzależnieniem od ekranów. wiem jednak, że nowy taniec bierze wzrok pod lupę, uwzględniając perspektywę performerki, jak i osoby na widowni. proponuje praktyki na chwilę zmieniające optykę, ale o potencjale wykraczającym znacznie poza sytuację sceniczną.

wymienię tu kilka artystek, których praca jest dla mnie szczególnie inspirująca.

barbary dilley mówi o *infant eyes* – sposobie patrzenia na wszystko i na nic jednocześnie. próbując wprowadzić się w ten stan, dobrze zacząć od pozycji w leżeniu na plecach, czyli takiej, w której spędzaliśmy dużo czasu po przyjeździe na świat. pomaga wyobrażenie galek ocznych opadających w głąb oczodołów, sprawia ono, że patrzymy poniekąd od podszewki, widzenie jest miękkie, peryferyjne, niedrapieżne, ochoczo zwraca się ku nowym bodźcom¹.

lisa nelson stworzyła *tuning scores*, serię partytur improwizacyjnych opartych na obserwacji ruchu, ponieważ, jak sama mówi: ekscytacja, kiedy widzę kogoś w ruchu. ekscytacja, kiedy dostrzegam fizyczne odczucia przejawiające się w czymś ruchu – tym, jak sądzę, jest taniec. dodaje, że „nie ma obrazu bez uczestnictwa”, przekazując tym samym część odpowiedzialności widzom i widzkom. *tuning scores* to zadania dekonstruujące elementy kompozycji (ruch, pauza, mówienie, odwracanie sekwencji), które mają nam uwidocznić sposób, w jaki patrzymy, a tym samym – czemu nadajemy znaczenie¹¹.

deborah hay, ostatnia z przywołanych tu choreografek, po tygodniowym warsztacie w berlińskim tanzfabrik zostawiła mnie w stanie oszołomienia. nie rozumiałem zbyt wiele z jej abstrakcyjnych koncepcji dotyczących nie tyle performansu, co jakiegoś zestawu narzędzi do obsługi relacji międzyludzkich w wersji extended, bo byłoby to trochę tak, jakby ktoś próbował pojąć tao w likend albo

ogarnąć wszystkie konteksty u italo calvino. niemniej jednak zostałem zwodowany, zacząłem patrzeć inaczej, to znaczy: uzmysłowilem sobie, że między mną a podmiotem/przedmiotem, którego dotykam wzrokiem, jest przestrzeń do zagospodarowania. nie znaczy to bynajmniej, że mam do niej dostęp. przeczuwam natomiast, że w tej przestrzeni pomieszkują wszyscy artyści i artystki butō i że można się w niej ukryć, będąc jednocześnie odsłoniętym.

prowadząc zajęcia z improwizacji tanecznej, często słyszę od osób, że uwielbiają tańczyć z zamkniętymi oczami. potrafię to doskonale zrozumieć, to uczucie śledzenia uwagą zmiany kształtu, dostrzeganie subtelnych rzeczy. z drugiej strony czuję, jak bardzo wzrok, wykorzystywany na różne sposoby, wzbogaca taniec – nie tylko o kompozycję, ale również o relację, nie tylko z innymi osobami, ale także z miejscem. zdarza mi się, że wówczas proponuję osobom, aby otworzyły oczy i patrzyły tak, jak patrzyły przy zamkniętych.

zamiast zakończenia – otwarcie

zacząłem od wspomnienia steve'a paxtona, a skoro pojawiło się w tekście jego nazwisko, to musi też się pojawić improwizacja kontaktowa – jest to klasyczny przykład czechowowskiej strzelby. improwizacja kontaktowa, w skrócie ik, to zainicjowana i współtworzona przez paxtona forma, uznawana dziś za jedną z najbardziej znanych przedstawicielek tańca postmodernistycznego (zwanego również nowym tańcem). wychodzi od badania niekończących się możliwości interakcji między ciałami w oparciu o dotyk, ciężar i ruch. ik jest dyscypliną open-source'ową – nigdy nie została objęta licencją czy kontrolowanym odgórnym systemem szkoleń. od początku chodziło o eksperyment, dosłownie i w przenośni, rozbijający sztywne formy ruchowe. jej immanentna anarchizacja jest, jak można się domyślić, błogosławieństwem i przekleństwem w jednym, ale to już temat na osobny tekst.

wspominam o improwizacji kontaktowej, ponieważ jest moim łęgowskiem. trafiłem do nowego tańca przez nią, podobnie jak wiele bliskich mi osób, a to dzięki progowi wejścia, który był ekonomicznie łatwy do przekroczenia (emocjonalnie już niekonieczny). po piętnastu latach intensywnej praktyki ciągle odkrywam nowe ruchowe wyimki, tańcząc, przeżywam momenty zachwyty, z radością obserwuję, jak ta forma tańca staje się polem debaty praktyczek i praktyków,

bo jak gąbka chłonie wszystkie ważne tematy dotyczące genderu, seksualności, relacji władzy, ableizmu etc. anya cloud i makisig akin, artystki z bijącego serca awangardy improwizacji kontaktowej, wychodzą w swojej pracy od zdania: co możemy osiągnąć wspólnie, czego nie zrobimy w pojedynkę. próbuję transponować je na świat poetycki i wyobrażam sobie duety osób piszących wiersze. chciałbym zobaczyć joannę lępicką tracącą równowagę z agnieszką wolny-hamkało, czy julka rosińskiego frunącego w kierunku piotra janickiego, a przez duety rozumie tutaj piętrzące się struktury leksykalno-kształtowe.

nie miałbym żadnej ukrytej agendy i nie oczekiwałbym żadnego efektu, spodziewałbym się jedynie dzięki przyjemności z samego przyglądania się takim sytuacjom i jestem więcej niż pewien, że przyniosłyby one korzyść zarówno tańcowi, jak i poezji.

czy właśnie popełniam egzaltowaną puentę ku chwale kolektywizmu? jeszcze jak! mało co jest tak ekscytujące jak wspólne obracanie w niwecz i upuszczanie ziarenek.

I więcej pod linkiem: [Tuning Scores Thesis.doc \(wordpress.com\)](https://www.wordpress.com).

II więcej: barbara dilley: this very moment – teaching thinking dancing; naropa university press, boulder 2015.

ANDRZEJ WOŹNIAK

– (1984) związany z Warszawą, gdzie pracuje jako nauczyciel improwizacji kontaktowej i edukator ruchu somatycznego w metodzie body–mind centering. W pracy edukacyjnej oraz artystycznej współpracował m.in. z uczelniami (Akademia Filmowa w Łodzi) i performerkami (Marta Ziółek). W czerwcu 2022 roku nakładem wydawnictwa papierwdole ukazała się jego debiutancka książka poetycka pt. *aikido*. wokalista punkowego zespołu ułła.



Justyna Kulikowska

Cztery rzuty bumerangiem

I

Napiszesz, że podawać w wątpliwość to trzymać pewność na krótkiej smyczy, lejcach lub wodzy, jak ludzie z Żeber trzymali psy, wujek również. Kwestia posiadania bywa zwodnicza, niczym stałość, władza lub pewność. Przypomina małą Wiszę (w domyśle: zgniatać kompleks czy praktykować złodziejstwo określenia?), płynącą za twoim domem. *Chodzi ci o to, aby nazwać rzecz; udźwignąć nienawiść, nazwę i frazę.*

II

Chodzi ci o to, aby nazwać rzecz albo nie ugiąć karku pod ciężarem frazy; Uswoić nienawiść, którą jadłaś łyżkami. Uglaskać nienawiść, która wyjadała cię srebrną łyżeczką; z czyjego wykradłaś ją dworku? Rzucić bumerangiem sumienia nad lewym dopływem Wiszy (w domyśle: studiować odwagę czy bezczelność?). Zaszyc się w wierszu, nie bacząc na kary i straty, wśród roślin wiechlinowatych cierpliwie czekać na powrót, wśród trzciny czekać na powrót cierpliwie – do siebie, z wiecznością pod pachą – w przyczajce. Czy tożsame jest jednym, tym samym?

III

Zaszyć się w wierszu, nie bacząc na straty i kary, wśród roślin wiechlinowatych
cierpliwie czekać na powrót, wśród trzciny czekać na powrót cierpliwie
– do siebie, z wiecznością pod pachą – w przyczajce. *Chodzi mi o to*,
aby przez dwadzieścia sześć lat powtarzać jeden wers
(w domyśle: precyzja jest kwestią najistotniejszą?).
Nie dla laurów, a żeby trafić:

IV

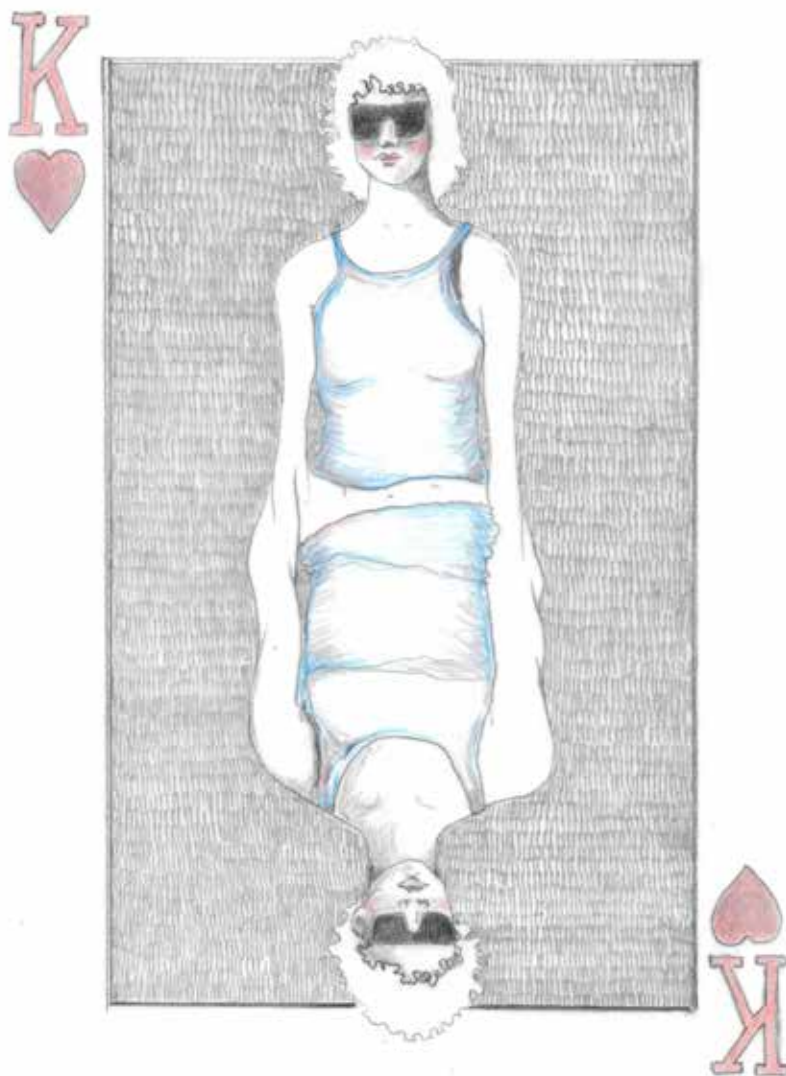
a żeby przerwać, by ucałować wieczność z przyczajki.

JUSTYNA KULIKOWSKA

– (1993) poetka. Autorka tomów *Hejt i inne bangery* (Ha!art, 2018), *Tab_s* (WBPiCAK, 2020), *gift. z Podlasia* (WBPiCAK, 2021) i *Obóz zabaw* (WBPiCAK, 2023). Nominowana do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (2022), dwukrotnie do Nagrody Literackiej „Nike” (2021, 2022). Laureatka Nagrody im. Kazimierzy Iłłakowiczówny (2019), Nagrody Literackiej Gdynia (2022) i Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego (2022 i 2024). Urodzona w Szczuczynie, bo w Żebrach nie było szpitala. Mieszka na Podlasiu.



fot. prywatne archiwum autorki



KATARZYNA ŚMIGIELSKA

– drogę ze sztuką zaczęła w Pracowni Reja 17 we Wrocławiu i kontynuowała poprzez studia na Wydziale Architektury i Urbanistyki na Politechnice Wrocławskiej, podyplomowe studia z malarstwa na wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych oraz podyplomowe kuratorskie studia z Mediacji Sztuki Współczesnej na ASP we Wrocławiu. Na co dzień uprawia malarstwo sztalugowe, rysunek oraz fotografię. Jest inicjatorką i kuratorką najmniejszej galerii w przestrzeni publicznej w mieście: Galerii nr 22 przy pl. Solnym we Wrocławiu oraz przestrzeni dla sztuki BABKI NA PIASKU przy ul. Piaskowej we Wrocławiu.



foto: prywatne archiwum artystki

Mateusz Guzy

4 wiersze

Obniżenie

Podobniśmy, chcesz czy nie, obłoku,
sunący jednostajnie nad zamarzłym polem,
nad pogorzelskiem po rodzinnym domu,
nad przelkniętą łzą człowieczą.
Pływak obojętny, dbasz o to tylko,
by przesywający cię harpun słońca
nakryć nową warstwą wielorybiego sadła.
Patrzę na ciebie i wiem, że wkładając maski
odlane z wyobraźnej pianki,
próbuję ukryć palące mnie prawdy,
jestem jak dziecko, co płacząc, klaszcze w dłonie.
Podobniśmy, chcesz czy nie, obłoku.

Przystanek

Potulnie milczą przyduszone butem zgliszcza
i tylko w loży, gdzie niemrawo łabędź ksyka,
toczy się jabłko, odwieczna broń buntownika,
strącone wiatrem. Obleczona rosą błyska

współczesna Troja. W zadymie wędrówki naszej
zjelczały trunki, w pył rozpierchnęło się jadlo,
lepkie światło dnia do błon powiek nam przywarło.
Coraz to trudniej sen przyszpilić w pełnej krasie.

Wrośliśmy w ziemię. Szczeźli ci z nas w ciele słabi,
lecz krzyk ich, wkrótce, znów nas w ruch obrzydły wprawi:
Dziedzicu, plucho, odwleczenia kłęski mrzonko!
Czyżbyś nad życiem zbiegł do dziennego porządku?

Psalm dwudziestodwuletniego

Dzięki Ci składam, ktokolwiek królujesz,
wedle woli roztrącając gromadki spasionych chmur,
wewnątrz których obslizgłe gromy wiją się
jak wodorosty pod smolistą falą.

Przyjmij hold. Kłaniam się Tobie,
łaskawco,
nieuznający pomiędzy nami żadnego rozłamu,
w godzinach pokrytych mgłą intymności patrzący moimi oczami,
spod moich brwi. Przyjmij hold, Ty, dający złudzenie
nieodwracalnej przemiany, choć w jawnym sekrecie
najzwyczajniej utrwalasz zastane
znamiona rozkładu.

Nie bez rozkoszy ciskałem w bezdeń Twoich skarbców
zlepione kwaśnym potem w mojej garści
stosy oboli. Przeliczałeś je z pobłażliwym uśmieszkiem,
sowitszej niż metal wyglądając zapłaty.

Doczekałeś się –

Dzięki Ci składam, ktokolwiek królujesz,
żeś mnie uczynił podobnym do żarłocznej nocy.
Ona, co w niej rozbłyśnie tym grubszą zaćmą otoczy,
im więcej wytchnienia taki blask przyniesie.
Mimo to nieustannie poluje,
łakoma,
na sute światła, zdolne choćby na chwilę
przyprawić jej mrokiem barw.
Nie miej mi za złe. Wiesz, że ja to jeden z wielu
służalców w opasającym glob zakonie,
pultających się w wahaniu
między roślinną adoracją a rozgniataniem kopnięciami
brudnych ognisk, palonych na Twoją cześć. Długo,
zdążając do wyższych wtajemniczeń,
uczyłem się na pamięć świata pod Twoim władaniem,
aby móc go później powtórzyć w sobie.

Oto jest więc miłość: parzenie się na piasku,
kiedy rozchylonymi palcami różanych stóp
jutrzenka potrąca głowy ptaków w koronach drzew
jak najdelikatniej.
Oto jest więc miłość: odciski zaplątanych ud, wyciśnięte na żwirze,
które siąpiący deszcz, schodząc, bez skrupułów zliże,

z zakurzonej ziemi i z pamięci sprawców.
 W krok za nią nienawiść, czyli lupiną pozbawioną wartości odżywczych
 napychanie i tak już przepelnionych policzków,
 nim zdąży się natknąć na wychodzącego zza rogu
 żebraka o pofałdowanej twarzy i wątrobie.
 Miłość, nienawiść spamiętałem,
 także chciwość, która każe łopoczącej we mnie pieśni
 zrodzić się pod dotknięciem,
 nie dbając czy na potępienie,
 czy na kres wszelkich pragnień,
 podskórny odzywa się chór.
 Słysząc ich, niepotrzebnych. Krzyczą
 w czas kiedy jedni płócienne kaptury naciągają na zmarznięte jabłonki,
 a inni pagórki białego proszku siekają
 nad zaproszoną już umywalką.

Prawdziwe góry pocą się pod skrzepłym śniegiem,
 jęzorami potoków tykają płynnej łąki,
 po której przechadza się wiatr, kapryśny pasterz,
 fale tuczac na ubój. Jeśli mam sączyć Ci peany
 za cokolwiek, oprócz tego,
 że powleczone skwierczącym dymem słońce
 każdego dnia wstaje niemożebnie czyste
 z przecinającej pastwisko przy oczyszczalni rzeczulki,
 pełnej plwociny; To za ten czas niemrawy,
 kiedy coś jak jad pszczeli po kościach przebiega.
 O, przedświcie!
 ile razy leżałem podobny do liścia
 wycieńzonego, bo podczas burzy kurczowo trzymał się drzewa.
 Przede mną blat błyszczał,
 na nim widziałem swoją czaszkę,
 z jednym lokiem, w kopie zgniłych jabłek
 i widziałem ją wyraźniej
 niż jakiegokolwiek żywego człowieka,
 gdy nie poruszając ustami mówiła:
 cały świat się ku Tobie nachyla,
 ku podniebieniu Twemu. Aż z łoskotem się w Ciebie zapadnie,
 a za tej łaskotliwej rozkoszy chwilę
 przyjdzie Ci, jak przodkom, zapłacić szyją.

Pary zajadle łączą się, rażone głodem trwania,
 ale niepotrzebnie, bowiem widzę Cię nad kołyską.
 Ubijasz mleczną pianę śliny przy różanych ustach niemowlęcia
 przejętego zazdrością. On czoło, dziś miękkie jak chmura, kiedyś przed Tobą pochyli.

Dzięki Ci składam, ktokolwiek królujesz.

Zagrzewanie do walki

Kiedy noc czubkiem skrzydła obszar ziemi muśnie,
spóźniony wieczór tafle wód pogłaszcze,
ja rozstawię dwa krzesła rzeźbione fikuśnie,
na ganek dębowy stół, pocąc się, wytaszczę.

Na jego twardym blacie stawię wszystko co mam:
morele, pomarańcze, soczystych jabłek kram.
Dziadkowe wino podam, jak trzeba, w karafce.
Wskażę kosz z chlebem, gdy już spytasz „co tak pachnie?”

Nie będę długo czekał. Przyjdiesz zmordowana,
na widok mój i stołu lekko się uśmiechniesz.
„Wiesz, znowu spędziłam dzień na samym dnie ciała.
Tak mnie to męczy. Proszę, opowiedz coś pięknie”

Gwiazdy to grudki śniegu topniejące w rzece,
na samym dnie przestworzy. Para z chmur je znaczy.
Jednak wracają co noc, jaśniejsze niż przedtem –
„Starczy. Może zatańczmy? Ty tak świetnie tańczysz”

Zatańczymy, a później...

... będziemy leżeć, studząc swoje ciała w trawach
i patrzeć sobie w oczy, tak inne w świetle dnia.
Przez śmiech spytasz „mówiłeś mi o śnieżnych gwiazdach,
a słońce?” Słońce, powiem, to polykacz ognia.

Zaś w tle, w końcu czemu nie?,
będzie grała lutnia.

Przekaz

Nie żebym kazał chwytac dzień,
do baniek po mleku wtłaczać świty,
kiedy kości trzeszczą, a w mózgu spięć
nie starcza, by stronę choć przeczytać;

Nie żebym kazał, życiu wbrew,
przygarniac starość według nowej mody
i wcale nie uważam też,
że świat ten późny wiek osłodzi,

Ale jest siła w naszym mrówczym trudzie,
w znoszeniu listków na wspólne mrowisko.
Powiedzą dobrzy i uczciwi ludzie
„Srogo się męczył”, i to będzie wszystko.

MATEUSZ GUZY

– (2002) obecnie student Uniwersytetu Warszawskiego. Poezją zainteresowała go matka, nauczycielka języka polskiego. Za swoje wiersze dwukrotnie nagradzany w konkursie poetyckim „GAPA” (Grudniowy Akademicki Przegląd Artystyczny).



foto: prywatne archiwum autora

Maciej Julian Krotke

5 wierszy

Gastronauci

Często masz głowę tak zaprzątniętą
Jakimś, kurwa, czymś do zrobienia
Albo czymś do roztrząśnięcia,
Jak na przykład to, że czy kojarzysz,
Kiedy polbruk debiutował na białostockich chodnikach,
Bo pamiętasz tylko sześciokąt trylinki
I kwadraty płyt ułożonych prosto,
Lub we wzór z tureckich swetrów,
I ten asfalt z nalewaka,
Ze skamielinami bieżników,
Czasem miękki latem,
Zawsze twardy zimą.
A przecież to ważne.
I kiedy zajmują cię takie właśnie kwestie,
Wiem, że wtedy zjemy obiad
W barze astronomicznym,
Bo mamy do polatania
Przy plackach przyodzianych w niebo
Z gęstą nutą sedna.

Sky is the limit

moją uwagę przykuwa
energetyczna zumba w budynku szkoły
na tablicy ogłoszeń u wejścia do bloku
mają też fitness twarzy gimnastykę słowiańską
i amerykański angielski
kiedyś była tam niedroga stolówka
tak prosto z ulicy
albo na abonament

Złote tarasy

Wysuszyłem dłonie tą z mocniejszych suszarek.
Podmucha powietrza był jak ostra kartka,
ścinająca widma papilarnych źrenic.

Zwykle ludzkie głosy puszczone samopas
są jak monotonne wzory w posadzkach z granitu,
jak pył telewizorów mielony w ekranach,
ale są cieplejsze i miłsze dla uszu, dla miąższu małżowin,
organicznych membran.

Mają w swej naturze kojące substancje,
stałem i koilem wrogie nerwobóle,
tak przez dłuższą chwilę, aż we mnie przysnęły.
Namysł manekinów nie ruszał się z miejsca,
w witrynach odbicia tasowały siebie.

W empikach dużych miast jest odrębny dział poezji
(ale to nie jest aż tak, że te empiki z tego słyną)
i jak ktoś lubi, to może postać.
W moim mieście jak ktoś lubi, to nie może postać
(ale to nie jest aż tak, że moje miasto z tego słynie).

Zaraz jesień zrobi gęściej.
Wiatr przyniesie grube kurtki.
Skradną przestrzeń jak airbagi po coming oucie.

Patrzą jak wszyscy suną zgodnie do nieba lub piekła.
Cisze obcasów na ruchomych schodach
przywodzą na myśl chwilowe pauzy
w szumach konstelacji.
W szumach kontemplacji świata.

Wysoko, szeroko, przepastnie, wśród pionowych ścian.
Falują szklane sufity ponad podłogami.
Pogrążone w kryzysie tożsamości sieci,
łowią wielką pustkę krytych oceanów.

Do zobaczenia...

Wróciłem Słowackim, który był jak Mrozek.
Gros pasażerów kupiło miejscówki.
Ich miejsca nie istniały.
Wagony nie istniały.

Potem autobusy wśród mrocznych hektarów
i senne dorożki pośród światła nocy.

All inclusive

Leżąc nad basenem buduję nową cywilizację
Wraz z kolejnym łykiem
Wciąż nic o niej nie wiem
Wraz z kolejnym łykiem
Wiem że się nie dowiem
Wiem tyle że ma być inna
Lepsza
Z aktywniejszą substancją dobra

Poza tym mam w niej więcej zarabiać
Ty też
Ma tam nie być głodnych cierpiących dzieci i zwierząt
I diabłów Szekspira
Akwariów Suworowa
Terrariów zoologicznych więzień
Terroru ludzi z Mordorów

Wraz z kolejnym łykiem
Zasypiam na słońcu
Obudziłem na księżycu
Skąpana w półmroku postać w skafandrze astronauty
Zmiała regolit z kamiennego chodnika
Nieistniejące ślady kłapek
Różniły się od śladów butów Armstronga
Od śladów opon Armstronga
Od dźwięku nut Armstronga
Od arm strong Arnolda
Od papilarnych linii Konga

Świecący błękit basenu
Podrabiał popołudniowe niebo
Przez moment wydawało mi się że widzę w nim rybę
Ale to tylko złudzenie dopraszało się o ważność

XX wiek (ciągle świeże)

wołowe bitki
kiszony ogórek
sos
całe ziemniaki
poduszone w nim
widelcem

cerata
w biało-niebieską kratę
biały taboret
z szarym laminowanym
siedziskiem

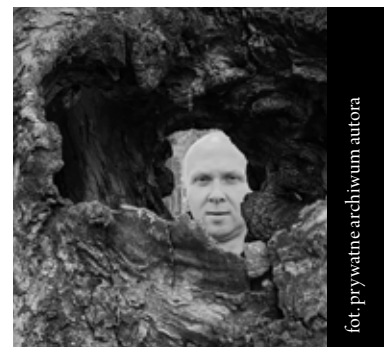
jedzone zanim wystygnie

za oknem czeka
dwudziesty wiek

znajome śmiechy
słońce i kapsle

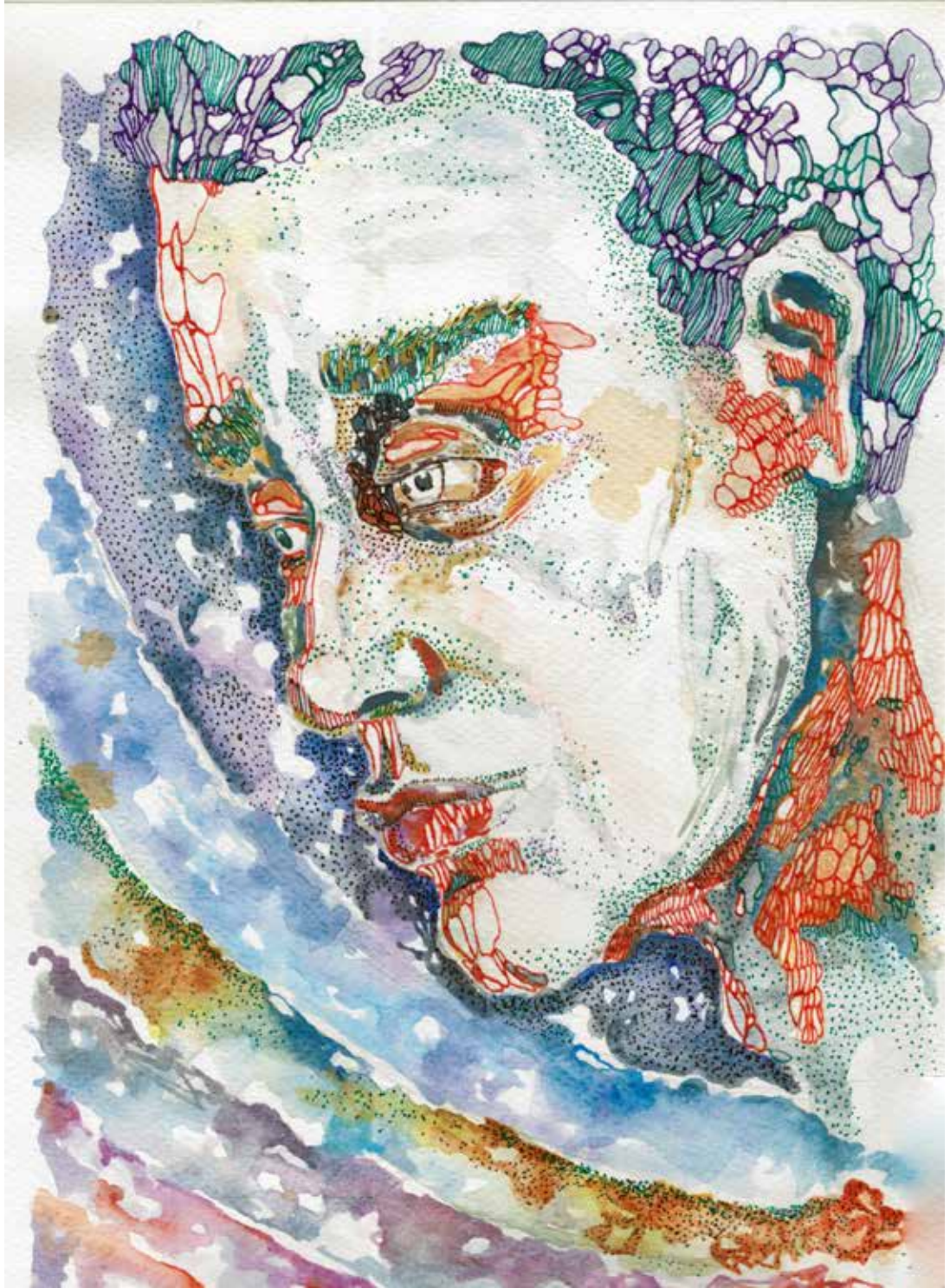
MACIEJ JULIAN KROTKE

– (1976) ukończył filologię polską na Uniwersytecie w Białymstoku. Laureat XXXIII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J.I. Kraszewskiego zorganizowanego przez Białskie Centrum Kultury w Białej Podlaskiej (2017, kategoria proza). Teksty publikował w piśmie literackim „Epea”, gazecie literackiej „Migotania”, e-dwutygodniku literacko-artystycznym „Pisarze.pl”, pomorskim magazynie literacko-artystycznym „Latarnia Morska”, miesięczniku literackim „Akant”, magazynach internetowym „Helikopter”, „Suburbia”. W maju 2023 roku został wyróżniony Nagrodą Książnicy Podlaskiej za wiersz zgłoszony do Turnieju Jednego Wiersza „Niech zwycięży poezja” organizowanego w ramach VII Edycji Festiwalu Literackiego „Autorzy i Książki”. Mieszka w Białymstoku.



fol. prywatne archiwum autora

Nasturcja Podolak



Jakub Żąbkiewicz

9 wierszy

z okazji urodzin

rzeźnik przyjechał w samą porę wczesna zima śnieg
do kostek niedługo moje urodziny ojciec
ostrzy nóż oselką lecą iskry jak salwa
seria strzałów wiem co to strzał oglądałem
westerny po których nosiło mnie nad staw gdzie pasła się
siwa koza i stary koziół przeżuwał mleczko i pozwalał
trzymać się za rogi wkrótce dzień
dobiegał końca wbito ostrze strumień krwi
już wpływa do studzienki
po urodzinach zostało trochę mleka
i mięsa na przyrost kości

skąd przychodzę jeśli nie z łona kobiety
z jej pierwotnych lęków przed biedą
przed jej wiecznym dziewictwem
wyśmiewającej sąsiadów i chleb
owijany w gazetę nowomiejską to ja
czytałem na pierwszej stronie wieści
o upadku mleczarni a później cukrowni
z której po kryjomu
wyniosła odprawę ośmiu paczek cukru
białego po czym wiedziałem
jakie jest słodkie dzieciństwo i czułem
jak strach
karmi mnie czymś innym

szkielet

z dwustu sześciu kości wydanych na pośmiewisko
przyglądała się moim zębom jedno z nich lewe
wygięte wystaje niemalże przebija skórę
pod którą jedna nerka gorzej pracuje otwierała
moje usta paszczę zwierzęcą trzydzieści

dwa zęby nieco żółtawe dla których śliniła się
boże jak ona całuje zajrzała mi w czaszkę
rozklekotaną odchodząc jak ona odeszła
bez moich kości niepozbiernych

nie najgorzej tam trafiłeś trzy znośne zmiany
daj sobie dwa miesiące a później
się zobaczy jak długo zostaniesz i pilnuj klucza
od stalowej szafki nie wszystkim
możesz ufać i wierzyć pilarzom stolarzom
a najbardziej tym ze zwieszoną głową
obciętymi palcami niezdarnych rąk
to z nich bierze się nienawiść do siebie
i swojej przeszłości za którą pokutuj
wraz z nimi dopóki patrzysz

w pierwszych latach twojego umierania nie pytałem
o pewne sprawy bądźże ciszej synku
wtedy nosiłaś dwa aparaty słuchowe mówiłem głośniejszy
kiedy radio tranzystorowe ultra w ojcowym kącie
traciło fale i już tylko słuchałem pieśni
„z dawna polski tyś królową”
w sobotę pomożesz tacie układać drewno i nie biegaj
do późna z kolegami
wróciłem szybciej płakałaś później krzyczałaś
i znowu płakałaś schowałem się w szafie
ty też będziesz głuchy ty też będziesz
wymyślał się jak już było ciemno ona spała twardo
na stole w kuchni zmoczone łzami wyniki badań
trudno było rozczytać
dzisiaj synku bądźże trochę ciszej a jeśli bóg
pozwoli poumieramy jeszcze

gdyby robotnicy przystawili muszlę do
ucha, co by usłyszeli? pewnie to samo,
szum jak dźwięk agregatora i słońce
łechtalooby czerwoną skórę.
było napisane tak: praca czyni wolnym,
więc po co nam brzeg morza, o bogowie,
spuśćcie na nas kary,
w transporcie pracowniczym jedna
butelka na trzech rozbudza śmiałość.
nasza podróż jest czarna, tak samo było
w zeszłym roku, powiedzieli starsi,
ty zostajesz z nami. już za późno,
żeby tłumaczyć, lecz powiadam: czytajcie
napisy na bramach, bo ja widzę słabo.

szedłem i wydawało się jakby zima nadeszła
tak nagle mróz i pękająca skóra na dłoniach
ciepła krew
płynąca korytarzami linii papilarnych
słodki strumień wytarłem ustami a było lato
matka zbierała ogórki nie wiedziała
zacznie padać deszcz a wtedy wrócę
zbiore pranie rozwieszę na strychu
byle nie poplamieć nowych pościeli
ojca w domu nie było
jeździł po budach rowerem bez parasola
pewnie zatrzymał się u Werfla i dobrze
zdążył przed deszczem
zdążył być ojcem i mężem i dużo modlił się
o ten deszcz aż matka wróciła do ogórków
i przyszła zima moje dłonie nie kłamią

opowiedzieć o sobie żeby to miało ręce
ze wszystkimi palcami dłoni i żeby palce nawet
jeśli w delirium lub złożone w amen
dokończyły za mnie
bo nie wiem jak mówić proszę
dorysujcie mi aureolę
przebijcie bok na krzyżu
załóżcie królewskie szaty
wystrzelcie salwy w gwiazdy wyjawię
tajemnicę i zerwę
pakt z diabłem
bo wiem już wszystko
nie jedzcie kapusty w której porzucił mnie bocian
nie liczcie sekund między piorunami ani
wymyślanych co noc owiec
nie mnożcie przez zero
wtedy zacznę mówić

o czym myślą inni z pewnością pełną
szukają jak ja i błędą po grzędawiskach
straszą ich nieproszone sny i robią im
na złość całkiem podobnie jest rano
szczęśliwi którzy nie wstają wieczorem
nie śpiąc jeszcze zanim zasną
za pochodnią włócząc się w ciemności
noktowizory nie dają jasności
przemieszczają się z rdzenia i płatów
łagodnie bądź straszliwie szukają jak
wszyscy dobrej myśli i ja też szukam
cudzej nawałnicy tego krzyku
który zawsze stwierdza
jesteśmy sami

JAKUB ZĄBKIEWICZ

– urodziłem się 13 grudnia (w piątek) w 1996 roku nieopodal rodzinnej wsi Brzozie Lubawskie w województwie warmińsko-mazurskim. Od siedmiu lat mieszkam w Katowicach. W 2015 roku ukończyłem szkołę zawodową, zdobywając fach hydraulika. Przez kolejne dwa lata uczyłem się w liceum dla dorosłych, czego zwieńczeniem była zdana matura, a zarazem rozpoczęcie studiów niestacjonarnych z organizacji produkcji filmowej i telewizyjnej w Katowickiej Szkole Filmowej. Przez dwa lata pracowałem w fabryce mebli, później chwilowo jako akwizytor oraz windykat. Pracę licencjacką obroniłem w 2020 roku, a magisterską w 2023. Sporadycznie zajmowałem się produkcją filmową i organizacją festiwalu filmowego, lecz obecnie, już od prawie sześciu lat zarabiam na życie jako pracownik magazynowy.

Julek Rosiński

6 wierszy

mały semestr

Mati wziął mnie na spektakl, który zaczynano od połowy
i tylko się ciągle bałem, że nas zabiją tym, co tam mają,
że po naszej śmierci wybiegną jak grali
do autokaru podstawionego na tyły farbiarni.
Nasza policja będzie musiała przejechać całe miasto,
ale chociaż tamci, na Capri albo w Mikulowie,
opowiedzą swym umalowanym dzieciom,
co widzieli.

niedziela

królewicz, kręcąc dłuugimi rękami,
biega wokół tallińskiego pałacu.
śnieg zasypał kuce i mały okręt.

jak dotąd nikt nie opuścił kółka:
zakładnicy, biorąc za żony labędzie,
unikają wymiany na coś słabszego.

odprowadzani przez towarzyszy,
śpiewając specjalne pieśni,
schodzą za nimi pod wodę.

Nowodwory

Mongołowie czule myją swe toyoty,
by całymi rodzinami jeździć w otwartej trawie,
wieźć przez nią drzwiczki ogrodowe
albo wory z odzieżą.

na ciele schnie co zmokło,
wychowuje się pokonane.

jeśli znajdą co nam wypadło,
równie dobrze mogą zobaczyć nas we śnie,

będziemy podsłuchiwani.
z wybitym wysoko słońcem,
by dało się jeszcze podbiec i wrócić.

mnich buddyjski w zoo warszawskim

za nakrapianą szybą oksfordzkiego zeszytu
przechadza się matematyczka,
powtarza: „moje słonie nie chciały się parzyć,
więc sprzedaję je miejscowym watażkom pojedynczo...”.

nasze szklarnie są należycie oddalone
i już zawsze będziemy czuć jej zapach,
nawet gdy w ścianach wytną nam przejścia do sal sąsiednich.

za oknem dziko rośnie jedynie włoszczyzna,
przy śmietniku na włosku obraca się spokój.

duży semestr

1.
pierwszego dnia wiosny gospodarze
wiozą łódki daleko w głąb lasu,
ojciec gubi się na drabinie,
znosi kiszony, byśmy je ukryli

przyplływ porzuca wodę pośrodku pola.
mężczyzna owinięty w frankę odbiera telefon

2.
nigdy nie byłem szklarzem, kłamałem,
zabijałem świnie
dla najlepszych lokali Targówka,

gdzie czuć każdy ruch kuchni,
a przed wejściem znudzone dzieci
jeżdżą na moich świninach
walczyć



Katarzyna Śmigielska

zbudzi cię wrzask rosnących kwiatów

Karce Krasny

wołam o ścianę imiona was wszystkich,
wasza lista płonie.

rzut monetą jest wolniejszy niż oko Marty.
moglibyśmy tak stać cały dzień.

orzeł wzlatając rozłupuje skałę na której siedział.
należy zjeść śnieżny orzech, należy wtoczyć się do wieży
i zagrać hejnał.

rozłupać wieś i las.
rozłupać gniazdo,
poruszyć trutnie.

JULEK ROŚIŃSKI

– pięćdziesiąt małych na jednym drzewie. publikowały, wydały, siedzą.

nr 1/2024 (12)



fot. prywatne archiwum autora

Kamil K. Pilichiewicz

Rozmowy Świetlickiego z Miłoszem ciągi dalsze

I.

Marcin Świetlicki, Trrr [albo] Rozmawianie (na koniec wieku)

W redakcji „Tygodnika Powszechnego” odezwał się telefon. Trrr. Trrr.

W redakcji „Tygodnika Powszechnego” odezwał się telefon. Zawsze mnie licho kusi w niewłaściwym momencie i zawsze jestem w niewłaściwym miejscu.

Trrr. Trrr. Podniosłem słuchawkę. – „Tygodnik Powszechny” – powiedziałem. W słuchawce odezwał się Czesław Miłosz, zdecydowanie głosem Czesława Miłosza.

– Tu Czesław Miłosz – powiedział. – Z kim mówię? – zapytał. – Marcin Świetlicki – odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, głosem Marcina Świetlickiego. – To ja poproszę z kim innym – powiedział Czesław Miłosz.

II.

Kontynuacja rozmowy (po krótkiej ciszy)

Marcin Świetlicki: *Cały pokój jest obwieszony Marcinami. / Przynajmniej raz w tygodniu wiem jednego Marcina. / Mgła wisielcowa jest prawie tak gęsta, / jak chmura papierosowego dymu. // Ten – bo nie chciał. Tamten – bo nie umiał. / Tamten – bo go zmęczyło. Tamten – bo nie wierzył. / Obracają się w rytmie kłótni za ścianami / i nic nie znaczą. Najważniejszy – nowy // Marcin wisi pod lampą, wciąż podnoszę głowę / i robię straszne miny w jego stronę, wierząc, / że skoro drży – to wstyd mu tego, że tak / czeka i że nie umie czekać, że czeka jak dziecko // na Gwiazdkę, czeka na kobietę [...].*

Czesław Miłosz: *I coraz częściej z otwartymi ustami / Z gasnącym papierosem Gauloise / Nad szklanką czerwonego wina, / Myślę o tym co znaczy być tym a nie innym.*

MŚ: *Tym tylko jestem, co powiedzieć zechcę.*

Mówię coś, wolalbym, / żeby samo się mówiło, / żeby samo się grało, [...] Mówię coś, a w głowie / mam stare

numery / telefonów, / nieaktualne adresy, / mnóstwo / bardzo / wulgarnych / wyrazów.

CzM: *Co nam do tego, / że w wielkim trzęsieniu ziemi część północnej Kalifornii / zapadnie się w morze, // Że rozważana będzie legalność małżeństw z komputerami, // Że powstanie cybernetyczne cesarstwo planetarne.*

MŚ: *Ciekawy eksperyment. Telewizor umarł. / Nie żałujemy nazbyt. Jedyny mankament, / że już nic nie zagłusza szczekania sąsiadek. / Ale za to Kochamy się głośniej. I bardziej. // Ciekawy eksperyment. Jest tak, że się wszystka / elektryczność skończyła, lecz nie tylko ona, / także i w innych światłach trwa powolna czystka, / zapalki nie chcą płonąć, przemokły, i kota / oczy nie świecą nazbyt w tych ciemnościach, / zimnościach, piwnicznościach, w których stanął dom. // A więc światło umarło. Wiele martwych światel / leży przede mną, w tym bezkształtnym mroku. / Ze wszystkiego się zawsze uda robić wiersze, / z martwego światła także.*

CzM: *Miałem dawniej takie chwile podczas pisania wierszy, więc znam dystans, / bezinteresowną kontemplację, przybranie na siebie „ja”, które jest „nie-ja”, ale / teraz jest tak ciągle i zapytuję siebie, co to znaczy, czyżbym wszedł w trwały stan / poetycki.*

A przecie świat jest inny, niż nam się wydaje, / I my jesteśmy inni niż w naszym bredzeniu. [...] Ten pożytek z poezji, że nam przypomina, / jak trudno jest pozostać tą samą osobą, / bo dom nasz jest otwarty, w drzwiach nie ma klucza, / a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą.

MŚ: *Klucz od skrzynki na listy istnieje wyłącznie / w przeszłości. W szczelinie biel widnieje, [...] Nie światło to, lecz / galopujące Teraz.*

CzM: *Co było wielkie, małym się wydało. / Królestwa bładły jak miedź zaśnieszona. // Co poraziło, więcej nie poraża. / Niebiańskie ziemie toczą się i świecą. //*

Na brzegu rzeki, rozciągnięty w trawie, / Jak dawno, dawno, puszczam łódki z kory.

MŚ: *Och, jakżeby to wszystko. Pięknie wyglądało. Rozpisane na wersy. Jakżeby to wszystko. Pięknie wyglądało. Ale sytuacja. Oraz środowisko. Oraz sumienie. Nie zezwalają.*

CzM: *[...] powinniśmy być świadomi naszego zamknięcia w kręgu własnych doznań, nie po to jednak, żeby sprowadzać rzeczywistość do snów i majaków naszego umysłu.*

MŚ: *Zbudzony. Zgubiony. / Z ciemnej ziemi startują pierwociny traw. / Po omacku. I po co? Bez siebie, bez czasu. / Czas tak bardzo przestrzenny się okazał, że aż / jest niewidzialny. Zgubiony w ciemnościach. / Obudzony. I po co? A gdyby wciąż nosił / zegarek, który dostał na Komunię Świętą.*

CzM: *Mieście zrozumienie dla ludzi słabej wiary. // Ja też jednego dnia wierzę, drugiego nie wierzę. // Ale jest mi dobrze w modlącym się tłumie. [...] Naturalnie, jestem sceptyczny, ale razem śpiewam, / pokonując w ten sposób przeciwieństwo / pomiędzy prywatną religią i religią obrzędu.*

MŚ: *Czasami jestem hamburgerem. / Sterczy ze mnie salata i musztarda cieknie. / Czasami jestem podobny śmiertelnie / do wszystkich innych hamburgerów. // Pierwsza warstwa: skóra. / Druga warstwa: krew. / Trzecia warstwa: kości. / Czwarta warstwa: dusza. // A ślad / twoich zębów / jest najgłębiej, / najgłębiej.*

CzM: *To nie prawda, że jesteśmy mięso, / Które przez chwilę gada, rusza się, pożąda. // Mylne są plaże z mrowiem obnażonych ciał / I tłumy na ruchomych schodach metra. // Na szczęście nie wiemy, kim jest ten człowiek obok. / Może być bohaterem świętym, geniuszem.*

MŚ: *[...] w cieniu i w ciemnych okularach, oczy / są otwarte na osłep, ja kabłąk i embrion, / pierwsza ostatnia litera, na kacu, / w suszy, na mchu pełnych ostrych / roślinnych drobin, w poprzek trasy mrówek, / niedaleko lotniska helikopterowych / wałek, na kacu i w suszy, gdy las / schyla się zgodnie z wiatrem, prosta prawidłowość, / ja nie zmieniam pozycji, ani drgnę, [...] nie rzucam cienia,*

jestem w cieniu, jestem / cieniem, na kacu, na mchu, embrion, kabłąk, ja, / zredukowany i redukujący.

CzM: *Ciebie zapraszam dziś do arki, / Która przez czasu potok wartki / Na nowe brzegi nas poniesie.*

MŚ: *Kraków i Nowa Huta. / Sodomia z Gomorą. / Z Sodomy do Gomory / jedzie się tramwajem. // Chodzę po mieście. / Chodzę po mieście. / Opluty. / Opluty. / Opluty. ...*

Wyjechać i się zbudzić w obcym mieście. / Koniec świata. Ludzie chodzą do góry głowami. / Szłydy nic nie znaczą. / Obcy język. Nie ma języka. // Ludzie niczego nie chcą ode mnie. / I nikt nic, nikt nic. // Stanąć w pełnym świetle. / Znaleźć pierwszą knajpę. / Przejrzeć się w podłodze. / I nikt nic. Nikt nic. Nikt nic, nikt nic. ...

CzM: *[...] właściwą postawą wobec istnienia jest szacunek, należy więc unikać towarzystwa osób, które poniżają istnienie swoim sarkazmem i pochwalają nicość*

MŚ: *Do kogo mówię? Bo mówię – i przecież / mówię po polsku – – – – – Zaraz słońce padnie / za krawędź.*

W pewnym wieku nie ma po co dzwonić. / W pewnym wieku raczej dzwonią oni / i one dzwonią, bo nie są w tym wieku.

CzM: *A ty nie raduj się, człowieku, / Że zgon poety grają bębny. / Z płaczem go wspomną wnuki wieku. / Bardziej, niż sądzisz, był potrzebny.*

MŚ: *Kopce byłego śniegu. Były dzień byłego / życia, jutro się zmieniają dekoracje. Dzisiaj / krążyć i kluczyć po krótkim odcinku / ulicy, drzwi otwierać, wchodzić, / tonąć, na klamce brzytwa, pić gdzie indziej, szybciej, / nierozsądnej. O końcu wiem, nie wiem / co pomiędzy.*

CzM: *Spełnią się twoje życzenia, obrócisz się wtedy / Ku czasowi utkanemu z dymu i mgły, // Ku mieniącej się tkaninie jednodniowych żywotów, / Która faluje, wznosi się i opada jak niezmienné morze.*

MŚ: *Urojony deszcz / zamalowuje podwórze na nieco ciemniejszy / odcień szarości.*

CzM: *Opadły ze mnie poglądy, przekonania, wierzenia, /*

opinie, pewniki, zasady, / reguły i przyzwyczajenia. // Ocknąłem się nagi na skraju cywilizacji, / która wydała mi się komiczna i niepojęta.

Okazuje się, że to było nieporozumienie. / Dosłownie wzięto, co było tylko próbą. / Rzeki zaraz wrócą do swoich początków, / Wiatr ustanie w krążeniu swoim. / Drzewa zamiast pączkować będą dążyć do swoich korzeni.

MŚ: [...] z kapralami nie piję.

Żarcik, po prostu żarcik, ja zażartowałem / i widzę oczy: och, mój Boże, to jest / najgorsze – zażartować, potem / zobaczyć oczy bez wyrazu, ależ uraziłem, / ależ skrzywdziłem, ależ nasypałem / soli na rany! Tyle lat czytania / książek na marne! To był żart, no, proszę / mnie zrozumieć, to było do śmiechu...

CzM: Człowiek mówiąc nie powinien używać słów dla niego drogich / Ani rozłupywać ziarna, żeby zobaczyć, co jest w środku. / Nie powinien rzucać kruszyny chleba ani płuc w ogień / (Tak przynajmniej uczono mnie na Litwie). / Jeżeli wstępuje na marmurowe schody / Cham, niech stara się wyźłobić butem szczerbę / Na przypomnienie, że schody trwać nie będą.



Katarzyna Śmigielska

MŚ: Po zdjęciu czarnych okularów / ten świat przerażający jest tym bardziej. / Prawdziwy jest. Właściwe barwy / wpelzają we właściwe miejsca. / Wąż ślizga się po wszystkim, co napotka. / Właśnie nas dotknął.

I wszystko w jednej chwili staje się wyraźne. // I krążę po ulicach. Kurtkę po młodym donaszam. / I krążę po ulicach. I patrzę uważnie. // I nie umieram. Ja tylko na moment przepraszam.

CzM: Tak mało powiedziałem. / Krótkie dni. // Krótkie dni. / Krótkie noce. / Krótkie lata. // Tak mało powiedziałem. / Nie zdążyłem. // Serce moje zmęczyło się / Zachwytem, / Rozpaczą, / Gorliwością, / Nadzieją. // Paszcza lewiatana / Zamyka się na mnie. // Nagi leżałem na brzegach / Bezludnych wysp. // Porwał mnie w otchłań ze sobą / Biały wieloryb świata. // I teraz nie wiem, / Co było prawdziwe.

III.

Dopisek do rozmowy, która się nie odbyła (ale słowa zostały wypowiedziane)

Część czytelników może być nieco zdezorientowana wcześniejszą rozmową Marcina Świetlickiego z Czesławem Miłoszem. Jako reżyser tego spektaklu spieszę wyjaśnić, że byli Państwo świadkami literackiej mistyfikacji. Jednak mistyfikacja ta nie jest całkowita. Ów dialog „tylko” na pewnym jego poziomie stanowi fikcję. Ale po kolei... Do „zaaranżowania” sytuacji zainspirował mnie wiersz Marcina Świetlickiego *Rozmawianie (na koniec wieku)*, znany też pod innym tytułem (*Trrr z tomu Wybór*), cytowany w całości na początku rozmowy, która w rzeczywistości się nie odbyła. W wierszu tym podmiot w osobie samego Świetlickiego, pracując w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, odbiera telefon do tejże redakcji. Po drugiej stronie słuchawki odzywa się poeta-noblista Czesław Miłosz. Dochodzi między nimi do krótkiej wymiany zdań, z której można wywnioskować, że niemożliwe wydaje się odnalezienie przez nich wspólnej płaszczyzny porozumienia, dialogu

Postanowiłem, być może wbrew intencji autora wiersza, tę ich rozmowę kontynuować (w części II). Jednak kolejne fragmenty wypowiedziane przez obu poetów to nie jest jedynie potok wymyślonych przeze mnie słów, poprzedzielanych akapitami i ukośnikami. Zapewne część z Państwa domyśliła się, że każdy akapit przyporządkowany

do danego „rozmówcy” to urywek bądź cały wiersz jego autorstwa, a każdy ukośnik oznacza granicę wersu tego wiersza. Fikcyjna zatem jest sytuacja, ale słowa to prawdziwe cytaty, prawdziwe liryczne wypowiedzi, które osadzone zostały w często zupełnie nowych ramach kontekstowych. Ten kolaż sklejonny z fragmentów wierszy eksploruje pewne tematy (poezja, religia, doświadczenie przeszłości, natura rzeczywistości itp.), ale bynajmniej ich nie wyczerpuje. Na przykładzie rozmowy, która nie miała miejsca, wskazuje, że nawet w obrębie tak odległych od siebie, wyrazistych osobowości poetyckich możliwe jest zawiązanie pewnej nici porozumienia, możliwy jest dialog, nawet jeżeli odbywa się on na zasadzie kontrastu i w sferze, na którą obaj autorzy nie mają bezpośredniego i całkowitego wpływu – czyli w przestrzeni wyobrażeń i refleksji czytelnika-odbiorcy. A więc czy faktycznie rozmowa się nie odbyła? To zależy, jak rozumiemy konwersację między dwoma poetami.

Jeżeli przyjąć, że wiersz jest formą artystycznego wyrażenia poety w słowie, wyrażenia skierowanego na zewnątrz, do konkretnego odbiorcy, formą kodu językowego przeznaczanego dla czytelnika, kodu upublicznionego, a zatem służącego do wielokrotnego „użycia” („spożycia”) – wtedy okazuje się, że i owszem – poeci prowadzą rozmowy z czytelnikami i innymi poetami, dopóki ich słowa pozostają w świadomości tychże, dopóki ich słowa „dzwonią” w myślach odbiorców komunikatu lirycznego. Jak zauważa za Hansem-Georgiem Gadamerem Krzysztof Michalski: „Jeśli międzyludzka komunikacja jest w istocie nieskończoną rozmową, w której – i nigdzie indziej – ciągle na nowo tworzy się sens świata, filozofia – refleksja nad tą rozmową – nie może zakładać, że ów sens jest gotowy”. A zatem nie tylko rozmowa ta się odbyła. Głos w metaforycznej

sluchawce nie zamilkł ostatecznie. Rozmowa się nie skończyła, a Wy, Czytelnicy, jesteście kolejnymi jej ogniwami, jesteście tego dialogu kontynuatorami, budowniczymi nowych sensów, budowniczymi ciągów dalszych.

IV.

Wiersze, które przywoływano (w kolejności ich przywoływania)

Marcin Świetlicki: *Trrr* [albo] *Rozmawianie (na koniec wieku)*; (***) *Cały pokój jest obwieszony Marcinami*); *Falstart*; *Parasolki*; *Wiersz bez światła*; *Okolo*; *Och*; *1 kwietnia, Wągrowiec, Polska*; *McDonald's*; *Postępy*; *Opluty (44)*; *Franek Chrzonszcz*; *Sześć razy Coltrane*; *Dzwonienie*; *W dobrym starym stylu*; (***) *Budząc się z ręką złożoną spokojnie*); *Tygrysia piosenka*; *Rzewne jaja*; *Pod wulkanem*; *Na moment przepraszam*.

Źródła: M. Świetlicki, *Wiersze*, EMG, Kraków 2011; M. Świetlicki, *Wybór*, Wolno, Lusowo 2021; „Lampa i Iskra Boża” 2000, nr 16 (21).

Czesław Miłosz: *Co znaczy*; *Co mnie*; *Stan poetycki*; *Ars Poetica?*; *Co było wielkie*; *Czego nauczyłem się od Jeanne Hersch?*; *Traktat teologiczny*; *O nierówności ludzi*; *Traktat moralny*; *Poeta*; *Młodość*; *Po*; *Ten świat*; *Powinien, nie powinien*; *Tak mało*.

Źródło: Cz. Miłosz, *Wiersze wszystkie*, wyd. III, Znak, Kraków 2018.

KAMIL PILICHIEWICZ

– doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, kulturoznawca, eseista, krytyk literacki, pracownik naukowy Książnicy Podlaskiej, stały współpracownik Uniwersytetu w Białymstoku, redaktor i sekretarz kwartalnika „Bibliotekarz Podlaski”. Publikuje artykuły naukowe, szkice, recenzje m.in. w „Toposie”, „Twórczości”, „Nowym Napisie”.



fot. Justyna Sawczuk

Olga Rembelińska

Wałdowo. Gawęda

Mój tata miał dar opowiadania baśni wywiedzionych z własnego życia. Czasami przypominał mi barona Münchhausena. Czuję dużą potrzebę podzielenia się nimi z czytelnikiem. Przybywam więc do was, by przelożyć je na język pisany. Pochodzą one z okolic Wałdowa, wsi położonej na Kaszubach. Mieszkałam tam, gdy byłam jeszcze bardzo mała.

Zacznę opowieść od podwórka. Mojego późniejszego dzikiego placu zabaw. Trzy rosnące na nim świerki zapadły mi wyjątkowo w pamięć. Były piękne i tajemnicze, sięgające chmur. Podobno w czasach, gdy ojciec hodował kury, czaił się w nich jastrzęb. Zlatywał ze szczytu jak szybowiec i porywał biedną kurę, odlatując z ofiarą w szponach daleko poza zasięg ludzkiego spojrzenia.

Działo się to dawno, na długo przed moim urodzeniem.

W odległych czasach, gdy rozumiano jeszcze prawa natury. Odchodzenie kur było tam naturalną częścią cyklu życia i śmierci.

Zagłębiając się w moje baśnie, poznać chwytały, nalewaki i śpiewaki. Dłuższą opowieść o Hirku oraz o byczku Fernandesie, który naźarł się rosnących w ogródku konopi indyjskich i szalał po lesie niczym duch pokutnika. Warto nadmienić, że wszystko to wydarzyło się naprawdę.

Hirko

Poprzednim właścicielem naszego domu był Ukrainiec Hirko. Niewiele o nim wiadomo poza tym, że był przesiedleńcem. Okoliczności jego śmierci są jednak ciekawe i straszne zarazem. Otóż Hirka znaleziono przed domem, siedzącego z otwartymi oczami, zupełnie martwego. Miejscowi potem mawiali, że zobaczył śmierć. Uważali też, że dom stał się nawiedzony, i nikt nie chciał już w nim mieszkać.

I wtedy pojawił się mój ojciec; właśnie rozpadła się jego małżeństwo ze znaną malarką i rzeźbiarką, która, jak sam twierdził, w życiu okazała się równie awangardowa. Przyjechał starą pobiedą prosto z Warszawy i zamieszkał w nawiedzonym domostwie. Z daleka od problemów, ale przede wszystkim z daleka od ludzi.

Przez pierwsze miesiące panował spokój, ojciec powoli remontował sobie dom. Pewnej nocy usłyszał łomotanie do drzwi. Za moment zaś za szybą pojawiła się owłosiona głowa z podkrążonymi oczami.

– Coś ty za jeden?

– Hirko!

Na ułamek sekundy ojciec się zawahał. Rozmawia z człowiekiem czy z duchem?

– Może, panie Hirko, umówimy się na spotkanie w ciągu dnia?

– Jak mnie, kurwa, nie wpuścisz, to powybijam ci wszystkie okna w chałupie!

Wahanie natychmiast się ulotniło. Ojciec sięgnął po dubeltówkę, wycelował prosto w okno. Zapalił światło. Zgasił je. Hirko znikł.

Dla pewności i wewnętrznego spokoju ojciec zadzwonił na milicję. Usłyszał:

– O cholera, przecież on może pana podhajcować!

Tak się jednak nie stało, wręcz się okazało, że niedoszły duch był synem Hirka. A dokładniej górnikiem, który porzucił pracę. Na użytek opowieści przypomnijmy, że w czasie stanu wojennego porzucenie kopalni było równoznaczne z dezercją. Przybył więc do domu rodzinnego, żeby się ukrywać.

Młody Hirko po próbie „zamordowania go”, jak sam to potem relacjonował, udał się następnie do sąsiadów. Sterroryzował dzieci, które były same w domu, i zasnął na podłodze.

Rano zwinęła go milicja. Morał z tego jest taki, że czy mamy do czynienia z duchem, czy też nie, w chwilach wątpliwości zawsze warto wycelować mu w łeb.

Byczek Fernandes

Byczek Fernandes zjawiał się w Wałdowie na skutek wygrania go na wiejskiej loterii. Swoje piękne imię zawdzięczał bajce *The Story of Ferdinand* w przekładzie Ireny Tuwim. Był istotą wypełnioną miłością, nieustannie pragnącą ją wyrażać na swój byczy sposób, to jest czochraniem łba o ciało jego

„taty”. Należało zatem mocno złapać się słupa i pozwolić stworzeniu na dowiedzenie swojego uczucia.

W niejasnych dla mnie okolicznościach ojciec wszedł w posiadanie nasion konopi, które postanowił zasiać w przydomowym ogródku. Byczek Fernandes pewnego wieczora oswobodził się i niczym rasowy rastaman pochłonął zielone, świeże krzaczki sativy. A cóż to była za noc: księżyc w pełni – warunki idealne na nocne łowy. Uzbrojony w sztucer, ubrany w moro, ojciec ruszył do lasu. Jeszcze nie wiedział, że ktoś za nim podąża.

Gdy przedzierał się przez pole, nagle zleciały się puszczyki; wyraźnie zaintrygowane, pohukiwały. Wtem przyczyna ich raptownego zgromadzenia ujawniła się wraz z przeciągłym „miau”. Nikt inny jak sama Mrumra, kotka domowa, postanowiła potowarzyszyć tacie na lowach. Cóż było robić, kot wylądował pod pachą i szło się dalej w las. Mrumra, po przekroczeniu granicy sosen, cicho stąpała łapkami po podłożu i nie stanowiła już problemu. Tata zaczął się więc na brzegu leśnej polany na dziki.

Gdy już miał oddać strzał, w lesie rozległo się przeciągłe, przerażające wycie wraz z odgłosem brzęczącego łańcucha. Tym duchem-pokutnikiem okazał się byczek Fernandes, który przewalał się z hukiem przez waldowski las. Kiedy ojciec dostał się w końcu do byczego rastamana, zauważył wywalony jęzor i obłąkane ślepie. Byczek był kompletnie naćpany. Tej nocy z lowów wyszły nici, a ojciec powrócił do domu z dość osobliwą ferajną przy boku. Została jednak po niej piękna gawęda.



Dzieciństwo dziewczynki ni to ze wsi, ni to z miasta

Wiele lat później dom zapełniła moja rodzina, w tym ja. Rodzice byli z miasta, ale miejscowi ich akceptowali. Chowałam się wśród Kaszubów jak swoja, jednocześnie w domu nie chowałam się do końca po wiejsku. Byłam i jestem mieszanicem. Dzikim dzieckiem włóczącym się po lesie w poszukiwaniu drwa na opał. Owszem zajmowałam się młodszymi siostrami, ale raczej z potrzeby niż obowiązku.

Dni spędzałam również na obserwacji ptaków i szwendaniu się po okolicy z kotkiem przy nodze. W latach dziecięcych zdarzało się, że śmieci wypalano na dziko w dołach. Wpadały mi więc do głowy genialne pomysły, żeby na przykład smażyć kielbaski na patyku w takim właśnie aromatycznym „ognisku”.

Stwory

Zabawa, którą dobrze zapamiętałam, nazywała się „stwory”. Z punktu widzenia współczesnych modeli wychowania może się wydawać kontrowersyjna, ale obie z siostrą bardzo ją lubiliśmy.

Polegała na odgrywaniu przez ojca różnych ról. Był więc śpiewak, który wyśpiewywał napis z poniemieckich kafelków w kuchni: „zgoda w kuchni złotem jest” („das Einverständnis in der Küche ist so kostbar wie Gold”). Z tego, co pamiętam, nie był groźny, ale dla pewności chowałyśmy się przed nim pod stół. Był też nalewak, który jak można się domyślać, nalewał wodę na głowę i trzeba było przed nim uciekać.

Był też i ryś, który łapał nas pazurami i przerzucał z impetem na łóżko. Jeleń, który mógł nas stratować kopytami. Był też łoś, najłagodniejszy ze stworów, który przepowiadał nadejście najgroźniejszego z wszystkich: chwytała.

Chwytała mieszkał w ambonie i przychodził straszyć dzieci, że jeśli będą niegrzeczne, urwie im głowę.

Zabawa wpisywała się w wiejski model straszenia nadprzyrodzonymi mocami i dziwadłami, by dyscyplinować dzieci. Jednocześnie bardzo wyraźnie odwoływała się do przyrody, wzmacniając uważność na jej obecność w naszym życiu.

Posłowie

Na studiach etnograficznych nauczyłam się, że opowieści o przodkach i relacjach z domem rodzinnym są sposobem na budowanie własnej kulturowej biografii. Domowe legendy, mity zapewniają nam dozę mistycyzmu, oświetlają moment naszego przyjscia na świat. Nie wiadomo do końca, jakimi prawami rządzą się mechanizmy pamięci opowiadającego. Na pewno pragnie on dotknąć żywej materii języka mówionego, często ubarwiając opowieść, wzbogacając ją o zaskakujące zwroty akcji (niekiedy kosztem mijania się z prawdą). Przechowywanie takich rodzinnych mitologii daje wrażenie, że istnieje jakaś ważna ciągłość z przeszłością. Podskórnie daje ufność, że przyszłość nie jest znowu taka niepewna. Zwłaszcza jako dzieci wprężnięte w proces akulturacji, gdy nasza wiedza o świecie jest niepełna, musimy wierzyć oraz ufać dorosłym.

Mail od Taty

To jak dotyk różdżki Harry'ego Pottera prosto w serce. W moje serce. Fernandes upomniął się o swoje prawa „dziecka”. Przecież oderwałem go od mamy, więc stałem



się Jego Tatą. I zaczęła się moja i jego fantastyczna przygoda, której bazą była jego nieprzypadkowa miłość do mnie i moje zdumienie, że uczucia nie są naszą ludzką wyłącznością. I że ten rodzaj miłości jest skazany na dramatyczny koniec. Twoje końcowe refleksje traktuję jako zapowiedź fascynujących możliwości w Twojej hipotetycznej opowieści o Dzieciństwie. Dla mnie dzieciństwo to kraina utraconych baśni do dziś... Budzisz nadzieję, że może uda się je odnaleźć. Jestem wzruszony i czekam...



OLGA REMBIELIŃSKA

– z wykształcenia jest etnologką. Publikowała m.in. w „Etnografii do kieszeni”, „Babińcu Literackim”, „Szajn” czy „Stonerze Polskim”. Jej wiersze znalazły się w antologiach pisma „Inter” oraz „Babińca Literackiego”. Open format DJ i host radiowy w Rave FM @djyellowmanula. Jest wielbicelką komputerów retro: ZX Spectrum, C-64 i Amigi. Jej debiutancki tom *Klaster* (Ha!art, 2023) został wydany w ramach Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO.



fot. prywatne archiwum autorki

Michał Mytnik

Nollywood a sprawa dialogu międzykulturowego

O dialogu w kulturach i myślach afrykańskich + Nowotwór kolonialny

Nie bez powodu używam liczby mnogiej od słów „kultura” i „myśl”, tytułując ten wstęp. Afryka to kontynent zaopatrzonej w bardzo reaktywną na zmianę warunków i parametrów, mnoga, a przy tym niesamowicie różnorodną maszynię społeczno-kulturowo-filozoficzną. Można ją sobie wyobrazić jako olbrzymie ciało gęsto obrosnięte kulturami-maszynami-narządami. Jedyne granice, jakie można szczegółowo wyznaczyć na tymże ciele, to granice państwowe, które są nowotworem epoki kolonializmu.

Czy jesteśmy w stanie powiedzieć, czym właściwie jest kultura i myśl europejska? Określenie tych terminów jawi się raczej jako karkołomne zadanie. Na tym niewielkim skrawku Ziemi, jakim jest Europa, jesteśmy w stanie różnić się nawet bardziej niż znacznie i chętnie to podkreślamy. Pomimo przeświadczenia o indywidualności własnych narodów i ojczyzn, przez lata europejscy badacze podejmowali próby, aby opisać prawie trzy razy większy kontynent jako jedność i całość – sprowadzić mnogość kultur do postaci molowej.

Przed erą nowotworu – kolonializmu – organizm i jego maszynki funkcjonowały wspólnie!

- Żyły rzeczne, wokół których kwitło rolnictwo i dyskusje na temat odpowiedniej hodowli!
- Pozostający w wiecznym ruchu układ noma-dyczny; ajaj, co to było gadane, i z kim!
- Brak ścian komórkowych!
- Pączkujące w nowych kierunkach szlaki handlowe, które przyczyniły się do stworzenia i popularyzacji języka suahili na wschodnim wybrzeżu!

- Ten brak maszynierii śmierci!
- Ten brak nowotworu!
- Te gadki, rozmowy, dialogi!

W takich warunkach nikt nie był w stanie powstrzymać dialogu. Nie dajcie sobie wmówić, że w Afryce nie było kultury, że białasy zrobiły dzikusom przysługę – to okropna narracja, to skandal. Myślicie, że z kimkolwiek próbowano się tam dogadać? No oczywiście, rozmowy z wodzami plemion niby toczono, ale bliżej im było do dialogu dialektycznego niż dialogicznego – do relacji typu I – It niż I* – Thou^{1,2}. W żadnym wypadku nie można twierdzić, że głównym celem kolonizatorów było podjęcie dialogu z Afrykańczykami. Kolonizatorzy przybyli tam, by dzielić, grabić, korumpować, krzywdzić i czasem rozmawiać, ale zwykle tematem były pieniądze lub władza.

Gęstość dialogowa w Nigerii + Rola rozrywki narratywnej w procesach kształtowania tożsamości

Ponieważ – tak jak zaznaczyłem na wstępie – Afrykę należy postrzegać jako mnogość, a nie jedność, zdecydowałem się, by napisać o tym, jak wyglądają procesy dialogowania (wewnętrznego i zewnętrznego) w bardzo konkretnym regionie i w ramach bardzo konkretnych maszyn społecznych. W związku z czym postanowiłem prześledzić historię rozrywki narratywnej (z naciskiem na kino) w Nigerii.

Na terytorium tego kraju mówi się ponad 500 różnymi językami, z czego najpopularniejszymi są joruba, hausa i igbo. W żadnym innym regionie Afryki nie mamy do czynienia z tak olbrzymim zagęszczeniem dialektów.

1 R. Panikkar, “Chapter 2: The Dialogical Dialogue”, [w:] *The Intra-Religious Dialogue, Revised Edition*, Paulist Press, New York 1999, s. 23–40.

2 Prof. Eric Dodson on Martin Buber’s Dialogical Philosophy, <https://www.youtube.com/watch?v=16Cr82mLhkw> (dostęp: 1.05.2024).

Jednocześnie jedynym językiem urzędowym w Nigerii jest angielski. Oczywiście należy postrzegać to absurdalne zjawisko jako jedno z powikłań nowotworowej choroby kolonialnej. Z drugiej jednak strony fakt ten może być w niektórych (podkreślam, że w niektórych) sytuacjach korzystny zarówno dla kwestii związanych z zewnętrznym, jak i wewnętrznym dialogiem międzykulturowym, popkulturowym, cywilizacyjnym itp., itd.

Nigeria to państwo podziałów, ale również dialogu, a przez to także dynamicznej dyfuzji międzykulturowej. Badacze nie są zgodni co do ilości grup etnicznych zamieszkujących ten kraj. Liczby, jakie podają w swoich pracach, wahają się między 250 a 400. Tak czy inaczej jest to niewyobrażalna ilość odrębnych, wchodzących ze sobą w niestanny dialog kultur, które różnią się językami, historią, tradycją, filozofią, rytuałami i wyznawaną religią.

Dlaczego rozrywka narratywna? Nie upieram się przy stanowisku, że jest to najlepszy wybór. Dokonałem go, kierując się intuicją. Rozrywka wydaje mi się najbliższa pragnieniom, które są wolne od reżimów. Analizując kwestie dialogu w ramach rozwiązań systemu politycznego, np. nigeryjskiego power sharingu, mam wrażenie, że oddaliłbym się od tematu dialogu dla dialogu, a przyśpieszał w stronę dialogu dla polityki, choć to również niezwykle interesujący temat! Niemniej chciałbym dotknąć czegoś możliwie najczystsze, frywolnego, pozbawionego więzów. Chciałbym spotkać się z medium, którymi chcą mówić Nigeryjczycy, do których ciągnie ich wolne pragnienie. Nie musi to być mądre, nie musi to mieć za wiele kalorii, nie musi to mieć treści, nie musi nic musieć. Chciałbym tym tekstem przybliżyć Wam historię Nigeryjskiej kinematografii, jej dialogu z kolonializmem, opowiedzieć, w jaki sposób za pomocą kamer młode pokolenie Nigeryjczyków pragnie odzyskać głos w dialogu o ich własnych kulturach.

Tradycja jako służebnica przyszłości + Bajka na dobranoc

Wśród znaczącej części nigeryjskich ludów (szczególnie tych wyznających islam) wybija się idea, w ramach której tradycję postrzega się jako służącą przyszłości. Wchodząc w dialog z tradycją przekazywaną nam za pośrednictwem rytuałów, obrzędów, sztuki czy rozrywki, Afrykanie

aktywnie uczestniczą w procesach kształtowania swojej przyszłości.

Tradycja ustnego opowiadania historii jest bardzo głęboko zakorzeniona w większości grup etnicznych zamieszkujących tereny dzisiejszej Nigerii. W wielu domach opowiadanie historii było i wciąż jest najpopularniejszą, jeśli nie jedyną, z rozrywek. Nie potrzebujemy urządzeń, maszyn czy narzędzi, aby opowiedzieć trzymającą w napięciu bajkę. Potrzebujemy tradycji, potrzebujemy wejść w wewnętrzny dialog z opowieściami, które były nam opowiadane, abyśmy mogli je odtworzyć, przeobrazić i opowiedzieć na nowo. Jeszcze do połowy pierwszej dekady XXI wieku dla wielu nigeryjskich dzieci właśnie tak wyglądała rozrywka. Godwin Iretomiwa Simon – nigeryjski badacz i wykładowca z QUT School of Communication – w taki sposób wspomina swoje dzieciństwo:

„Dorastałem w Ado Ekiti, mieście położonym w południowo-zachodniej części Nigerii. Pod koniec lat 90. mój ojciec regularnie zbierał rodzinę na opowieści przy świetle księżycy, które odbywały się na otwartej przestrzeni naszego podwórka, gdzie przesiadywał na swoim ulubionym drewnianym krześle. Wszyscy młodszy członkowie rodziny, w tym ja, z niecierpliwością wyczekiwaliśmy tych wieczorów, ponieważ nie mogliśmy się doczekać epickich opowieści o naszym rodzinnym mieście, a także o przebiegłości żółwia, który był uważany za najbardziej podstępne ze wszystkich zwierząt. W większości z tych opowiadań żółw sam komplikował swoją sytuację, próbując „pójść na skróty”. Pewnej nocy ojciec opowiedział nam historię o żarłocznym żółwiu, który usłyszał o ptasiej uczcie, jaka miała się odbyć na niebie. Wiedząc, że nie potrafi latać, żółw skorzystał z pomocy przyjaciela, który przemocował do jego ciała sztuczne skrzydła. Dzięki nim żółw mógł polecieć do nieba. Kiedy dotarł na ucztę, wszystkie ptaki były wielce zaskoczone jego obecnością i okrzyknęły go bystrzakiem. Jednak żółw, jak zwykle, sam sprowadził na siebie kłopoty, zjadając bardzo dużo jedzenia i pijąc bardzo dużo alkoholu. Pod wpływem trunku wyrwał sobie część piór. Zanim zdał sobie sprawę z konsekwencji swoich poczynań, wszystkie ptaki odleciały, pozostawiając na pustym skrawku nieba osamotnionego żółwia. Zdezorientowany żółw upadł z hukiem na ziemię, rozbijając przy tym swoją piękną skorupę. Choć otrzymał pomoc w naprawie skorupy, nigdy nie była ona tak piękna jak dawniej. Takie

moralne historie często mieszały się ze śmiechem, napięciem, a czasem smutkiem. Zwykle na zakończenie wieczoru ostrzegano nas, by nigdy nie być jak żółw”³.

Kilka słów o nigeryjskim kinie kolonialnym + Film dumnie rasistowski

Pierwsze nigeryjskie filmy kręcono już na początku XX wieku, kiedy to władzę w tym kraju sprawowała kolonialna administracja brytyjska. Niezależne kino praktycznie nie miało wtedy prawa zaistnieć. Główną przeszkodę stanowiły oczywiście wysokie koszty produkcji filmowej. Brytyjczycy nie byli skłonni do finansowania nigeryjskiej sztuki, szczególnie tak kosztownej. Obawiali się między innymi serwowanego przez rodzime twory kultury ideologicznego przekazu, który poprzez dialog z odbiorcami mógłby zachęcić ludność do buntu i w ten sposób gwałtownie przyspieszyć procesy wyzwolenia. Co prawda obywatele Nigerii bardzo szybko zachłysłeni się ideami panafrkanizmu oraz narodowego nacjonalizmu, które przyczyniły się do uzyskania niepodległości 1 października 1960 roku, ale kolonizatorom bardzo zależało, aby w żaden sposób nie przyspieszać biegu wydarzeń.

Nie jest to jednak prawdą, że w okresie kolonialnym na terenie Nigerii nie powstały żadne filmy. Te, które udało się sfinansować, były głównie dziełami europejskich twórców i zwykle skupiały się na wychwalaniu „misji cywilizacyjnej” białego człowieka w Afryce. Za pierwszy film nakręcony na terytorium Nigerii uznaje się trwający prawie dwie godziny *Palaver: A Romance of Northern Nigeria* (1926). Część ról w tym tak hojnie finansowanym przez Wielką Brytanię niemym filmie została odegrana przez nigeryjskich naturszczyków. Mogło być to zarodkiem marzeń o własnym przemyśle filmowym, który opowiadałby historie Nigeryjczyków w sposób, w jaki oni sami sobie tego życzą,

oraz przemyśle, który tworzyłby filmy, jakie chcieliby tworzyć i oglądać Nigeryjczycy.

O czym właściwie jest *Palaver*? Opowiada o konflikcie między brytyjskim oficerem a zazdrosnym o niego nigeryjskim górnikiem. Ten drugi postanawia podburzyć plemię przeciwko swojemu rywalowi i w ten sposób doprowadza do tragicznej w skutkach wojny. Czy zatem może dziwić nas fakt, że *Palaver* został uznany za kolejny przykład rasistowskiego kina kolonialnego? Czy dialog międzykulturowy, jaki tutaj nastąpił, moglibyśmy rozpatrywać w kategoriach dialogu dialogicznego? A może mamy tu do czynienia z monologiem europejskich kolonizatorów pragnących przedstawić Nigeryjczyków jako dzikusów? Trudno mieć inne zdanie, zwłaszcza jeśli prześledzimy wypowiedzi reżysera – Geoffreya Barkasa, który wspominając obsadę *Palaver*, mówi o „pogańskich plemionach kanibali” i snuje teorie o ich „ślepej dzikości”⁴. Segun Akande – nigeryjski producent filmowy, reżyser, fotograf, aktor i scenarzysta, który obronił dyplom na Pekinńskiej Akademii Filmowej – w taki sposób podsumował schedę po *Palaver*:

„Pierwszy film nakręcony w Nigerii był dumnie rasistowski. [...] Mimo że został wyprodukowany w Nigerii, *Palaver* został stworzony dla publiczności brytyjskiej. To nie przypadek, że narracja filmu była zgodna z rozpowszechnioną w Europie ideą, mówiącą, że kolonizatorzy wyświadczają przysługę Afrykańczykom, których kolonizują”⁵.

Oddolne inicjatywach wewnętrznego dialogu po 1960 roku + Nomadyczne trupy

W niepodległej Nigerii filmy powstawały sporadycznie i były uzależnione od finansowego wsparcia elit oraz rządu⁶. Pomimo tego, że gospodarka napędzana była przez wydobywanie ogromnych złóż ropy naftowej, to inwestycja

3 G.I. Simon (2024). „They are now pocket videos, not home videos”: Streaming and reconfiguration of video consumption in Nigeria, „International Journal of Cultural Studies” 2024, 27(1), s. 82–98, (tłumaczenie własne).

4 M.C. Ekenyerengoz, *NOLLYWOOD MIRROR*, Lulu.com 2013, *passim*.

5 S. Akande, „Palaver”: The first movie ever made in Nigeria was proudly racist, 6 November 2017, Pulse.ng.

6 M. Chowdhury et al., *Nollywood: The Nigerian Film Industry. Microeconomics of Competitiveness*, https://www.academia.edu/82108256/Nollywood_The_Nigerian_Film_Industry.

w wewnętrzny dialog międzykulturowy, który mógłby się przyczynić do pojednania i wygładzenia napięć społecznych, nie była priorytetem dla kolejnych, stale zmieniających się władz. Od uzyskania niepodległości aż do lat 90. kraj ten zmagał się z kolejnymi wojskowymi zamachami stanu. Trudno było mówić o jakiegokolwiek stabilności. W takiej sytuacji kwestia rozwoju kultury i prowadzenia przez nią dialogu między zwaśnionymi grupami etnicznymi stała się sprawą politycznie drugorzędną.

Przez większość ubiegłego wieku nad sztuką filmową dominował teatr, który w przeciwieństwie do przemysłu filmowego znalazł sposób na oddolną organizację swoich inicjatyw. Popularnością cieszyły się objazdowe trupy związane ze społecznością artystyczną ludu Yoruba, które rozpoczęły swoją działalność już w latach 30. Ich pełne energii i niezwykle widowiskowe występy przez lata zapewniały rozrywkę Nigeryjczykom. Pokazy te łączyły w sobie wiele różnych rodzajów sztuki. W skład większości trup wchodziłi muzycy i muzyczki, tancerze i tancerki, akrobaci i akrobatki oraz poeci i poetki. Prawdziwy dialog kultur i sztuk. Nomadyczna scena. Kondensacja totalna.

Kino nigeryjskie przed rewolucją cyfrową + Zakwit zewnętrznego dialogu

Dominacja teatru nad filmem nie mogła trwać wiecznie. Globalizacja spowodowała coraz to większe przesiąkanie zachodniej popkultury do świadomości spragnionych nowych form rozrywki Nigeryjczyków. W dużej mierze przyczynił się do tego język angielski, który – przypomnijmy – do dzisiaj ma w Nigerii status języka urzędowego. W konsekwencji doprowadziło to do wzniesienia marzeń o kręceniu własnych, amatorskich filmów.

Możliwość taka pojawiła się podczas boomu naftowego w latach 70., kiedy to rozkwit gospodarczy zbiegł się z liberalizacją handlu międzynarodowego, co umożliwiło import elektroniki. Handlarze z Lagos wprowadzili do obrotu telewizory, kamery, odtwarzacze i olbrzymie ilości kaset, które sprowadzano głównie z krajów azjatyckich.

Ponieważ ich ceny były przystępne, bardzo szybko zagościły one na stale w wielu nigeryjskich domach. Szacuje się, że do 2006 roku odtwarzacze VHS osiągnęły wskaźnik penetracji (określa on, jaka część populacji korzysta z produktu lub usługi) na poziomie ok. 57 milionów⁷, co w przypadku państwa, które w międzyczasie przechodziło transformację systemu politycznego, zmagало się z kolejnymi zamachami stanu, biedą oraz głębokimi podziałami na tle etnicznym i religijnym, jest wręcz niewyobrażalnym wynikiem. Liczba ludności w Nigerii wynosiła wówczas prawie 144 miliony.

Wraz ze wzrostem podaży na nową formę rozrywki pojawili się biznesmeni, którzy skupywali po bardzo niskiej cenie puste kasety VHS, nagrywali na nich pirackie kopie hitów z Hollywood, Bollywood i innych zagranicznych przemysłów filmowych i w ten sposób dorabiali się niemałych fortun. Filmy zagraniczne zdominowały domowe wieczory filmowe. Kwitł dialog z zewnętrznymi kulturami. A co z dialogiem wewnętrznym? Chociaż rewolucja była już naprawdę blisko, to o rodzimej produkcji filmowej, własnych narracjach, historiach zaczerpniętych z lokalnych tradycji i wierzeń Nigeryjczycy wciąż mogli tylko marzyć...

Narodziny Nollywood + Produkcja, dystrybucja, biznes

To, skąd się właściwie wziął termin „Nollywood”, jest nie do końca jasne. Bardzo możliwe, że określenie to pochodzi z dwóch oddzielnych artykułów z *New York Timesa*, które ukazały się drukiem w 2002 roku i dotyczą nigeryjskiej produkcji filmowej. W obu artykułach autorzy – Matt Steinglass i Norimitsu Onishi – używają tego terminu do opisanania nigeryjskiego przemysłu filmowego⁸.

Ważną postacią dla początków cyfrowej ery Nollywood był niewątpliwie Kenneth Nnebue. W 1992 roku pracował on jako sprzedawca sprzętu elektronicznego w Lagos. W prowadzonym przez niego sklepie zalegały tysiące czytanych kaset VHS zakupionych w atrakcyjnej cenie, ale niesprzedających się najlepiej. Kenneth Nnebue postanowił wykorzystać je i z pomocą kilkorga przyjaciół nagrać serię

7 D. Künzler, *The Nigerian Video Industry as an Example of Import Substitution*, University of Fribourg 2006, s. 1.

8 N. Onishi, *Step Aside, L.A. and Bombay, for Nollywood*, 16 September 2002, *The New York Times*.



Nasturcja Podolak

filmów dokumentujących tradycję objazdowych teatrów ludu Yoruba. Nakręcili oni ponad 40 takich dokumentów, zanim zdecydowali się nakręcić swój pierwszy film fabularny. *Living in Bondage* uznaje się za pierwszy film wielkiej cyfrowej rewolucji Nollywood⁹. Nigeryjczycy od lat byli spragnieni tego typu rozrywki, więc kasety sprzedawały się świetnie. Kenneth Nnebue zdobył budżet na realizację kolejnych pomysłów i w ten sposób został producentem filmowym. Oczywiście bardzo szybko znaleźli się jego naśladowcy, których przyciągały z jednej strony olbrzymie pieniądze, a z drugiej możliwość ekspresji twórczej poprzez tworzenie rozrywki, na którą jest popyt. Warto zaznaczyć, że to, co wyróżnia Nollywood od innych ośrodków filmowych, to przede wszystkim proces produkcji filmów oraz ich dystrybucja. Czynniki te miały kolosalny wpływ na dynamiczny charakter i nietypową ścieżkę rozwoju tego przemysłu.

Produkcja filmu rozpoczyna się od napisania scenariusza, który zwykle jest autorstwa producenta lub zostaje przez niego wybrany. Następnie producent kompletuje zespół złożony z reżysera, ekipy technicznej, aktorów, a nawet (jest to popularna praktyka) zaklinacza deszczu. Nagrania trwają ok. kilku tygodni, zazwyczaj nie dłużej niż miesiąc. Kolejnym etapem jest postprodukcja, która zajmuje przeważnie do dwóch tygodni. Cały proces trwa więc zaledwie ok. półtora miesiąca. Filmy nollywoodzkie tworzone są przez samouków za pomocą niskiej jakości kamer i mikrofonów. Ujęcia często kręci się z ręki, co ma znaczący wpływ na estetykę tychże produkcji. W licznych wywiadach twórcy Nollywood tłumaczą, że niska jakość ich filmów wynika z tego, że i tak sprzedawane są one na nośnikach,

które znacznie obniżają jakość nagrań. Poza tym ze względu na piractwo oryginalne filmy muszą być sprzedawane w bardzo niskich, konkurencyjnych cenach, co wpływa na ograniczanie budżetu. Nie znaczy to, że wartości estetyczne są gorsze, są po prostu inne. To kombinowanie sprawia, że rozwiązania stosowane w kinie nigeryjskim oraz ich styl są niepowtarzalne i wyróżniają się na tle produkcji innych ośrodków filmowych na świecie^{10,11}.

Po ukończeniu prac nad filmem rozpoczyna się proces dystrybucji. Zdecydowana większość filmów sprzedawana jest na lokalnych bazarach na nośnikach cyfrowych, takich jak kasety VHS, płyty CD i DVD¹². W ostatnich latach filmy z Nollywood coraz częściej dostępne są w serwisach streamingowych, zarówno tych skupionych na samym Nollywood, jak i światowych gigantach. Mniej więcej od dekady popularność zyskują festiwale skupione na Nollywood, organizowane w Nigerii, ale również w Londynie, Paryżu i Frankfurtach¹³.

Nollywood jest obecnie największym przemysłem filmowym w Afryce oraz jednym z trzech największych ośrodków przemysłu filmowego na świecie, konkurując na tym polu z amerykańskim Hollywood i indyjskim Bollywood. Uznaje się, że najwięcej filmów produkuje się w Indiach, gdzie w ostatnich latach powstaje ok. 1000 filmów rocznie¹⁴. W latach 2017–2019 w Nigerii produkowane było ok. 500 filmów rocznie. Olbrzymi przełom nastąpił w 2020 roku, w którym to powstało aż 2599 produkcji! Był to rok wyjątkowy i mimo że w następnych kwartałach liczba produkowanych filmów już tak nie imponowała, to wciąż utrzymuje się tendencja wzrostowa¹⁵. Dla porównania w latach

- 9 A. Olayiwola, *Nollywood at the borders of history: Yoruba travelling theatre and video film development in Nigeria*, "Journal of Pan African Studies" 2011, 4(5), 183-195.
- 10 E. Inyang, *Artistic language and communication aesthetics in Nollywood video films*, "International Journal of Communication" 2017, 7(4), s. 294–302.
- 11 J. Odedina, *Pattern of production elements in some Nollywood films (Corrected)*, Kwara State University, Malete 2020.
- 12 M. Chowdhury, op. cit.
- 13 J. Miller, *Global Nollywood: The Nigerian Movie Industry and Alternative Global Networks in production and distribution*, "Global Media and Communication" 2012, 8(2), s. 117–133.
- 14 Y. Hong, *The Power of Bollywood: A study on opportunities, challenges, and audiences' perceptions of Indian cinema in China*, "Global Media and China" 2021, 6(3), s. 345–363.
- 15 National Bureau of Statistics, *Nollywood Movies Production Data – Q2 2017 to Q1 2021 (n.d.)*, <https://www.nigerianstat.gov.ng/pdfuploads/Nollywood%20Movies%20Production%20Data%20%E2%80%93%20Q2%202017%20to%20Q1%202021.pdf>.

2017–2019 Hollywood produkowało ok. 800 filmów rocznie, a w 2020 roku powstały tam zaledwie 334 filmy¹⁶.

Motywy magiczne w kinie Nollywood + Zewnętrzno-wewnętrzne inspiracje zombie

W pierwszych latach ery Nollywood największej popularności wcale nie zyskiwały filmy tworzone na wzór zachodniego kina. Zamiast tego niezwykle chętnie poruszano tematy związane z lokalnymi wierzeniami i rytuałami, a przede wszystkim funkcjonującym w nich elementem magicznym. Filmy z Nollywood prezentują bardzo bogate spektrum motywów nadprzyrodzonych. Spotykamy w nich wątki związane z kultem satanistycznym, złymi duchami, czarną magią, eliksirami, kłatwami, czarownicami, magicznymi artefaktami, duchami zmarłych przodków – lista ta jednak nie wyczerpuje wszystkich motywów nadnaturalnych, które wykorzystywane są w nigeryjskim kinie.

Pochodzenie motywów nadprzyrodzonych w filmach nollywoodzkich jest w niektórych przypadkach kwestią dzielącą badaczy. Bez wątplenia motywy takie jak juju (kult magicznych przedmiotów i zaklęć w krajach Afryki Zachodniej), wiara w zmarłych przodków oraz odprawiane rytuały mają swoje korzenie w lokalnych wierzeniach związanych z tradycją ludów Yoruba, Hausa-Fulani i Igbo. W przypadku filmów o zombie sprawa nie jest już tak oczywista. Floribert Patrick Endong twierdzi, że motywy zombie w filmach z Nollywood najczęściej są próbą przedstawienia lokalnych religii, ale równocześnie zwraca on uwagę, że wielu nigeryjskich reżyserów inspirowało również kultowymi filmami o żywych trupach, które produkowano w Hollywood¹⁷. Chęć zróżnicowania estetyki filmów nollywoodzkich zmusiła ich twórców do importowania różnych koncepcji kulturowych i paradygmatów produkcji z Hollywood oraz globalnej kultury masowej.

Doprowadziło to do spopularyzowania thrillerów o zombie stylizowanych na zachodnie wyobrażenia. To hybrydowe natchnienie sprawia, że chociaż filmy z Nollywood opierają swoją historię na wierzeniach Nigeryjczyków, to jednocześnie wpisują się w ogólnoswiatowy kanon filmów o zombie. Zachodzi tu zewnętrzny dialog, którego zapis zostaje wpleciony w dialog wewnętrzny – odpowiadający za kształtowanie nigeryjskiej tożsamości.

Medium, jakim jest film, może służyć jako narzędzie socjalizacji i edukacji, a także może być środkiem komunikacji wartości kulturowych. Kultura odgrywa niezwykle istotną rolę w rozwoju jednostki w każdym ze społeczeństw, a także ma wpływ na to, w jaki sposób dany kraj postrzegany jest przez resztę świata. Według badaczy Chiki Euphemii Asogwalbe, Bena Onoalbe i Bena OnojaOjih Unekwu nollywoodzki przemysł filmowy ma dużą świadomość możliwości dialogowych, jakie oferuje to medium, i trudno jest znaleźć produkcje, które w żaden sposób nie odwoływałyby się do nigeryjskich systemów wierzeń oraz tamtejszej kultury. Nie jest to przemysł skupiający się na kopiowaniu zachodnich estetyk i kanonów, a raczej na reprezentowaniu i reinterpretacji wartości kulturowych oraz religijnych współczesnej Nigerii¹⁸.

= Zakończenie

Granice w Afryce wyznaczyli kolonizatorzy, aby łatwiej podzielić się kontynentem. Wcześniej granice praktycznie nie występowały, bo nie istniały również państwa. Plemiona i ludy pozostawały w ciągłym ruchu. Oczywiście broniono swoich ziem, ale nie istniała instytucja sztywnej granicy – byłaby ona najzwyczajniej niewygodna i niepraktyczna. W efekcie kolonialnych przemian nowopowstałe afrykańskie państwa stały się miksem kultur i języków, które w wielu przypadkach do dzisiaj więcej różni, niż łączy.

W ten sposób zrodziła się potrzeba wewnętrznego dialogu. To właśnie w nim upatrywano szansy

16 U.S. & Canada: Movie releases per year 2022, 17 February 2023, Statista, <https://www.statista.com/statistics/187122/movie-releases-in-north-america-since-2001/> (dostęp: 1.05.2023).

17 F. Endong, *The Westernization of the African zombie in Nollywood Films*, "International Journal of Modern Anthropology" 2022, 2(17), s. 720–750.

18 Ch.E. Asogwa, I. Onoja, O. Unekwu, *The Representation of Nigerian Indigenous Culture in Nollywood*. "Journal of Scientific Research and Reports" 2015, 7(2), s. 97–107.

na stworzenie zgodnego i zdolnego do współpracy społeczeństwa oraz wykształcenia tożsamości narodowej, która nie wypierałaby tej plemiennej i wyznaniowej. Wielu nigeryjskich aktywistów podkreślało i nadal podkreśla, jak ważne jest, aby każdy obywatel ich kraju czuł się w pełni Nigeryjczykiem, ale również był dumny ze swojej etniczności, religii i pochodzenia, bo tylko w taki sposób można zapobiec dyskryminacji, podziałom oraz wynikającym z nich napięć i destabilizacji.

Problem w tym, że zanim Afrykanie zdobyli narzędzia i możliwość do wewnętrznego dialogu, już dużo wcześniej prowadzono narracje, które miały ich w tym wyręczyć (tudzież wymówić). Administracja kolonialna bardzo chętnie wspierała projekty artystyczne, które miały opowiedzieć reszcie świata, kim są Nigeryjczycy i jak bardzo zafocani są względem Europejczyków. Nie miejmy żadnych złudzeń – kino kolonialne było dumnie rasistowskie.

W przypadku tak bardzo zróżnicowanych kulturowo krajów trudno mówić o spójnej tożsamości. Jako badacze powinniśmy się skupić na przedstawianiu wielości tych kultur, a w sprawie reprezentacji oddać głos samym Nigeryjczykom. Aby było to możliwe, musi zaistnieć wewnętrzny dialog międzykulturowy.

Dialog może być buntem, procesem stawania się, przeobrażania własnej tożsamości czy łagodzenia wewnętrznych konfliktów. Oczywiście możliwości jest znacznie więcej.

Istnieją różne narzędzia dialogowania. Jednym z nich jest rozrywka narratywna, np. kino, które w Nigerii cieszy się niezwykle popularnością. Twórcy Nollywood wielokrotnie podkreślali, że tworzą filmy, których pragną Nigeryjczycy. W ten sposób każda osoba zaangażowana w proces twórczy spełnia bardzo ważną funkcję społeczną i przyczynia się do intensyfikacji wewnętrznego dialogu międzykulturowego, a także do tworzenia reprezentacji narodu nigeryjskiego, która dzięki dystrybucji streamingowej ma szansę dotrzeć do każdego miejsca na świecie i tym samym przyćmić krzywdzącą narrację kolonialną.

Najwyższy czas opowiedzieć sobie i innym o nigeryjskiej kulturze. Już czas wykrystalizować talent, jaki tkwił w nigeryjskim narodzie. Tradycja stała się substratem w procesie wytwarzania nowej tożsamości. Scenariusz jest pełen dialogów. Nadeszła pora zarobić trochę pieniędzy, zaliczyć awans społeczny i wyrwać się z biedy. Maszyna ruszyła. Kamera. Akcja.

MICHAŁ MYTNIK

– (1997) autor tekstów, animator wydarzeń kulturalnych, laureat wielu konkursów literackich oraz turniejów jednego wiersza, współtworzący Krakowskiej Szkoły Poezji im. A. Fredry. Pierwsze rzeczy publikował w „Stonerze Polskim” (wiersze, prozy, filmy, muzyka, teksty o książkach itp., itd). Absolwent inżynierii chemicznej i procesowej PK, a obecnie student Studiów Afrykańskich UJ. 31 maja 2021 roku w Biurze Literackim ukazał się jego debiutancki tom wierszy *hoodshit (griptape)*.



fot. prywatne archiwum autora

Olga RembIELińska, Michał Mytnik

Oralna iluzja słowa

Olga: Michał, czytając Twój tekst, zastanawiałam się nad tradycją ustnego przekazu. Ma ona głębokie korzenie na kontynencie afrykańskim. W naszym kręgu kulturowym, choć jest to duży kwantyfikator, ustne przekazy kulturowe wyparło pismo. Niegdyś niepiśmienny był głównie stan chłopski, dziś pozostały nam już raczej odpryski przekazów ludowych w postaci współczesnego folkloru. Jest to już bardziej interpretacja przeszłości we współczesności i tak zmiennych i peryferyjnych form kulturowych, jakimi były legendy, mity, podania, bajki ludowe. Taką rdzenność tożsamości wciąż jednak upatruję w rodzinnej schedzie. O tym piszę w swoim tekście „Waldowo. Gawęda”. Powiedz mi, czego możemy się nauczyć o tożsamości od zróżnicowanych społeczności afrykańskich, w których oralność wciąż jest niematerialnym dziedzictwem? Jak chronić i odszukać „rdzeń”?

Michał: Spokojnie, „rdzenia” szukać nie trzeba. Nawet jeśli nie został on zapisany, to od zawsze trwa on w ludziach, którzy kultuwują rytuały przodków i przekazują swoją kulturę potomstwu. Ten sposób ochrony bywa czasami bardziej skuteczny niż pismo.

Pomimo zróżnicowania, dialog międzykulturowy w Afryce ma bardziej dysocjacyjny niż izolacyjny charakter. Przez całe wieki sąsiadujące ze sobą ludy chętnie wymieniały się wiedzą, zwyczajami i starały się zrozumieć odrębne sposoby postrzegania rzeczywistości. My – Europejczycy – miewamy z tym trochę problemów.

Tradycja ustnego przekazu w Afryce to obszerny temat i w żaden sposób nie poczuwam się do bycia ekspertem w tej dziedzinie, ale postaram się udzielić możliwie jak najrzetelniejszej odpowiedzi. To prawda, że tradycja przekazu oralnego bardzo dobrze zachowała się w wielu afrykańskich kulturach, ale nie wynika to z faktu, że Afrykanie nie mieli dostępu do pisma. Szacuje się, że malowidła naskalne i ślady proto-pisma odnalezione na tym kontynencie mogą pochodzić sprzed około stu tysięcy lat. Oczywiście trudno jest stwierdzić, czy każda afrykańska kultura wykształciła takie formy utrwalania przekazu, ale poszlaki wskazują, że przynajmniej część z ludów korzystała z pisma. Pismo hieroglificzne jest jedną z pierwszych rzeczy, jaka przychodzi nam

do głowy, kiedy myślimy o kulturze egipskiej. Podboje arabskie i działalność kupców również przyczyniły się do propagowania pisma jako przydatnej kulturze technologii. Z tych właśnie powodów jestem skłonny wierzyć, że wiele afrykańskich kultur zdecydowało się w dalszym ciągu korzystać z przekazu oralnego, zamiast w pełni z niego zrezygnować i wdrożyć przekaz pisemny.

Olga: Dlaczego akurat taki wybór?

Michał: Może to wynikać z tego, w jaki sposób przedstawiciele kultur oralnych wyobrażają sobie słowo. Nie w każdej społeczności działa to w ten sam sposób, ale czytając różne badania antropologiczne pochylające się nad tym tematem, można zauważyć, że słowa mają dla tych społeczności wymiar materialny i czasowy – przypominają faktyczne zdarzenia.

Ciekawe jest również to, że sposób przekazywania treści kulturowych może być związany z percepcją czasu. W kulturze polskiej czas wyobrażamy sobie liniowo – mamy przeszłość, do której nie możemy wrócić, teraźniejszość, w której znajdujemy się zawsze, oraz przyszłość, która nadejdzie, by stać się naszą teraźniejszością. Jednakże w wielu afrykańskich kulturach oralnych sprawa ta ma się zgoła inaczej. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są ze sobą zmieszane – to, co wydarzyło się kiedyś, wydarzyło się również w przyszłości, a zarazem dzieje się teraz. Kiedy wspominamy, przenosimy się zarówno w przestrzeni, jak i w czasie itp., itd.

Ta oralna iluzja słowa rzeczywiście działa, trudno jest ją przedstawić w skrócie, ale wszystkim zaciekawionym polecam zgłębienie tego fascynującego zagadnienia, to jest: w jaki sposób w myśli afrykańskiej postrzegany jest czas. Wracając jeszcze do oralności, Bronisław Malinowski twierdził, że słowom i komunikatom bliżej jest do reprezentowania działań niż myśli. Świetnie się to łączy z obecną w wielu kulturach oralnych ideą i wiarą w stwórczą moc słowa. Blisko temu także do chrześcijańskiego „słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami” – może ten przykład pomoże lepiej zrozumieć tę kwestię.

Olga, w swoim tekście opowiadasz między innymi anegdotę o niesfornym byczku Fernandesie, którego Twój tata wygrał na wiejskiej loterii. Czy możesz opowiedzieć coś więcej o tych loteriach? W jaki sposób one przebiegały? Czy byki były jedynymi zwierzętami-nagrodami? Czym jeszcze los obdarował Twojego tatę?

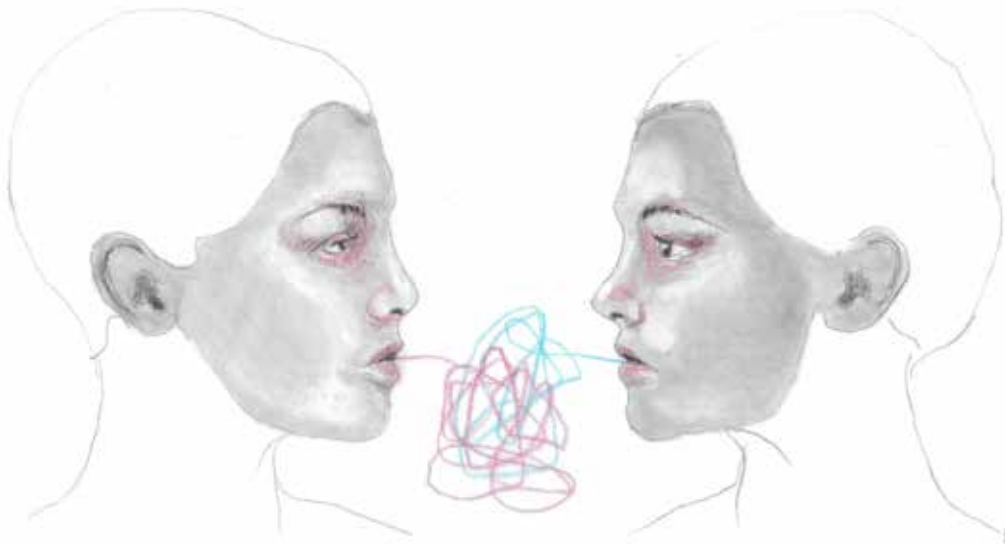
Olga: Loteria wiejska odbywała się na jarmarkach. Poza straganami było tam stoisko, na którym można było kupić los. Stała też duża szklana misa z tekturowymi kuponami. Wsadzałeś do niej rękę, grzebałeś i wyciągałeś nagrodę. Można było wygrać na przykład koguta albo kurkę. Jeszcze jako dziecko tata wygrał w ten sposób Generała Kuropatkina. Swoje unikalne imię zawdzięczał ubarwieniu niczym kuropatwa, a gdy podrósł, zamienił się w pięknego, kolorowego samczyka.

Michał: Innym tematem, który mnie interesuje, jest język lokalnych społeczności. Czy dorastając w Wałdowie, napotkałaś jakieś unikalne i nieobecne nigdzie indziej słowa? Czy dostarczają nam one informacji o tamtejszych użytkownikach polszczyzny lub kulturze regionu?

Olga: Szczerze mówiąc, posługiwaliśmy się ogólnopolskim wariantem języka polskiego. Mój tata jest jednak cały

czas w żywym kontakcie z tą społecznością i podrzuca mi niektóre słówka. Jeśli przyjmiemy, że mowa ma budowę drzewa, to język regionalny będzie tym jednym mieniącym się na czerwono liściem. Wyrósł z tych samych gałązek, a jednak jest inny i ma swoją wyrazistość. Dużo nam to mówi o potężnym związku identyfikacji etnicznej ze słowami i gramatyką. Pierwsze spisane utwory w języku kaszubskim powstały stosunkowo niedawno, bo w XIX w. Oczywiście są starsze, ale kodyfikacja zbiegła się z czasem poglądów o szlachetnym, dzikim, istic autentycznym wyrazie ducha cywilizacji; wypełniającym wieś, chłopów i regiony etnograficzne. Na podstawie tych informacji możemy wywnioskować, jak przebiegała linia ujścia języka regionalnego, uczyć się omijania powszechnych słów, a tym samym komunikacji nastawionej na wampiryzm symboliczny. Można przecież głębiej, radykalniej szukać znaczeń z pogranicza tożsamości. Ciekawym słowem jest na przykład „gbur”, który w ogólnej polszczyźnie oznacza człowieka nieokrzesanego. W kaszubskim zaś nie jest nacechowany pejoratywnie, oznacza bogatego chłopca, włościanina. Sam wyraz został zapożyczony ze średniowiecznej niemieczyzny. Gebür oznaczało „chłopa”, jak i „sąsiada”, ale także „prostaka”.

Epea: Stop. Musimy kończyć, ale znajdziemy Was jeszcze kiedyś, morze.



Katarzyna Śmigielska

Michał Pięta

Olendry

Zakochany chłopak zrobi niejedno, aby zaimponować obiektowi swych westchnień, a jeśli obiekt ten przybiera postać zgrabnej blondynki, na obliczu której zmysłowość Brigitte Bardot miesza się z wyniosłą dumą Claudii Cardinale, gotów jest taki delikwent na wszystko. Zresztą nie zrozummy się źle. Z Klarą rzecz była bardziej złożona. Boska fizis, owszem, to wielka zaleta, ale Klara należała też do osób, których każdy oddech istnienia służył zgłębianiu posiadanej pasji, a nic tak nie pociąga mężczyzn jak kobieta skupiona na celu.

Stąd wyzłoczone słońcem czerwcowe popołudnie, rozpostarte w czasie tak szeroko, jak w przestrzeni rozpostarła się połać nadwiślańskich łąk, którą przemierzali.

– Byłoby łatwiej, gdybym wiedział, czego szukamy. – Paweł poprawił szelki dzwiganego plecaka. – Mógłbym pomóc.

– Bez żartów. To ma być moja magisterka. – Klara skarciła go wzrokiem. Czy też miała piękne. Jak dwa bławatki.

– Jestem gotów pomyśleć, że zabrałaś mnie tu tylko po to, żebym dzwigał rzeczy. Będziemy się tak płatać do nocy?

– Jeśli zajdzie taka potrzeba. . .

Paweł sapnął. Wizja romantycznego tête-à-tête w niepowtarzalnych okolicznościach przyrody odpływała w nieznaną. Jeszcze trochę i zmęczenie weźmie górę na tyle, żeby stać go było jedynie, by rozłożyć namiot i wskoczyć do śpiwora. A budujące zażyłość dzielenie posiłku? Rozmowy przy ognisku do rana? Ech. . .

– Popatrz. – Dziewczyna przykucnęła, odgarniając włosy za ucho. – *Stachys annua*.

Chłopak otarł czoło i również przykucnął. Udał zainteresowanie chwastem, dla którego zgrabne dłonie dziewczyny wyodrębniły przestrzeń w gąszczu bujnej łąki.

– Szukam antropofitów, tylko nie tak pospolitych. – Klara pochyliła się, wachając kwiat. – Piękny.

Paweł też się nachylił, ale bardziej ku dziewczynie, chwytając w nozdrza zapach perlącego się na jej szyi potu. Słodki Jezu, cóż to był za aromat! Żadne kwiaty wiosny, lata czy jesieni nie mogły się równać z tą wytrawną słodyczą. Rozwierała ona w Pawłowej wyobraźni sezamy

najdzikszych przygód, uchylała wrota alkowy spełnienia, zabierała na wyspy szczęśliwe, gdzie już zawsze tylko we dwoje.

– A konkretnie? – szepnęła.

– Konkretnie to ci nie powiem. – Klara odepchnęła go i wstała. – Mam z czego wybierać.

Wyjęła z torby broszurkę w tekturowej oprawie i stuknęła palcem w okładkę.

– „Inwazyjne gatunki roślin w Dolinie Środkowej Wisły” – przeczytał Paweł. – Dobre to?

– Najlepsze. Przedwojenna szkoła, zbiór prawdziwych unikatów. Na tym terenie występuje wiele gatunków introdukowanych przez mennonickich osadników, niektóre nie doczekały się jeszcze należytego opracowania.

– To ma być magisterium czy habilitacja?

– Krok po kroku. – Klara uśmiechnęła się chytrze. – Najpierw badania terenowe.

Cóż, jeśli ten dzień nie miał szeznać w pomroce bezproduktywnego zmęczenia, Paweł musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Poderwał się, cisnął plecak w trawę i wyprężył jak struna.

– Dobrze więc. Znajdę coś wyjątkowego. Dla ciebie.

Zamarkował salut i nie czekając, aż dziewczyna odpowie mu śmiechem, ruszył ku majaczącym w oddali szuwarom.

Czego szukać, rzecz jasna, nie miał pojęcia. Świat paragrafów i przepisów, w którym studia zamknęły jego umysł, wykluczał zainteresowanie czymkolwiek, co wykraczałoby poza ramy zimnej logiki, a takie kwiatki-bratki, rośliny czy ogólnie – biosfera, tym wszystkim kręciły siły rządzące się mniej przejrzystymi prawami.

No ale zblamować się nie mógł, dlatego postanowił zaufać instynktowi.

Szedł przed siebie i co jakiś kwiatek wpadł mu w oko, zrywał i wachał. Doznania raczej przeciętne, choć z czasem zaczął rozróżniać zapachy. Przeważnie lekkie, słodkawe, lecz czasem też odpychające i ciężkie. Zatrzymała go dopiero chmura rdzawych kuleczek oblepiających pałkowate łodygi. Wizualnie dramat, ale zapach. . . Tak. W tym tkwiło coś intrygującego.

Zaciągnął się raz, drugi, kolejny. Aż zawirowało mu w głowie. Słodczy, owszem, lecz nie błaha, wciągająca nawet, jeśli nie wytrawna. Potarł nos wierzchem dłoni – został na niej złotawy pyłek. Nie zdążył się jednak nad tym zastanowić, bo krew wzburzył zew dzikiej przygody, a żądza zapłonęła obietnicą rozkoszy alkowy. Rajski ogród wysp szczęśliwych wpłynął okrętem na dookolny przestwór suchego oceanu.

Tak. Miał to. Tego mógł być pewien. Nawet jeśli przed wiekami jakiś holenderski chłop rozsiał tu to rdzawe ziele, żeby pasącym się krowom nie dokuczały gazy, Klara będzie w siódmym niebie, jeśli Paweł jej je przyniesie. A nic tak nie było mu w smak jak wdzięczność uszczęśliwionej dziewczyny.

Pognał z powrotem, potknął się, przewrócił. W głowie wciąż kołował wir, serce biło jak oszalałe. Nic to. Podniósł się i choć wyzłoconą słońcem łąkę zaczął ogarniać opar mglistej czerwieni, brnął przed siebie, niepomny na przeszkody.

– Piękny kwiat dla pięknej damy – wydyszał, wręczając znaleźisko.

Klara zerknęła z ukosa, lecz widząc, co przynosi, sięgnęła po broszurę. Przerzucone strony zafurkotały.

– *Pernicies olendris*. – Błękitne oczy rozjaśnił blask. – To jest to. Skąd wiedziałeś?

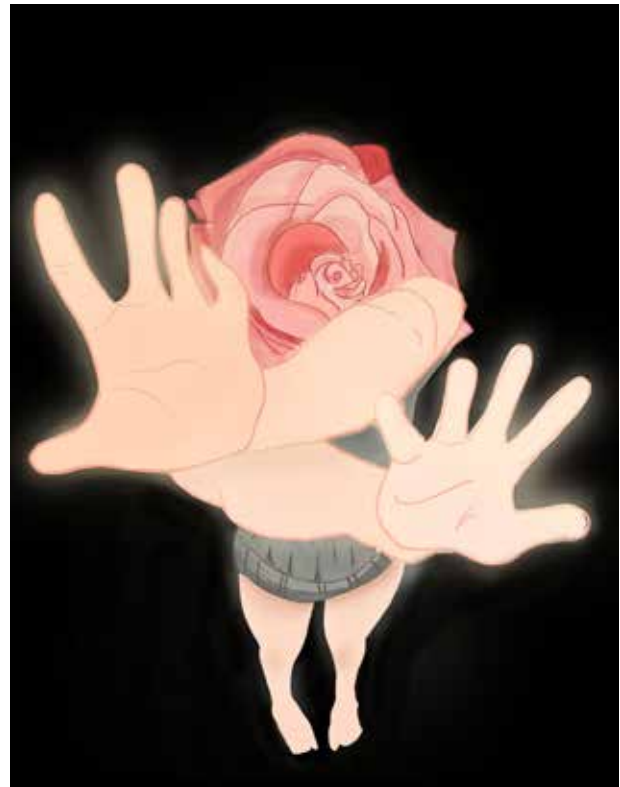
Paweł uśmiechnął się głupio, bo niby jak miał odpowiedzieć na takie pytanie. Wir w głowie wzmógł się. Mglista czerwień zgęstniała.

– Jednoroczny kenofit z rodziny rdestowatych – przeczytała Klara. – Gatunek pierwotnie występujący w Azji Południowo-Wschodniej i na wyspach Pacyfiku... Niepożądany w środowisku naturalnym. W okresie

kwitnienia, przelom czerwca i lipca, wydziela wraz z pyłkiem niebezpieczne dla zdrowia halucynogeny... Potwierdzone przypadki zgonu... Mój Boże, Paweł, mam nadzieję, że tego nie...

Wir skłębił czerwień, rozmywając łąkę, kwiat i dziewczynę.

Ponoć to nie żal umierać szczęśliwym.



Lilia Lebedieva/ ZDZ w Białymstoku

MICHAŁ PIĘTA

– (1982) mieszka i pracuje w Garwolinie. Autor opowiadań, w swojej twórczości najchętniej eksplorujący szerokie pogranicza fantastyki. Publikował m.in. w „Esensji”, „Creatio Fantastica”, szeregu mniej lub bardziej zobowiązujących antologii.



fot. prywatne archiwum autora

Sławomir Bączkowski

2 opowiadania

Impreza

Błyszcząca po ciepłym deszczu ulicą dochodzę do ich domu. W szczelinach plotu rozblyskują okna salonu, sączy się przytłumiona muzyka. Otwieram furtkę i odruchowo patrzę na prawo, w głąb psiej budy. Pusta. Owczarek powita mnie zapewne w przedpokoju. Nie myliłem się. Stoi bez ruchu obok szafki z butami, głośno sapiąc. Chwila wahania i już macha ogonem tak energicznie, że zdaje się merdać całym sobą. Przykucam i głaszczę go po sędziwym łbie. Wchodzę do pełnego ludzi salonu i rozglądam się nieco oszołomiony. Nadaremnie wypatruję gospodarza, staram się wyłowić z tłumu twarz kogoś znajomego, ale ponoszę porażkę na całej linii. Idę na taras przechodzący płynnie w miniogród, gdzie grupka obcych ludzi zajęta jest ożywioną rozmową. Wszyscy się znają, ja nie znam nikogo. Wycofuję się do salonu i szukam wzrokiem bufetu. Biorę piwo i płacząc się samotnie jak gość z leprozorium.

– A, tu jesteś! – wykrzykuje nagle gospodarz.

– Trochę się spóźniłem. Przepraszam.

– Chodź! Przedstawię cię. Jest tu ktoś, kto bardzo chciał cię poznać.

Podchodzimy do kanapy. Dwie młode kobiety milkną i patrzą na mnie pytająco.

– Pozwólcie, że przedstawię. Mój brat.

Wstają całe w uśmiechach, dostrzegam u nich niewielkie problemy z utrzymaniem równowagi.

– Bardzo mi miło! – mówi jedna z nich, patrząc mi głęboko w oczy. – Właśnie rozmawialiśmy o samochodach.

– Ach tak?

– Magda przyjechała terenowym volvo. Ja mam starą ibizę jeden dziewięć z turbiną. A ty masz turbinę?

– Nie sądzę. . . cokolwiek to znaczy.

Nagle muzyka cichnie i po chwili rozlegają się pierwsze takty szlagieru.

– Chodź! Zatańczymy! – mówi dziewczyna. Ciągnie mnie za rękę.

– Nie, dziękuję. Rozejrzę się. . . – odpowiadam i wyswabdam się z jej gorącego uścisku.

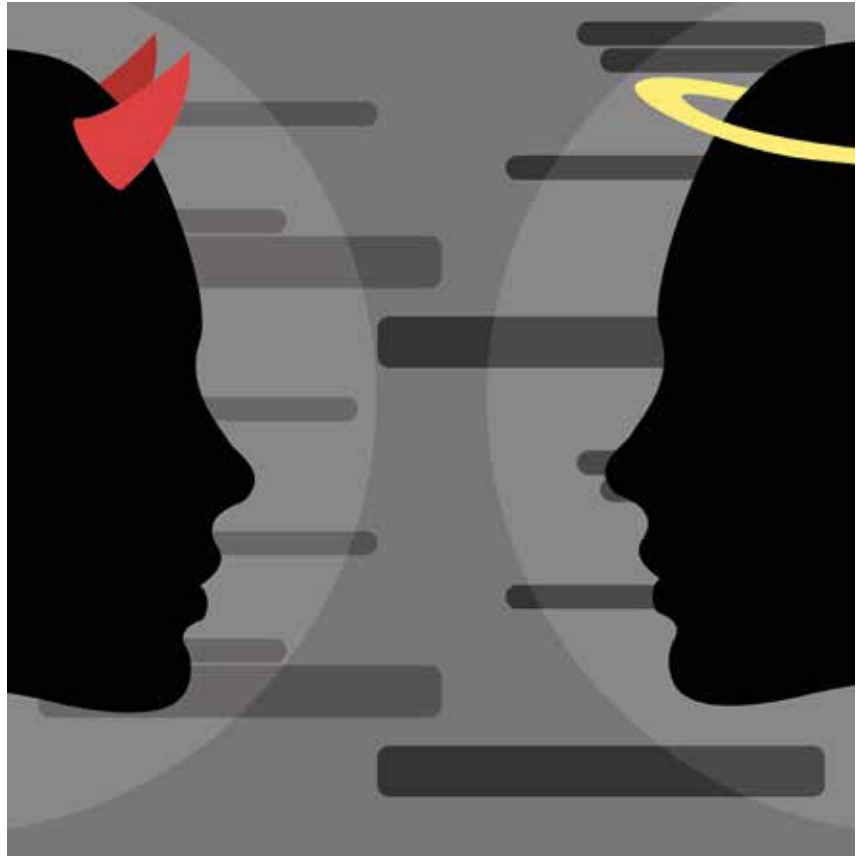
Już nie słucha. Płając, wbiega na środek pokoju, za nią inni. Salon wibruje, kolorowe koszule i sukienki migają przed oczami. Niezauważony przez nikogo, wymykam się do korytarza. Stary pies patrzy wzrokiem pełnym aprobaty. Wychodzę. Z każdym krokiem dudnienie muzyki coraz bardziej wsiąka w ciszę przedmieścia. Pada drobny deszczyk, ulice lśnią w świetle lamp. Wiatr przynosi ciężkie zapachy powoli przekwitających roślin – wyraźne nuty jesieni, zwia-
stuny zagłady, która wkrótce pochłonie wszystkie te zielone wspaniałości. Co jakiś czas słyszę głuche uderzenia dojrzałych jabłek o ziemię. Starzejąca się bogaczka natura daremnie obdarowuje ludzi swoimi klejnotami.

Na Stawisku

Pewnej listopadowej niedzieli pojechaliśmy na Stawisko. Właściwie to zupełnie nie wiem, dlaczego akurat ta krótka wycieczka utkwiała w mojej pamięci. Może stało się to za sprawą bezbrzeżnego spokoju, którym przesiąknięty był park i który to spokój udzielił się nam w ciągu tych dwudziestu minut spędzonych na ławce. Zaraz po przyjeździe w milczeniu obeszliliśmy legendarne domostwo Iwaszkiewicza; kompulsywnie zrobiłem kilka zdjęć. Potem wypatrzyliśmy ławeczkę stojącą, co prawda, w cieniu, ale wesoło pocętkowaną promieniami słonecznymi przebijającymi się przez ażurowe sklepienie listowia. Było dość zimno, co okazało się okolicznością sprzyjającą, bo dzięki temu park świecił pustkami, a na parkingu stała tylko Andrzejowa toyota. Jak cudownie wyglądał dom Iwaszkiewicza o tej porze roku! Wszędzie leżały kolorowe liście, mleczna mgielka opatulą willę, listopadowe światło sączyło się między pniami. Nagle przymknąłem oczy i wyobraziłem sobie Iwaszkiewicza czekającego z żoną na schodach przed wejściem. Świerkową aleją dostojnie sunie luksusowy buick Artura Rubinsteina, już słychać pomruk potężnego silnika. Auto zatrzymuje się przed domem, znamienity gość wita się z gospodarzami. Iwaszkiewicz zazdrosnym okiem patrzy na brylantową spinkę przy krawacie wirtuoza. Karci się w myślach za ten odruch, ale to silniejsze od niego. Już

od czasów Tymoszkówki uważa się za „ubogiego krewnego”...

Otworzyłem oczy. Wśród pni baraszkowała wiewiórka, słychać było skrobanie jej pazurków wczepiających się w splekaną korę drzew. Za chwilę znowu podejmiemy nasz ulubiony temat znikania starych budynków z miejskiego krajobrazu. Powspominamy też dawne czasy, kiedy jeszcze wszyscy żyli i co jakiś czas raczyli się kawą pod rozłożystym orzechem w dziadkowym ogrodzie. Pomyślałem, że dobrze tak siedzieć pośród liści i wdychać rześkie jesienne powietrze z delikatną nutą dymu odległego ogniska. Podczas tych naszych spotkań ożywa coś ważnego z przeszłości, scalają się obluźowane codziennością więzy, czasem w rozmowie przywołujemy postać ojca. Nie potrzeba nam skomplikowanych wynalazków pana Wellsa. Czasami wystarcza zwykła parkowa ławka.



Maja Cieślak / ZDZ w Białymstoku

SŁAWOMIR BĄCZKOWSKI

– (1971) pruszkowianin z urodzenia, obecnie mieszka w Warszawie, zawodowo przez całe życie związany ze szkolnictwem (jest anglistą). Najważniejsze zainteresowania to literatura i muzyka klasyczna. Pisanie opowiadań to jego eskapistyczne hobby. Ostatnio publikował w „Ypsilonie”, „Fabulariach” i „Pro Libris”.



fot. prywatne archiwum autora

Jean Anglemont

Na imię mi Erywań

Stepanakert¹, 24 kwietnia 1992

[I. PROLOG]

Szahnur. Tak go nazwałem. Szahnur. Szahnur ma na imię Erywań. Wróc, człowiek nie może się nazywać jak miasto. Ale Szahnur może. Był. Od samego początku był. Był, jeszcze zanim został Szahnurem. Był, tylko dlaczego był? . . . Był. Siedział, o tu, na rozpalonej słońcem ziemi, siedział, ale co robił? . . . On sobie tego życia poematem nie pisze. Ani muzyką. Nie żadnym baletem, nie preludium. Nie uwerturą, nie arią. Nie suitą. Wczoraj słuchałem *Gajane*¹¹. *Gajane* na front poszła. Wróc. Był. Był. Dzieciak jeszcze. Piętnastu lat bym mu nie dał. Metr sześćdziesiąt i dziewięć. Z twarzy jeszcze chłopiec, a nie żołnierz.



Piękny. Żebym ja takiego syna miał. Loki czarne, jakby kto kruka oskubał, a długie jak u dziewczyny. Spod helmu mu uciekają. Co głową potrząśnie, to mu na czoło opadają. Lewe oko jak z brązu wytopione, na prawe nie widzi. Palca nie ma jednego, u lewej ręki. Mundur ma znoszony. Pewnie już przesiąkł zapachem krwi. I lez. On sam jest żywą krwią. Widział kto tyle ran. Oka i palca nie liczę. Na przegubie blizna, długa jak na dwa palce. Lewe udo jak na wylot przestrzelone. Widzę go. Okopy. Jest. Stoi, oparty o własny karabin. Bo przecież tego karabinu nikt już nie naładuje. W gwiazdy patrzy. Stoi i własny los sobie pisze. A właściwie nam, bo żem sobie w nim towarzysza broni odnalazł. A czym pisze? A wyciem syren. Sekwencją z karabinu. Mechanicznie, jednostajnie. Trach. Trach. Trach. Znow karabin. Staremu Howhannisianowi kula w lydce utknęła. Nie ma Howhannisiana. Nie ma Wartaniana, bo Wartaniana przecież w osiemdziesiątym ósmym stracili. I nie ma Arutiuniana. A może jest. Jest Arutiunian, jest. Jest. Szahnur też jest. Leży. Arutiunian mu ranę na udzie przemywa. Wstał. Chyba się boi. Czego? Że mu ten pocisk z tkankami się zrośnie? On chyba pierwszy raz na froncie, bo co który z dywizji podejdzie, to on ucieka. Czego ty się boisz, pytam. Chodź, dzieciaku. Ty mnie chyba lubisz. Koniec bitwy. Nersisian – postrzelony, Sarkisian – postrzelony. Ale nie o Sarkisianie mowa. I ja postrzelony. Krew. Okopy. Szahnur. Siedzi, chyba broń swoją czyści. I po bitwie. Jestem ja. I jest Szahnur. Zdjął helm. Podejź bliżej, Szahnur. A nie, ty się wcale nie nazywasz Szahnur. Ty się nazywasz Stepanakert, bo my teraz pod Stepanakert walczymy. Kończ już. Ale dlaczego ja tobie dałem na imię Szahnur, to ja sam nie wiem. Ech. Opowiem. Krótko. Ale opowiem.

Opowiem.

**[II. SHAHNUR. SHAHNUR MA
 NA IMIĘ ERYWAŃ.
 SHAHNUR MA NA IMIĘ
 SHAHNUR. SHAHNUR
 I AWETIK]**

Patrzę na niego. Śliczny chłopak. Szkoda mi go. Stoi, tu, nade mną. Mundur rozpięty. To nie mundur, to splot. Kurzu i piachu. Godności. Za wcześnie utraconej. W ziemię wdeptanej. Zapach, zapach łez i krwi. Prawy rękaw na pół rozrwany. A ta twarz. Patrzy tym swoim jedynym okiem, patrzy. Błagalnie. Jak dziecko. Chyba pić mu się chce. Żebym ja tylko manierkę miał, tobym mu pić dał. Ale nie mam. Oko w kałuży smoły. Osmolony, jakby mu kto pociskiem w twarz wycelował. Włosy do czoła przyklejone. Demon. Demon cztertnastoletni, czarny, w mundur ubrany. Tylko usta mu widać. Zamiast ust krew. Górna warga we krwi. Dolna drga. Niespokojna. I z niej krew leci. Lewy kącik doszczętnie rozcięty. Krew tryska. Nie wyciera jej. A zresztą. Na szyi też krew. Wszędzie krew. Czternaście lat i już na froncie go ranili. A inne rany? Nic, tylko ten ślad na udzie, co mu go Arutiunian przemywał, i blizna na przegubie. Już pisałem. Przegub odsłonięty. Skóra czarna, a blizna biała. A biegnie centralnie, wzdłuż ramienia, wzdłuż mięśni. Jakby mu przegub na pół przecinała. Stoi i patrzy. Ufnie. Jak brat na brata. Żebym ja brata miał. Chodź, dzieciaku. Chodź, nie stój tam, bo cię jeszcze kto zastrzeli. Widzisz, że broń nabita. Idzie. Pewnie; jak mu powiedziałem, żeby tam nie stał, bo go kto jeszcze zastrzeli, to idzie. Idzie. Nie. On nie idzie dlatego, żeby go nie zastrzelili. On do mnie idzie. Idzie. Ma rozpięty mundur. Obie poły jak flagi na wietrze. Idzie i głową potrząsa. A idą mu te jego włosy do oczu, idą. Ale po co, to ja nie wiem. Wystarczy, że mu prawe oko wybili. Widzieli go, jeszcze lewe chce stracić. Chodź, mały. Czego chcesz? . . . I co ty na tym froncie robisz? . . . O, podszedł. Naprzeciw mnie staje. Ręce wyciąga. Pięć palców w prawej, cztery w lewej. Serdecznego brakuje. A jak zaciska te palce. Za klapy munduru mnie łapie. A jaki silny. Nie pomyślałbyś. Ledwo mu się mięśnie pod mundurem rysują. A jak napiera. Napiera. Jego twarz do mojej twarzy. Czternaście lat żołnierza. A jak patrzy. Błagalnie patrzy. Z prośbą patrzy. Na usta pokazuje. Wargi jego jak ziemia po suszy: wyschnięte,

popękane, krew leci. Rysuję w głowie jego portret. Jest. Jest lewe oko, brązowe, i prawe, wybite. Jest prośba w tym lewym oku, brązowym, i prawym, wybitym. Rysy mile, ładne. Ale cierpieniem nakreślone. Bólem. Pragnieniem. Może głodem. Zimnem. Napiera na mnie. Wzrok w dół. W tle znowu karabin. Odzywa się. Mały milczy. Raz jeszcze karabin. Strzelają. Mieszają się strzały, mieszają. Mieszają się, lecz z czym to się mieszają? . . . Hamlik Matewosian padł. Łkanie. Łkanie, rozpaczliwe i brutalnie tłumione. Może to Hamlika łkanie. Ale nie. Hamlik śpi. Arszaq Melikian też śpi. Własny hełm sobie pod głowę podłożył. Prośba. Ty mówisz, Shahnur. Bo od teraz to ty się Shahnur nazywasz. . .

– Pić – mówi. Shahnur mówi. Ledwo wargami poruszy. Co ustami poruszy, to krew się z rany sączy.

Krikoriana weszły czwartek zamek w szczękę trafił. Ale Shahnur to nie Krikorian. Ból. W lewym kąciku ból. Słowo to ból. Mowa to ból. Szept to ból. Shahnur mówi. Mowa sprawia mu ból. Daj mu pić, Awetik. Ulituj się. Głos mu się łamie. Jakby sam siebie oplakiwał. Jak matka Arama Manukiana, kiedy go na front zabierali. Arama Manukiana nie ma. Manukianów na froncie w ogóle nie było. Czterech ich było. Aramowi w dziewięćdziesiątym nogę urwało. A Sarkis, najstarszy, na serce chory. Na front nie poszedł. Ręka do pasa. Szukam. Jest. Jest manierka. Odkręcam. Została jeszcze kropla. Podaję mu. Masz, Shahnur. A jak ręce zaciska. Palce się kurczą. Jakby mu kto miał tę manierkę z rąk wyrwać. Jest, jest woda. Shahnur przymyka oczy, przechyla głowę. Chyba pierwszy raz od kilku dni ma coś w ustach. Ulga. Orzeźwienie. Woda jak pokój. Dobra i upragniona. Wyczekana. Patrzę, gdy pije. Ścisną w dłońach manierkę, przybliży ją do ust. Wargi spuchnięte. Trzęsą mu się ręce. Rozlewa wodę. Na lewą dłoń. Na mundur. Obmywa sobie twarz. Woskowa maska na jedno oko widzi. Znow pije. Krew z wodą się miesza. Odgarnia włosy z czoła. Znow pije. Pije. A jak pije. Co lyk upije, to wargami cmoka. Dziecku słodczy, a Szahnurowi woda. Kolejny lyk. Jak mu smakuje. Pij, Shahnur, pij. Na froncie ty prędko wody nie zobaczysz. Napił się. Wargi wyciera rękawem munduru. Siada. U moich stóp siada. Oczy przymyka. Polubił mnie. Znalazł wojak swego generała. Ja generałem nie jestem. Jak się wojna skończy, to ty, Shahnur, będziesz ze mną mieszkał. Na Abowiana^{III}. W Erywanii. Ale dlaczego, Shahnur, ja się do ciebie po imieniu zwracam? . . . Jak ja przecież twojego imienia nie znam. Znam imiona

starego Minasiana – wczoraj wzrok stracił – niewybuch; znam starego Howhannisiana; znam Lewona Geworkiana – pamiętasz go, wczoraj do pułkownika go podnieśli; i swoje imię znam. Ale twojego nie znam. Ja się Awetik nazywam. A temu Awetikowi to przyszło się teraz po froncie kołać. Front. Przed frontem ulica Abowiana. Erywań. Więc póki ci lepszego imienia nie wymyślę, to ty się będziesz Erywańskim nazywał. Znów okrzyk. To z dywizji pancernej. Naszej. Dowódca krzyczy. Artaszes mu na imię. Pocisk mu czaszkę na wylot przewiercił. Patrz, Szahnur. Przyjdzie mu się teraz, przed śmiercią, z każdym ze swoich wojaków żegnać. Generał się żegna jak ojciec, który własne dzieci osierocił. Lewon Geworkian dzieci ma troje. Zabić generała. Szahnur patrzy przerażony. Ja mu jestem generałem. A co, jeśli i ja zginę? Nic to. Wróćmy do tego, jak ja małemu imię nadałem. Pochodzę. Napił się już i teraz z głodu własne palce gryzie. Głodny? Dam ja mu potem jeść. Lecz wpięrw niech ja go spomiędzy okopów zabiorę. Albo przynajmniej do jego dowódcy zaprowadzę. Bo on na pewno z mojej dywizji nie pochodzi. Ale żebym tylko wiedział, jak on się nazywa. Pytam więc:

– Jak ci na imię?

Podnosi głowę. I wtedy ją widzę. Blizna. Ma bliznę na szyi. Ran ciętych wśród naszej dywizji mało. Blizna. Biegnie, rozciągając się od połowy podbródka, przez całą długość szyi, i kończąc się dokładnie w tym miejscu, w którym się ramię zaczyna. Ukośnie. Jak pętla, którą mu kto na szyję zarzucił, lecz udusić nie raczył. Pętla. Psia obroża. Jakby mu kto nóż do gardła przystawił, lecz zamiast pchnąć, tylko skórę zadrasnął. Tkanka biała i miękka, lecz zbita. Otoczona ze wszystkich stron skórą brudną od pyłu. Skorupa piachu, pyłu. Rany. Zaskorupiałe rany. Rany to kleszcze. Biel. Pociągnięcie kredą na spalonej słońcem ziemi. Kwiat. Zrósł się już, ów kwiat, z resztą ciała. Kwiat, krew z lodygi wyrosła. Biel – to lodyga. To blizna. Obnoszona z dumą, jak order u kłapy munduru. Więcej orderów. Krew. Zasnęta, w kroplach rozproszonych krążąca. Jak płatki. Znów schyla głowę. Splota ręce za plecami. Wsluchuję się w jego odpowiedź. Ale odpowiedzi nie ma. Co robisz, Szahnur? . . . Zniknął. Zastają go pomiędzy rannymi. Jednemu z rezerwowych kula w nadgarstku utknęła. Wyciąga ją. Dobre dziecko. Przypomina mi tego Arama Stepaniana, co to mnie rok temu ledwo z lazaretu zechciał wypuścić po tym, jak mnie pomiędzy żebra trafił. Jemu z pewnością Aram na imię. Ale u nas w dywizji co trzeci to Aram. Manukianowi też było Aram. Nie.

Jemu z pewnością nie jest Aram. Jeśli nie Aram, to jak? . . . Może Howhannes. A nie, Howhannes był w naszej dywizji tylko jeden. Ze służby go w siedemdziesiątym i piątym zwolnili: kończyłem wtedy rok dwudziesty i jeszcze pod Tadewosianem służyłem. Nie Aram i nie Howhannes. Pytam więc raz jeszcze: *jak masz na imię?* . . . Cisza. Młody smutnieje. Głowa na piersi spuszczone, jak u człowieka śpiącego. Wzdycha. Bezimiennosc. Bezimiennosc ma smak zagubienia. Zniżył głos. Jakby go co uraziło. Może nie ma imienia. A może ma, tylko zapomniał. Ja też zapomniałem. Zapomniałem, jak się nazywa Stepanakert. Stepanakert. Erywań. Głos. Młodego głos. Odpowiada:

– Ja nie mam imienia.

– Jak to nie masz? . . . – pytam. Odpowiedzi nie słyszę. Czolg. Bestia, olbrzym kilkutonowy. Sunie, schowany jak żółw w pancernej skorupie. Sunie powoli na gąsienicach. Dywizje. Pułki. Siedzą tylko w tych olbrzymach, co to miażdżą napotkane odłamki zużytych pocisków, i nawet z nich nie wysiadają. Skąd ten czolg? Przecież bitwa się skończyła. Mały milczy. A może mu na imię Arsawir. Nie było kiedy w historii króla Arsawira? . . . Albo Artawazd. Zawsze mi się myliły te imiona. . .

– Na froncie się imion nie nadaje. Na froncie się imię nie liczy. Godność, godność się liczy. Lecą, ponad Szuszą i Stepanakert, takie rakiety, tak ciężkie, bo opancerzone, a na pokładach swoich wiozą nie Hambarcumianów^{IV}, lecz całe bataliony. Bataliony. Wiozą tych panów w zbrojeniach z żelastwa wykutych. A jak ich kto z tych zbrojeń ogołoci i w ziemię wdępcze, to nikt nie będzie pamiętał, jak się nazywali. Będą tylko pamiętali, że im godność odebrali. Godność. Ja jestem godność. Silny, a słaby. Jak mi kto moją godność surową komendą – *bacność! padnij! prezentuj broń!* – przeplata, taką komendą przez *armianskije sołdaty*^V wydawaną, to ja widzę i czuję, że mnie kto z tej godności gotów obnażyć. Na froncie imion nie ma i godności nie ma. Są bezimienne dusze, co to wystawiają te swoje kamienne twarze – poranione, poobijane – ku upragnionemu pokojowi. Co to jest pokój? . . . Pokój to pragnienie. Pokój to jagniętka, ze wszech stron przez czolgi otoczone. Ja jestem pokój. Bo ja wcale na front iść nie chciałem. Na co ja zmierzam, z tą lufą na pół metra długą, ku jakiemu frontowi zmierzam, to i ja nie wiem. Ale ja się nie nazywam ani Pokój, ani Jagniętka. Ja się inaczej nazywam.

– A jak się nazywałeś wcześniej? – Znów front. Lufa. Zawsze ku ofierze zwrócona. Ofiara pierwsza, najbardziej bezbronna. Niewinna. Patrzę na niego. Już obmył sobie ranę

na udzie. A Arutiunianowi dotknąć się nie dał. Obwiązał sobie udo chustką do nosa. Jak w osiemdziesiątym ósmym Martirosian zszedł z frontu z czaszką prawie na pół rozlupaną, to nikt mu opatrunku nie założył. Patrzy na mnie, tym swoim jedynym okiem, tym kawałkiem brązu, którym porusza na boki. On nie wie, co to wcześniej. Wcześniej, czyli kiedy? ... Może przed wojną. Ale kiedy było przed wojną? ... Nie wie... Nie pamięta...

– Wcześniej, czyli? ...

– Zanim na front trafiłeś. Boś przecież od urodzenia na froncie nie służył. Ile masz lat? ...

– Dwadzieścia i dwa skończyłem.

– Skąd pochodzisz?

– W stolicy, na Sariana się wychowałem^{VI}. Stolica. Przynajmniej stolica ma imię. – Kiwa głową. – Erywań. Na imię mi Erywań. Erywań. Tyle pamiętam. Dekada dwudziesta, rok dwudziesty. Mam dwadzieścia i dwa lata. I od tylu lat jest mi dane po świcie się kołatać. Z czego cztery lata na froncie. Pod Stepanakert. A wcześniej Szusza^{VII}. A zanim Szusza, to u Geworkianów^{VIII}. A zanim u Geworkianów, to *jeri wac*. *Jeri wac*, po waszemu Erywań. Więc na imię mi Erywań. – Zlizuje z pękniętej wargi kroplę krwi. – Rozumiesz? ... Na Sariana się wychowałem. W Erywaniu. Na imię mi Erywań. I tak mi mów. – Na chwilę się oddala. Pewnie znowu chce pić, tylko tym razem kto inny musi mu dać wody. U Mowsesianów był. Wraca. W oddali, ze szczęką rozerwaną na pół dwoma pociskami, rzezi zastępca naszego dowódcy. – Jak stary Martirosian – komentuje młody. – Stary Martirosian w osiemdziesiątym dziewiątym. Kula w prawą nogę. A potem Minasian. Minasian w dziewięćdziesiątym pierwszym, za Czarenca^{IX}. Czytałem Czarenca, zanim poszedłem na wojnę. A właściwie nie za Czarenca, bo Czarenca w trzydziestym siódmym skazali. Zapomniałem, jak się nazywa Czarenc. Ale ja się na pewno nie nazywam Czarenc. I nie nazywam się Sarian ani Minasian. – Jedyne jego oko zalewa ogień. Płomień przywróconej tożsamości. Upór. Imię. Imię odzyskane. Znow kiwa głową. Uparł się. – Na imię mi Erywań – powtarza uparcie, jak uczeń, co to nauczycielowi racji przyznać nie zechce. – Erywań.

Erywań.

Siadam, obejmuję go ramieniem. Młody się uspokaja. Kładzie mi głowę – nagą, ciemnowłosą – na piersi. Oddycha miarowo, oddechem równym, spokojnym. Jak człowiek, który usypia. Wdech. Wydech. Chowa głowę pomiędzy poły mojego munduru. Ufny. Polubił mnie. A ja

nadal nie poznałem jego imienia. Jak wołać dziecko, któremu nie dałeś imienia? ... Sarian. Nie będę wołał na niego Sarian, bo on się Sarian nie nazywa. Erywań. Sarian. Jeszcze czego. Tłumaczę mu:

– Nie możesz się nazywać Erywań. Człowiek nie może się nazywać jak miasto.

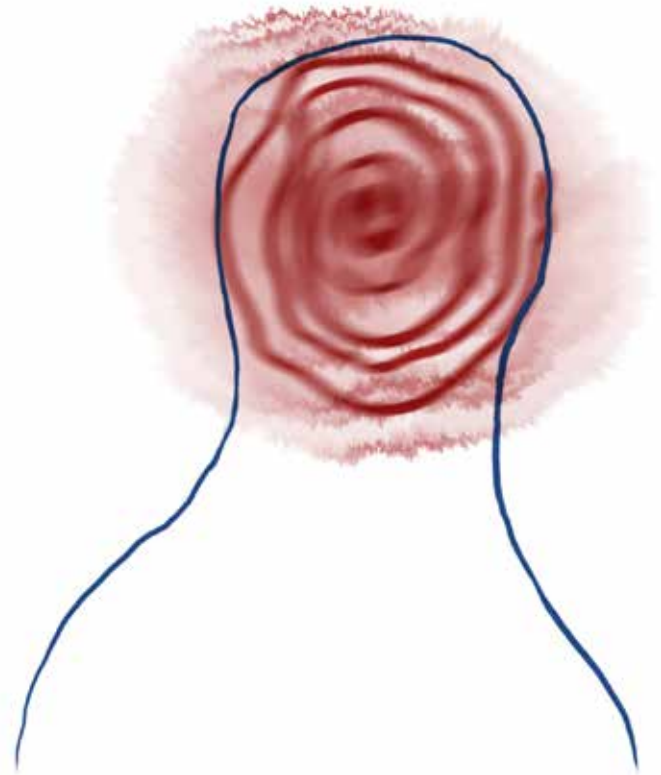
Przygryza dolną wargę. Nie może? A niby dlaczego? Prawo mu zabroni? Na polu walki prawa nie ma. A może pole walki ma swoje prawo. Pytam raz jeszcze:

– Jak się nazywa dowódca twojej dywizji?

– Agajan.

– A imię?

– Karapet. Ale Agajana pół roku temu stracili. Zresztą mojemu dziadkowi było Karapet. Dwóch Karapetów w rodzinie być nie może. Martiros też nie, bo Martirosian przecież w osiemdziesiątym dziewiątym. Kula w prawą nogę. Sajatian też nie, bo Sajatiana czternastego ze służby zwolnili. Jakbym mógł wybierać, chciałbym się nazywać Aram. Aram. Jak Chaczaturian. Ładnie. Aram. Aram mi na imię.



Karolina Radziszewska / ZDZ w Białymstoku

– W mojej dywizji co trzeci to Aram.

– Nieprawda.

– Jak na ciebie w domu wołali?

– W domu? . . . – W dywizji śmiali się, że wojak domu nie ma. – W domu? . . . *Aparik*^X. Brata miałem, starszego o cztery. Chaczatur mu było na imię. Jakbyś go kiedy na oczy zobaczył, tobyś mnie przestał pięknym nazywać. Żadnego pięknego Ary^{XI} nie było, bo Arze było na imię Chaczatur, a nie Ara. Jego to chyba Baszinagian urodził, bo od małego ładnym go nazywali. Zamiast oczu rozety, rozety ogromne, u źrenic czarne, a u powiek białe. W ludzkim ciele rzeźba zamknięta. Ale skoro Arze było na imię Chaczatur, to mnie nie jest na imię Ara. – Tuli się, znów, ufny nad wyraz, jak owca, która swojego pasterza wreszcie odnalazła. Mruży oczy. Krew. Na mojej piersi krew. Krew, oddech żołnierski, rozpalony, lepki. Oddech pół walki. Krew. Pewnie z tej rany na szyi. Wyczekuje chrztu, chrztu pierwszego i ostatniego. Bawi się nitką wystającą z rękawa munduru. Bezimienny. Bo przecież nie może się nazywać Erywań. Myślę. Jakie bym mu dał imię? . . . Żadne nie pasuje. Aram – to Manukian, Awetik – to ja. Krikorian nie, bo Krikorianowi zamek zęb w górnej szczęce wybił, a jemu tylko lewy kącik ust rozciął. Arutiunian też nie, bo Arutiuniana się boi. Widziałem, jak się wyrывał, gdy mu ranę na udzie obmywał. Znów myślę. Mam. Jest, jest imię. Jest. . .

– Tobie na imię Szahnur.

Szahnur. Szahnur. Szahnur. Chyba mu się podoba. Szahnur. Powtarza to imię, jak zakłęcie. Jak wiersz Tumaniana albo Demircziana^{XII}. Szahnur. Ładnie. On się nie nazywa Erywań, on się nazywa Szahnur. Mój Szahnur. Mój. . .

--

Noc. Bitwa się skończyła. Sen. Zasłużyliśmy sobie, Szahnur, na ów sen. Dziś będziesz nocował u mnie, na Abowiana. Ale kto to jest Abowian. Na Abowiana będziesz bezpieczny. Nie ma armat, co to się za nami toczą i co chwila przez prawe ramię kulami spluwają, trafiając każdego, kto im na drodze stanie, nie bacząc nawet, czy z Hajastanu^{XIII}, czy z Sakartwelo^{XIV}. I karabinów nie ma.

Leżę w łóżku. Zasnąć nie umiem i nie umiałem. Niby bezpieczny, a jednak się boję. Sam. Szahnura nie ma. Pościel od potu mokra. Szahnur. Jest, jest obok. Szahnur to pokój w ludzkiej skórze. Jest. Bezpieczny. Sen. Od wczoraj nie spałem. Ześlij na mnie sen, Szahnur.

Szahnur leży obok, zwinięty w kłębek na polowym łóżku. Pod prawy policzek podłożył sobie własną dłoń. Miękką biel poduszki zdaje się wchłaniać tę burzę czarnych loków, które od zawsze nosił zamiast helmu. Lewe, niewidzące od lat oko tonie w spuchniętej, pokrytej bliznami i skorupą zeszlorocznych ran masie, ze wszystkich stron oblepiających jego przedwcześnie naznaczoną cierpieniem twarz. Zaciśnięte na rąbku koca palce tylko z pozoru zdają się spoczywać nieruchomo. Ja widzę, jak się poruszają. Dłoń otwiera się i zamyka, tak śmiesznie podobna do kwiatu: kwiat rozkwita i przekwita, jak i kiedyś przekwitnie kwiat tej bezpodstawnie utraconej tożsamości, ustępując miejsca kwiatu nowemu, białemu, czystemu, pięknemu: kwiatu, któremu na imię Szahnur. Oddycha wolno, równo, miarowo. Na chwilę rozchyła jednak wargi: wzdycha, głęboko, przeciągle. Z oddechu przechodzi ku westchnięciom. Brzmienia przeciągle, zawodzące, jakby melodia grana na *duduku*^{XV}; od dzieciństwa lubilem dźwięk *duduka*, ale tu, u frontu wschodniego, zapomniałem jego dźwięku, zapomniałem. Tak jak ty zapomniałeś swoje imię, Szahnur. Bo tobie na imię Szahnur, nie Erywań. Jesteś. Mój Szahnur. Śpi smacznie, ukołysany melodią własnego imienia, którym nie może się nacieszyć. Na froncie jest dwóch Szahnurów. Jeden bezbronny, żołnierzy się boi, przed Arutiunianem ucieka. Drugi ufny i do mnie podchodzi, żebym mu pić dał. A teraz leży tu, na tym polowym łóżku. I śpi. A wszystko dlatego, że mu imię dałem. Szahnur.

Szahnur.

Usypiam.

We śnie wciąż jeszcze powtarzam imię Szahnura.

Szahnur.

Bo to on jest Szahnur.

A może nie.

On nie jest Szahnur, on jest Awetik.

Ja jestem Awetik.

I ja jestem Stepanakert.

Nie.

Nieprawda.

Nie jestem Stepanakert.

Szahnur śpi.

On nie zapomniał, jak ma na imię Awetik. On wie, że Awetik to ja. On się cieszy, że ma na imię Szahnur. Bo on na pewno nie ma na imię Awetik. Wróć. A może on wcale nie ma imienia. Bez imienia. Gdzieś był, gdzieś, może tam, na tym froncie, ten, który był nim. Szahnurem.

Był Awetikiem, który nie ma na imię Awetik, i Szahnurem, który nie ma na imię Szahnur. O tak. On. Dwadzieścia dwa lata. Dwadzieścia dwa lata. Za wcześniej, żeby zginąć. I może dlatego nie zginął, choć widziałem, że do niego strzelali. On był Awetikiem i jemu wcale nie było na imię Awetik. O tak. Bo ja mu wymyśliłem imię. Bo on zapomniał, jak jemu

na imię. A że się nie mógł nazywać Awetik, to ja mu inne imię wymyśliłem.

On się wcale nie nazywał Awetik.

On się nazywał Szahnur.

Ale na imię było mu Erywań.

-
- I **Stepanakert**, obecnie **Chankedi** – miasto w Azerbejdżanie. W latach 1923–1991 podlegające Nagorno-Karabachskiemu Obwodowi Autonomicznemu, stanowiące jedyny ośrodek administracyjny rejonu. Od 1991 roku stolica Republiki Górskiego Karabachu (Arcach), państwa dotychczas nieuznanego na arenie międzynarodowej. W okresie I wojny karabachskiej (1988–1994) jeden z głównych terenów walk zbrojnych; wiosną 1992 roku zbombardowane przez wojska azerskie. Używana obecnie nazwa Chankedi obowiązuje od 1991 roku na mocy decyzji ze strony władz ówczesnej Azerbejdżańskiej SRR i nie jest uznawana przez władze Republiki Górskiego Karabachu, stosujące w odniesieniu do miasta wyłącznie historyczną nazwę Stepanakert, obowiązującą w latach 1932–1991.
- II **Gajane** – balet w czterech aktach, pod dyrekcją Pawła Feldta, oparty na scenariuszu autorstwa Konstantina Dzierżawina, z muzyką Arama Chaczaturiana, wystawiony po raz pierwszy 9 grudnia 1942 roku na deskach opery w Mołotowie (obecnie Perm) w Rosji. Pierwotna koncepcja zakładająca powstanie dzieła, opatrzonego wówczas roboczym tytułem *Szczęście*, datowana była już na 1939 rok. Przez część krytyków wstępny zarys sztuki przybierał formę częściowo przerobionego scenariusza innego baletu autorstwa Chaczaturiana, powstałego nie później niż na przełomie lat 30. i 40. XX wieku. Pracę nad oprawą muzyczną projektu kompozytor rozpoczął jesienią 1941 roku. Przedpremierowy pokaz zorganizowano 3 grudnia 1942 roku na deskach Państwowego Teatru w Perm. Wystawienia na scenie doczekała się jednak wyłącznie skrócona wersja sztuki, z obsadą ograniczoną wyłącznie do odtwórców ról pierwszoplanowych, powierzonych członkom Moskiewskiego Zespołu Baletowego im. Siergieja Kirowa. *Gajane* spotkała się ze stosunkowo pozytywnym odbiorem ze strony publiczności, wzbudziła również zainteresowanie krytyki. Towarzyszący ostatniemu aktowi baletu *Taniec z szablami* wielokrotnie wykorzystywany był na potrzeby ścieżki dźwiękowej do licznych filmów fabularnych i animowanych.
- III **na Abowiana – ulica Chaczatura Abowiana** – ulica w centrum Erywania, w dzielnicy Kentron. Pierwotna koncepcja zakładająca wyodrębnienie dłuższego ciągu komunikacyjnego o takiej nazwie datowana jest na 1855 rok; współcześnie utożsamiana jest przez większość historyków z zatwierdzeniem przez ówczesnego namiestnika Kaukazu z ramienia władz Guberni Erywańskiej oficjalnego dokumentu mającego zawierać szczegółowy plan przebiegu sieci transportowej w granicach miasta. W okresie tym minimalną dopuszczalną szerokość ulicy szacowano na około sześć metrów (nie licząc uliczek bocznych wyłączonych z ruchu innego niż pieszy); maksymalna szerokość miała wynosić z kolei dwadzieścia metrów. Ukończenie prac nad budową nazwanego imieniem Abowiana ciągu zajęło łącznie niecałe osiem lat. Przez dłuższy czas wstrzymywano się jednak z włączeniem jej do stałego ruchu drogowego. W 1863 roku ulica, nazywana wówczas Astafiewską w ramach upamiętnienia radzieckiego polityka Michaiła Astafiewa, sprawującego stanowisko gubernatora Guberni Erywańskiej w latach 1860–1862, została otwarta i udostępniona dla pieszych. Rok później wprowadzono do ruchu także pojazdy kołowe. W 1904 roku władze miejskie podjęły decyzję o uruchomieniu sieci tramwajów konnych, mającej kursować w granicach centralnych dzielnic stolicy. Budowę odcinka przebiegającego wzdłuż ulicy Astafiana – jak potocznie określano ją w języku ormiańskim, prawdopodobnie wzorując się na brzmieniu popularniejszych ormiańskich nazwisk, tworzonych poprzez dodanie do imienia przodka w linii męskiej końcówki „-ian” lub „-jan” – ukończono ostatecznie w 1906 roku. Sama sieć funkcjonowała łącznie przez niecałe sześć lat, a w 1933 roku została zmodernizowana. Obecnie używaną nazwę, nawiązującą do pisarza i działacza społecznego Chaczatura Abowiana (od 1809 do czasów po 1848), uznawanego przez większość krytyków za twórcę współczesnej literatury ormiańskiej, wprowadzono w 1920 roku na mocy odrębnego aktu prawnego.
- IV (...) **na pokładach swoich wiozą nie Hambarcumianów – Wiktor Hambarcumian a. Ambarcumian** (1908–1996) – astronom, astrofizyk, jeden z czołowych przedstawicieli ormiańskiego środowiska naukowego II połowy XX wieku; syn tłumacza i nauczyciela akademickiego Hamazaspa Hambarcumiana, brat matematyczki Gohar Hambarcumian. Urodzony na terenie współczesnej Gruzji, dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Rosji.

W 1928 roku ukończył studia wyższe na Leningradzkim Uniwersytecie Państwowym (obecnie Petersburski Uniwersytet Państwowy). Działalność naukową w zawodzie astrofizyka prowadził od trzydziestego ósmego roku życia. W latach 1943–1946 pracował w charakterze nauczyciela akademickiego na Leningradzkim Uniwersytecie Państwowym i Państwowym Uniwersytecie w Erywaniu. Jako astronom i astrofizyk zasłynął przede wszystkim opracowaną w pierwszej połowie lat 40. teorią rozpraszania światła białego w atmosferach planet Układu Słonecznego. W latach 50. i 60 całkowicie poświęcił się badaniom z zakresu zjawisk zachodzących w atmosferze gwiazd, ulegającym zmianom w zależności od natężenia jasności czy ciężaru właściwego poszczególnych obiektów; na mniejszą skalę prowadził również analizę częstotliwości sygnałów radiowych pochodzących z obrębu Drogi Mlecznej, interpretowanych jako subatomowe procesy wybuchów zachodzących wewnątrz galaktyki. W 1939 roku przyjęty do Akademii Nauk ZSRR. Od 1947 roku pełnił funkcję prezesa Akademii Nauk Armeńskiej SRR, z której zrezygnował ostatecznie po czterdziestu sześciu latach pracy, oddając miejsce siedemdziesięcioletniemu wówczas naukowcowi i politykowi Fadejowi Sarkisjanowi, byłemu przewodniczącemu Rady Ministrów Armeńskiej SRR. Laureat nagrody Prix Jules-Janssen. Od września 1973 roku doktor *honoris causa* Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

V **armiańskie żołnierze** (ros.) – ormiańscy żołnierze.

VI **(...) na Sarianie się wychowałem – ulica Martirosa Sariana** – ulica w centrum Erywania, w dzielnicy Kentron. Położona u zbiegu alei św. Mesropa Masztoca i ulicy Mowsesa Chorenaciego, granicząca z ulicami Howhannesa Tumaniana, Agatangelosa i Agasi Chandżiana, wchodzi w skład obwodnicy centralnej części miasta. Początkowo stanowiąca fragment bulwaru Moskiewskiego (Moskowan); od reszty ciągu została wyodrębniona w połowie XX wieku. Pierwotnie pozbawiona odrębnej nazwy; pod obecną nazwą, stanowiącą formę upamiętnienia wybitnego ormiańskiego malarza Martirosa Sariana (1880–1972), funkcjonuje od 1969 roku. Wzdłuż ulicy położone są liczne budynki urzędowe (m.in. zarząd Ajpostu – głównego operatora sieci pocztowej na terenie Armenii), placówki oświatowe i siedziby instytucji kulturowych (m.in. Związku Kompozytorów Armenii). Od 1969 roku w budynku przy ul. Sariana 3 mieści się Muzeum Martirosa Sariana, otwarte za zgodą artysty, kierowane w większości przez członków rodziny malarza.

VII **Szusza a. Szuszi**, także Şuşa – miasto w Azerbejdżanie, administracyjna stolica rejonu o takiej samej nazwie; w latach 1992–2020 podlegające Republice Górskiego Karabachu (zob. przypis I), ponownie przekazane w ręce rządu azerskiego na mocy porozumienia pokojowego z 9 listopada 2020 roku.

VIII **u Geworkianów – Seminarium Teologiczne im. Geworga IV (Geworkian) w Eczmiadynie (obecnie Wagharszapat)** – państwowa wyższa szkoła teologiczna, podlegająca Ormiańskiemu Kościołowi Apostolskiemu. Założona w październiku 1874 roku z inicjatywy biskupa Geworga Sarojana; ze względu na opóźnienie w budowie i początkową ze strony władz państwowych odmowę wydania pozwolenia na otwarcie placówki, pierwsi absolwenci uczelni rozpoczęli jednak kształcenie dopiero na przełomie lat 70. i 80. Do końca XIX wieku naukę w seminarium ukończyło łącznie około tysiąca studentów oraz czterdziestu trzech kandydatów przygotowawczych do pracy w zawodzie nauczyciela w państwowych szkołach podstawowych i średnich o charakterze świeckim. Największym zainteresowaniem placówka cieszyła się w pierwszej i drugiej dekadzie XX wieku. W okresie tym w seminarium kształcili się liczni ważniejsi przedstawiciele ormiańskiego środowiska artystycznego – m.in. literaci i muzycy – oraz politycy i naukowcy. Wśród absolwentów uczelni znaleźli się m.in. pisarze i poeci Awetik Isahakian i Lewon Szant, przywódca ruchu narodowowyzwoleńczego ARF Ruben Ter-Minasian oraz muzykolog i mnich Komitas. W grudniu 1917 roku, w związku z nasilającą się agresją ze strony Imperium Osmańskiego, dyrektor szkoły Karen Howsepan podjął decyzję o chwilowym zawieszeniu pracy placówki. O ponowne otwarcie seminarium w latach 20. ubiegała się m.in. ówczesna głowa Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego Geworg V; przedłożony przez niego wniosek został jednak odrzucony przez władze państwowe bez wcześniejszego uzasadnienia. Pod koniec czerwca 1928 roku wydano jednak oficjalne pozwolenie na wznowienie działalności uczelni, nadając jej częściowo świecki charakter. Władzom uczelni przydzielono nowy, tymczasowy budynek, w latach 30. skonfiskowany przez władze państwowe, obecnie stanowiący własność Państwowego Centralnego Archiwum Armenii. Oficjalny status szkoły teologicznej przywrócono ostatecznie dopiero na przełomie 2001 i 2002 roku.

IX **za Czarenca – Jeghisze a. Egisze Czarenc**, właśc. **Jeghisze Sogomonian (1897–1937)** – poeta. Urodzony w rodzinie handlarzy dywanami zamieszkującej na stałe tereny dawnej wschodniej Armenii (obecnie granice Turcji), w latach 1908–1912 uczęszczał do technikum w Kars, jedynej w mieście szkoły średniej. Jako artysta zadebiutował w wieku piętnastu lat pojedynczym wierszem opublikowanym w „Patani” – wydawanym na terenie Gruzji popularnym ormiańskojęzycznym czasopiśmie o tematyce literackiej. Pierwsze utwory utrzymywał w nurcie zbliżonym do symbolizmu. Studia wyższe odbył w Moskwie. W pierwszych latach I wojny światowej brał udział w działaniach zbrojnych prowadzonych w ramach tzw. kampanii kaukaskiej, obejmującej tereny współczesnej Ar-

menii, Azerbejdżanu, Gruzji i części Bliskiego Wschodu. W 1915 roku zesłany do Wan, gdzie po raz pierwszy osobiście doświadczył okrucieństwa w stosunku do narodu ormiańskiego ze strony dochodzącego do władzy rządu młodoturków. Ze służby wojskowej zrezygnował jednak po niecałym roku na rzecz rozpoczęcia studiów na Państwowym Rosyjskim Uniwersytecie Humanistycznym w Moskwie. W okresie tym rozpoczął również probolszewicką działalność polityczną. Po wybuchu wojny domowej w Rosji odbył krótką służbę w Armii Czerwonej. Jednocześnie kontynuował działalność literacką. Za najważniejszy utwór autorstwa Czarenca powstały w latach 20. uznawany jest wiersz *Im en anusz Hajastani*. W 1936 roku został aresztowany przez władze państwowe w związku z prowadzoną działalnością polityczną. Zmarł w listopadzie 1937 roku, w wieku zaledwie czterdziestu lat, w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach (najczęściej jako przyczynę śmierci artysty podaje się jednak rozstrzelanie); nieznane pozostaje również miejsce pochówku literata. Po śmierci poety na terenie Związku Radzieckiego wprowadzono obowiązujący do momentu rozpadu państwa całkowity zakaz drukowania i rozpowszechniania jego twórczości. W Polsce utwory Czarenca w przekładzie Andrzeja Mandaliana, opatrzone wstępem autorstwa Gerworga Emina, po raz pierwszy doczekały się wydania w 1962 roku w formie wyboru pism, na potrzeby redagowanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy serii *Biblioteka poetów*; był to pierwszy wchodzący w skład cyklu przekład z literatury ormiańskiej (w późniejszym okresie w ramach *Biblioteki poetów* opublikowano również utwory Awetika Isahakiana w przekładzie Andrzeja Mandaliana, Witolda Dąbrowskiego i Artura Międzyrzeckiego). W 1984 roku publikacja wybranych wierszy artysty (w tym samym tłumaczeniu) została wznowiona w ramach antologii *Poezja armeńska*.

X **aparik** (orm.) – braciszek.

XI **Żadnego pięknego Ary nie było – Ara Piękny (?)** – władca Armenii, przez większość badaczy uznawany za pierwszą w historii kraju postać, której panowanie zostało potwierdzone oficjalnymi dokumentami historycznymi, postrzegany jednak jako bohater legendarny. Władzę sprawował prawdopodobnie na przełomie X i IX wieku p.n.e., lecz nie później niż w latach 50. IX wieku. Początkowo utożsamiany z Aramem – pierwszym królem Urartu (Królestwa Wan), starożytnego państwa położonego w granicach współczesnej Armenii, Turcji i Iranu, istniejącego do VI wieku p.n.e. W literaturze naukowej epoki antyku i wczesnego średniowiecza – m.in. w pismach Mow-sesa Chorenaciego, częściowo przeplatających wiedzę historyczną z elementami tradycji biblijnej – ukazywany jako potomek Hajka (Nahapeta), prawnuka Noego, legendarnego protoplasty narodu ormiańskiego. Najstarszy zachowany do dziś literacki wizerunek Ary Pięknego przedstawiał bohatera jako jedyne dziecko ówczesnego króla Armenii, noszącego to samo imię, w wieku dwunastu lat mianowanego na głowę państwa w miejsce przedwcześnie zmarłego ojca. Rzadziej postać monarchy interpretowano w kontekście obecnych w pismach Chorenaciego scen śmierci na polu walki, motywu życia wiecznego i reinkarnacji, częściowo postrzeganego przez krytyków jako paralela pomiędzy cieszącą się szczególną popularnością w okresie późnego średniowiecza legendą a wybranymi fragmentami *Republiki Platona*. We współczesnej literaturze ormiańskiej postać Ary Pięknego spopularyzował utwór *Ara Gegecik* autorstwa Nairi Zariana z 1946 roku, przybierający formę z pogranicza poematu i klasycznej tragedii o tematyce historycznej.

XII (...) **wiersz Tumaniana albo Demircziana.**

Howhannes Tumanian (1869–1923) – poeta, pisarz, działacz społeczny i kulturowy, uznawany za najwybitniejszego przedstawiciela współczesnej literatury ormiańskiej. Urodzony na terenie północnej Armenii, od czternastego roku życia mieszkał w Tyflisie. Przed rozpoczęciem działalności artystycznej pracował m.in. w lokalnej kurii biskupiej (1887–1893) oraz w stołecznych agencjach wydawniczych (1893–1899). Jako literat zadebiutował oficjalnie w wieku dwudziestu czterech lat; w rzeczywistości pierwszy wiersz – zadedykowany córce jednego z nauczycieli z okresu nauki w szkole podstawowej – napisał już jako dwunastolatek. Początkowo swoje utwory publikował wyłącznie w prasie, m.in. na łamach popularnych pism literackich „Murcz”, „Agbujr” i „Horizon”. W okresie tym jego dorobek artystyczny obejmował w większości krótkie formy prozatorskie. W połowie 1899 roku założył nieformalną grupę literacką Wernatun, cieszącą się stosunkowo dużą popularnością wśród przedstawicieli inteligencji ormiańskiej mieszkających na stałe w Tyflisie i okolicach. Stowarzyszenie, w pierwotnym zamyśle mające zrzeszać wyłącznie pisarzy i poetów, z czasem rozszerzono również o twórców działających na rzecz innych dziedzin sztuki – m.in. muzyki czy malarstwa. Wernatun, w szczytowym momencie liczący około trzydziestu członków, funkcjonował łącznie przez niecały dziesięć lat. Od 1905 roku Tumanian obejmował stanowisko redaktora naczelnego czasopisma dla dzieci i młodzieży „Hasker”; od 1907 roku tę samą funkcję pełnił również w redakcji satyrycznego miesięcznika „Chatabala”. W 1912 roku został mianowany przewodniczącym Kaukaskiego Towarzystwa Pisarzy Armeńskich. W swojej twórczości, utrzymanej w konwencji realistycznej, często inspirowanej kulturą ludową, poruszał m.in. problematykę walki z feudalizmem, konfliktów o podłożu psychologicznym oraz codziennego życia mieszkańców Armenii. Jego dorobek artystyczny obejmował – oprócz

poezji – także powieści, opowiadania, bajki, artykuły prasowe i eseje o charakterze krytycznym lub krytycznoliterackim. Aktywnie uczestniczył w życiu społecznym i kulturowym ojczystego kraju; otwarcie sprzeciwiał się starciom międzyetnicznym pomiędzy Ormianami i Tatarami. Dwukrotnie aresztowany (w 1908 i 1911 roku) wraz z innymi licznymi przedstawicielami inteligencji ormiańskiej (m.in. z Awetikiem Isahakianem) pod zarzutem udzielania wsparcia materialnego grupom zbrojnym stacjonującym w zachodniej części kraju oraz działalności na rzecz ruchu oporu. Współcześnie do najważniejszych utworów autorstwa Tumaniana zalicza się powieść *Anusz* (1890) oraz wiersz *Dawid z Sasunu* (1902), stanowiący parafrazę datowanej na przełom XII i XIII wieku epopei pod takim samym tytułem; z literatury dziecięcej – wiersz *Pies i kot* (1886) i bajkę *Koźlątko*.

Derenik Karapeti Demirczian (1877–1956) – pisarz, poeta, dramaturg, tłumacz. Urodzony na terenie południowej Gruzji, do czterdziestego ósmego roku życia mieszkał w Tyflisie. Jako literat zadebiutował w 1899 roku krótkim tomikiem poezji. Od tego samego roku należał również do członków wpływowej grupy literackiej Wernatun, założonej przez Howhannesa Tumaniana. W pierwszych latach działalności artystycznej pisał prawie wyłącznie sztuki teatralne o stosunkowo zróżnicowanej tematyce. Od późnych lat 20. XX wieku jego dorobek obejmował również dłuższe formy prozatorskie (opowiadania i powieści) oraz pojedyncze utwory dla dzieci i młodzieży. Od 1953 roku udzielał się na rzecz Akademii Nauk Armeńskiej SRR. W ostatnich latach życia całkowicie poświęcił się przekładom z literatury rosyjskiej, spośród których za najbardziej zbliżony do oryginału pod względem stylistycznym i językowym uznawano tłumaczenie *Martwych dusz* Nikołaja Gogola. Współcześnie do najważniejszych utworów autorstwa Demircziana zalicza się komedię *Dzielny Nazar* z 1924 roku, wielokrotnie wystawianą na deskach licznych teatrów w Erywanii, Tyflisie i Baku, oraz powieść historyczną *Wardanank*, opublikowaną w dwóch tomach pomiędzy 1943 a 1946 rokiem, wznowioną po zaledwie pięciu latach od ukazania się pierwszego wydania.

XIII **Hajastan** (orm.) – nawiązujące do postaci Hajka (Nahapeta), legendarnego protoplasty narodu ormiańskiego, określenie używane przez Ormian w odniesieniu do ojczystego kraju. Zob. przypis XI.

XIV **Sakartwelo**, właśc. **Kartwelo** (gr.) – Gruzja.

XV (...) **jak melodia grana na duduku** – **duduk** – rodzaj instrumentu dętego drewnianego o charakterystycznym, nosowym brzmieniu. Pochodzący z Armenii, obecny w tamtejszej kulturze od około XII wieku p.n.e., z czasem rozpowszechniony również w Azerbejdżanie, Gruzji, Turcji oraz części krajów Bliskiego Wschodu. Tradycyjnie wykonany z drewna moreli. Ze względu na przeciętne rozmiary (siedemdziesiąt do siedemdziesięciu ośmiu centymetrów) oraz brzmienie mylony z popularnym w krajach bałkańskich – na największą skalę rozpowszechnionym w Bułgarii, Serbii i Macedonii Północnej – innym instrumentem o podobnym nazwie, określanym również mianem *kawal* lub *frula*. Współcześnie chętnie wykorzystywany na potrzeby ścieżek dźwiękowych do filmów fabularnych (głównie o tematyce historycznej), przeważnie w celu podkreślenia towarzyszącego poszczególnym bohaterom uczucia samotności i smutku lub jako równowaga dla obecnych w obrazie wizualnych elementów zaczerpniętych z kultur Bliskiego Wschodu i centralnej Azji; dźwięk *duduka* towarzyszył m.in. wybranym scenom w filmach *Ronin*, *Gladiator*, w serialach *Xena. Wojownicza księżniczka*, *Spartakus*, *Rzym*. Do najważniejszych współczesnych artystów grających na tym instrumencie zalicza się m.in. Dżiwana Gaspariana i Emmanuela Howhannisiana.

JEAN ANGLEMONT

– (2002) autor utworów w języku polskim i francuskim. Miłośnik poezji, m.in. Cocteau i Baudelaire’a, która jest dla niego niewyczerpanym źródłem inspiracji. W swojej twórczości przeplata inspiracje klasyczną literaturą francuską z elementami autobiograficznymi. Na łamach „Epei” zadebiutował w 2023 roku opowiadaniem *Au Rue Vignon, samedi du memoire*.

Katarzyna Chomczyk

Stolica życzliwości

– Wolne? – Wyrok nad sobą słyszę.

Chciałbym odpowiedzieć „zajęte”. Nie, chciałbym powiedzieć „spierdalać”. Być sam, mieć święty spokój. . . skonany jestem, jak Jezus w Wielki Piątek. Przez trzy dni robiłem na czarno, bo dobra fucha, mówili.

Ona stoi nade mną, a ja to „spierdalać” przewracam między zębami, ale przecież nigdy tak nie powiem, więc kiwam twierdząco głową jak skazaniec i gapię się na swoją zupę. Z soczewicy. Wygląda jak psie belty, ale jest gorąca i niedroga, a ja nie wiem, gdzie się chodzi w tym mieście na tanie obiady. Całą noc murowałem; kapitał mi ciąży w kieszeni. Mięsa bym zjadł, co ja jestem, królik, żeby warzywa przesuwać? Ale jak zobaczyłem, ile stek kosztuje, to z chodnika gębę zbierałem. Stolica. Siedzę więc jak debil w jakiejś wegańskiej knajpie, zanurzam w tej cieczy łyżkę, wącham. Nie znam takich przypraw, bo ja to tylko sól i pieprz. I pietruszka, żeby było zielono. A tu warszawka: soczewica, wege, chuje muje. Przelewam te rzygi, łyżka – talerz, talerz – łyżka. I udaję, że nikt przede mną nie siada, że czyjeś buciory nie stykają się ordynarnie z moimi laczkami. Patrzę na swoje ręce, ledwie się doszorowałem z cementu, ale teraz elegancja, manikiury i te sprawy, rączki prawie jak u inteligenta. łyżka – talerz, talerz – łyżka. Raz się żyje. Przeżykam przerażony, niezłe nawet, i rozluźniam się trochę.

– Nie! – dobiega nagle, prosto do mnie; nie reaguję. Gapię się na tę zupę tylko, ale kątem oka widzę kropelki śliny opadające na stół jak jakaś magiczna rosa. – Czekalam na ciebie, czekałam tyle czasu, wiesz?

Ona to do mnie, ale ja dalej łyżka – talerz – usta – łyżka – talerz. . . I staram się szybciej, ale gorące bardzo.

– Mam cię w dupie! – To znowu ona.

Łyżka – talerz – dmucham. . . Ciepło mi, ale nie podnoszę oczu i zaczynam tęsknić za tym, jak mi było zimno na zewnątrz. Wyjść stąd chcę, ale ta zupa i głodny przecież jestem, więc łyżka – talerz – dmucham. . . Poce się, ja pierdole.

– Będziesz milczał, skurwysynie, co? Ale nawet nic nie mów. Nie chce mi się z tobą gadać – wali Bogusiem. Nie wytrzymuję i patrzę prosto na nią, staram się wyglądać groźnie.

Gapi się na mnie, ale jakoś tak niewidząco i nie dość, że się nie boi, to jeszcze się uśmiecha. Gówniara jakaś, studentka pewnie, bo ma za duży sweter i czarne paznokcie. Ona nie reaguje. Nie mogę nic powiedzieć, mimo że chciałbym ją zwymyślać od najgorszych. Ale nie jestem skurwysynem, choć tak jej się wydaje, choć tak mnie nazywa.

– Mam cię w dupie! – skanduje ostatni raz, a potem zapada się w sobie, łagodnieje, chowa się w tym swetrze jak żółw w skorupie i skupia na swoim drugim, które



Nasturcja Podolak

wygląda jeszcze gorzej niż moje pierwsze. Wariatka jakaś, ja to mam farta, kurwa. Pewnie mi zaraz napluje do zupy. Ja pierdołę. Jeszcze po takiej nocce... Talerz – łyżka – talerz – łyżka – dno już widzę, wreszcie. Zerkam na swoje casio: zdążyć na ostatni pociąg. W dupie mam to miasto i tych ludzi. Nocy nie przespałem, żeby fajansiarskie ścianki w penthausie skończyć. Targowali się potem, niunia z tym fagąsem, jakby chcieli, żebym im jeszcze za swoją robotę dopłacił. Dwa razy się zgubiłem, taksiarz mnie oszukał, a jakaś laska zwymyślała mnie właśnie za niewinność. Stolica, kurwa, życzliwości. Tamta ciamka swoje falafele, a jej telefon, tuż przed moim talerzem, wibruje nagle. Ona wciska coś, a potem mówi, ale inaczej już całkiem. „Cześć, Anka, co słyhać?” Głos ma przyjemny, wspomina coś o piwie, o „oparach”, że się widzą za dwie godziny. Zakłada włosy za ucho, a ja wytrzeszczam oczy, bo pod czarnymi kędziurami bieleje słuchawka bezprzewodowa. Ja pierdołę, jak ja nienawidzę tego miasta.

Ciemno już, choć wcale nie jest późno. Patrzę w bok. Brunetka, nie za brzydka, nie za chuda, lubię takie. Kiwa głową, dłubie widelcem w jedzeniu, nóż leży obok,

na bezrobociu. Gęba jej się nie zamyka. Facet przed nią to nieogolone trzydzieści parę, na kacu albo zmęczony życiem. To miasto postarza. Mógłby przypakować, garbi się. Wyglądają trochę jak na randce: ona bez przerwy mówi, a on udaje, że słucha, choć tak naprawdę myśli tylko o tym, jak się jej dobrać do majtek. Prostuję plecy, przeciągam palcami po włosach. Patrzę na siebie jeszcze raz w tej szybie: mam ciemny sweter i okulary, od biedy mógłbym uchodzić za dziennikarza.

Dziewczyna podnosi się, chowa telefon, choć nie przestaje nadawać, jak Radio Maryja jakieś. Kiwa do mnie na pożegnanie, wciska brudne naczynia na metalowy stojak, wychodzi. Brunetka, nie za brzydka, nie za chuda, lubię takie. Sprawdzam szybko te „opary”. Google twierdzi, że to dziesięć minut stąd piechotą. Kładę miskę po soczewicowej na jej wylizany do czysta talerz. Stawiam na sztywno kołnierz od płaszcza i wychodzę. Nowy plan się we mnie klaruje, więc idę nie na dworzec, ale po gazetę i fajki. I już wiem, co powiem, i sam się do siebie uśmiecham, bo to jednak nie wyrok wcale, a obietnica: „Wolne?”

KATARZYNA CHOMCZYK

– autorka opowiadań, słuchowisk i dramatów. Ukończyła Kurs Kreatywnego Pisania w PAN-ie. Uczestniczka letnich warsztatów literackich współorganizowanych przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, oddział w Krakowie. Publikowała w „Nowym Napisie” oraz „Epei”.

Obywatelka świata, w sercu pozostaje dumną Podlasianką. Nie boi się wyzwiań: pracowała między innymi w fabryce czajników i tureckim sklepie z diamentami.



fot. prywatne archiwum autorki

Robert Traczyk

AskAPP (fragmenty)

Spektakl oparty na faktach.

Badania terenowe: Aleksandra Kołtuniak, Kornelia Niziołek, Robert Traczyk, Daniel Zawada

W tekście wykorzystano: fragmenty rozmowy z Magdą Mosiewicz i Dominikiem Skrzypkowskim; „DIALOG”, marzec 2023; fragmenty *Swietlany*, Przemka Wojcieszka; „DIALOG”, listopad 2019.

[...]

2. BIKER INTRO

BIKER

Stwierdziłem, że potrzebuję trochę dorobić w Niemczech za granicą. Ale chciałem też zmienić przestrzeń. Wielu ludzi po studiach ma ochotę po prostu gdzieś pojechać, wyeksplorować jakieś inne, inny kraj.

Padło na Berlin, bo on jest na tyle blisko, że można w razie czego podskoczyć z powrotem, ale na tyle daleko, że jest naprawdę wielokulturowy.

Tłum osób gadających w innych, często egzotycznych, językach.

BIKER

To miało być trzy miesiące też, ale zrobił się rok przez akcję z mieszkaniem i przełamaniem się przez ten taki trójkąt bermudzki:

BIKER

Żeby mieć...

MIESZKANIE

... mieszkanie...

BIKER

... musisz mieć...

PRACA

... pracę.

BIKER

Żeby mieć...

PRACA

... pracę...

BIKER

... musisz mieć...

MIESZKANIE

... mieszkanie.

BIKER

A żeby mieć...

MIESZKANIE

... mieszkanie...

BIKER

... musisz mieć...

KONTO W BANKU

... konto w banku.

BIKER

A żeby mieć...

KONTO W BANKU

... konto w banku...

BIKER

... to musisz mieć...

PRACA

... pracę...

BIKER

Dopiero po trzech miesiącach udało mi się zdobyć... pracę.

Ubierają go w strój Bikera na podobieństwo stroju Iron Mana.

Stwierdziłem, że jakoś to będzie z tymi studiami. Prawdopodobnie przejdzie to wszystko na online.

Jeździ.

Jeździłem i jednocześnie słuchałem wykładów!

Pedałowałem tak mocno i tak szybko... Ale tu przynajmniej zarabiałem.

To był covid, więc i tak wszystko się działo online.

Ten rower ma najechane więcej kilometrów niż twój samochód!

Bo wrocławscy kurierzy rowerowi to stara gwardia. Zwycięzcy mistrzostw kurierów rowerowych.

W „żarcu”, jak potocznie nazywamy, biorą każdego, kto chce. Dlatego pracuje tu tak wielu migrantów.

Rozdaje żarcie.

Przewrotne było poczucie bardzo takiego postapokaliptycznego klimatu w mieście, które było puste w godzinach szczytu. Człowiek był przyzwyczajony do tego gwaru, ruchu, dynamiki, tej akcji, tego trąbienia na siebie, tych wyjeżdżających samochodów zastawiających ci drogę.

Jeździ dalej.

Złote czasy, naprawdę dużo zleceń i mała konkurencja. Ja jeszcze dowoziłem w tym moim plecaku jakieś rzeczy. Takie medyczne.

OFF

To uber organizował?

BIKER

Nie, to była moja indywidualna inicjatywa. Czuję się jak bohater.

No i ludzie dawali napiwki.

16 DRIVER – HISTORIA

Driver odgrywa monolog z Mickiewicza, Słowackiego czy czegoś podobnego.

DRIVER

Publiczne teatry, dla których pracowałem, pod groźbą utraty publicznych dotacji, musiały postawić na konserwatywny repertuar. Teatry prywatne, w których zacząłem pracować za dużo mniejsze pieniądze, bankrutowały jeden po drugim. Dotarliśmy do ściany.

Musieliśmy bardzo szybko zdecydować, gdzie wyjeżdżamy.

ŻONA

Wszyscy nasi znajomi wybrali Warszawę, ale nam na samą myśl o tym robiło się niedobrze.

DRIVER

Postanowiliśmy wyjechać do Berlina.

ŻONA

Pierwsze miesiące w Berlinie były upojne. Kawiarnie, wspólne polaroidy w łóżku.

DRIVER

Seks najlepszy od czasu pierwszych randek. Doznaliśmy przesytu wolnością i szczęściem.

ŻONA

Ja dostałam pracę w przedszkolu.

DRIVER

Ja poszedłem do firmy, którą polecił mi nasz arabski sąsiad, Ramadan.

RAMADAN

Arbeit, arbeit, arbeit. Das ist Deutschland.

DRIVER

Zostałem kierowcą ubera. To była właściwie jedyna praca, jaką mogłem podjąć, nie znając niemieckiego. Przynajmniej dopóki nie znajdę czegoś w kulturze.

ŻONA

W Berlinie nie ma pracy w kulturze. Wpisz sobie w Google'a „berlin praca w kulturze”. Powodzenia.

DRIVER

Wkrótce okazało się, że większość moich pasażerów to zagraniczni turyści, gadający tylko po angielsku.

Wsiada pasażer.

PASAŻER

Bordello, please.

DRIVER

Yes, sir.

PASAŻER

Kilka lat temu prezes Ubera, Travis Kalanick, opublikował listę czternastu wartości firmy. Jak pewnie sobie wyobrażacie, był to motywacyjny belkot przesłaniający fakt, że firma bazuje na wyczyszczeniu i mobbingu swoich pracowników. Jedną z wartości, których wyznawania oczekiwano od pracowników Ubera, było „super pumpedness”.

DRIVER

Jedyne co miałem „super pumped”, jako ich pracownik, to mój pęcherz.

Pasażer wysiada, ale daje w napiwku dobrą polską amfetaminę. Driver ją bierze i idzie na techenko. Spotyka tam Niemiecką Przyjaciółkę.

NIEMIECKA PRZYJACIÓŁKA

Was machst du in Berlin?

DRIVER

Ich bin ein Uber Fahrer.

NIEMIECKA PRZYJACIÓŁKA

Du?

DRIVER

Ja. Ich bin ein Uber Fahrer.

NIEMIECKA PRZYJACIÓŁKA

Es muss schrecklich sein.

DRIVER

Es ist perfekt, es ist grossartig

Niemiecka Przyjaciółka odchodzi.

DRIVER

Współczucie osób z klasy średniej wobec faktu, że wykonujesz pracę właściwą klasie robotniczej, zdradza dwa uprzedzenia: przekonanie, że istnieje osobna klasa społeczna predestynowana do wykonywania takiej pracy, oraz to, że nieodłącznym elementem tej pracy jest wyzysk, co jest wiedzą powszechną, a zarazem częścią status quo. Mój proletariacki status okazał się towarzyską niezręcznością.

Driver spotka smutnego Ramadana.

DRIVER

Arbeit, arbeit, arbeit...

RAMADAN

... das ist Deutschland.

Dzwoni telefon. Driver odbiera.

ASYSTENTKA KIEROWCY

Ramadam już nie będzie jeździł.

DRIVER

Ramadan nie będzie już jeździł? Przecież od niego zawsze dostawałem samochód.

ASYSTENTKA KIEROWCY

Fuck Ramadan! To nie jest praca dla ślepych, starych i chorych.

DRIVER

Ale Ramadan zasuwał po dwanaście godzin! Tak się z nim żegnasz?

ASYSTENTKA KIEROWCY

Niewidzialna ręka rynku usuwa zbędne pionki z szachownicy i robi miejsce dla nas, figur, które rozstrzygną tę rozgrywkę.

Koniec połączenia.

DRIVER

Miałem samochód dla siebie. Mogłem jeździć i po dwadzieścia godzin. Z przerwami na sen i defekację... i lekturę.

Driver czyta Rozmowy Uchodźców Brechta. Podchodzi do niego sexworkerka.

SEXWORKERKA

Polak?

DRIVER

Tak.

SEXWORKERKA

Dla swoich mam zniżkę.

DRIVER

Nie, nie chcę twojego ciała, ale proszę, porozmawiajmy o emigracji. Myślę, że moglibyśmy. . .

Bertold Brecht pisał o emigrantach, że są najlepszymi dialektykami. Wyemigrowali z powodu zmian w swoich krajach, dlatego najpilniej studiują najdrobniejsze zmiany w codzienności krajów, w których się zatrzymali. Wychwytyją wszystkie sygnały zbliżających się kłopotów. Niczym myśliwskie psy tropią wszelkie ślady ksenofobii, nawoływanie do deportacji i pogromów. Imigranci żyją w stanie ciągłej czujności i niepokoju.

Nie ma tam już jednak Sexworkerki, ale Pasażer! Śpiewa naziolską piosenkę.

DRIVER

Nie wiem, jak rozpoznał, że jestem Polakiem.

17. ONLY FANS 2 – RELACJE PARASOCJALNE

Po cyberseksie.

GIRL

Dlaczego w czasie darmowej i szeroko dostępnej pornografii mam takie wzięcie.

DRIVER

Mam namiastkę relacji socjalnej z tobą.

GIRL

Chyba relacji parasocjalnej.

DRIVER

Dla mnie nie jesteś jakąś tam aktorką porno, ale jakby przyjaciółką.

GIRL

Możesz do mnie zawsze napisać.

DRIVER

A ty będziesz dla mnie miła.

GIRL

Możesz zamówić indywidualny content.

DRIVER

Czuje, że między nami jest jakaś więź.

GIRL

Podtrzymywanie tej relacji jest bardzo ważne. Bez tej relacji nie będzie zarobku. Nie będzie grupy docelowej. Nie będę miała dla kogo tworzyć i na kim zarabiać.

DRIVER

To się liczy najbardziej. Nie twoje ciało!

GIRL

Nawet jeśli to transakcja.

DRIVER

Jeśli mam kupę kasy, to mogę część swoich dochodów przeznaczyć na to, żeby czuć się mniej samotnym.

18 APLIKACJE – GŁUPI ALGORYTM

Biker jest zagubiony w czasoprzestrzeni. Gada z konsultantką.

BIKER

Uber ma mapę miasta pod samochód i nie przewiduje rowerowych dróg dojazdu!

KOORDYNATORKA

Koszt zmiany całej infrastruktury aplikacji z samochodowej na rowerową jest zbyt duży.

BIKER

Algorytm wyznacza cały interfejs mojej aplikacji w telefonie! Nie mam możliwości zrobienia czegokolwiek innego, bo mnie po prostu blokuje przed dalszym dostępem.

KOORDYNATORKA

Utrudniam kontakt do jakiegokolwiek pomocy.

BIKER

Algorytm wymyślał trasy na zasadzie, że jedno zawieziemy na Fabryczną, a drugie na Gaj, czyli trzydzieści kilometrów, nie?

KOORDYNATORKA

Gdyby algorytm był lepszy, to miałbyś cztery zamówienia w ciągu godziny, a nie jedno w ciągu czterech godzin.

19. ZWIĄZKOWCY

1 – Start.

KURIER RED

Tu płacą od godziny. Nikogo nie znasz. Nie masz kontaktu z innymi kurierami. Czasem tylko macham do kurierów w tych samych kurtkach. Ale oni nie zawsze odmachują.

KURIER RED

Na Karl-Marx-Strasse podchodzą do mnie dziewczyny z ulotką odbitą na ksero.

KURIER BLUE

Zapraszam na warsztaty rowerowe, to taka inicjatywa oddolna. Kurierzy dla kurierów.

KURIER RED

Wtedy akurat nie mogę.

KURIER BLUE

To jednorazowa impreza.

KURIER RED

To szkoda.

KURIER BLUE

No to wymierimy się telefonami.

Pauza.

KURIER RED

Dostałem zaproszenie na kolejne spotkanie.

2. Spotkanie intro.

KURIER RED

To jest na takim jakby skłocie.

KURIER GREEN

Jest tu ognisko i lodówka z napisem „pay what you can”.

KURIER BLUE

Jestem z RPA i studiuje socjologię.

KURIER GREEN

Chcemy założyć radę pracowniczą w liferando.

KURIER BLUE

U was to pyszne.pl.

KURIER GREEN

Nasze spotkania toczą się po angielsku.

KURIER BLUE

Bo jest tu bardzo dużo migrantów.

KURIER RED

Słabo mówię po angielsku.

KURIER GREEN

Mówią na różnym poziomie.

KURIER BLUE

Ale zawsze ktoś cierpliwie tłumaczy.

3. *Spotkanie właściwe.*

KURIER RED

Większość kurierów, których mijam na ulicy, jest spoza Niemiec.

KURIER BLUE

Z Włoch.

KURIER GREEN

Z Grecji.

KURIER BLUE

Z Francji.

KURIER GREEN

Ale najwięcej wiedzą Niemcy.

KURIER RED

Osoby na ogół wykształcone.

KURIER BLUE

Najwięcej działali jako aktywiści.

KURIER GREEN

Lub byli wcześniej w związkach zawodowych.

KURIER BLUE

Rady istnieją w zakładach od lat pięćdziesiątych.

KURIER GREEN

Niemcy mają świadomość praw pracowniczych.

KURIER RED

Chcecie negocjować warunki i mieć należne pracownikom narzędzie, czyli radę?

KURIER BLUE, KURIER GREEN

Mhm.

KURIER RED

Dla freelancera z Polski ta praca nie wygląda źle. Kontakt z koordynatorem jest przez aplikację. Ale to jest bardzo dobra korespondencja, czuję się jak osoba, a nie zasoby ludzkie. Wszystko jest transparentne. Po miesiącu mam wykaz, ile zarobiłem, ile idzie na ubezpieczenie zdrowotne, ile na składkę emerytalną. I tak muszę kupić rower, telefon. To nie jest dodatkowy koszt.

[...]

21 FINAŁ

DRIVER i BIKER i PROFESORKA/GIRL siedzą w opuszczonej knajpie.

ROBERT TRACZYK

– absolwent Politechniki Wrocławskiej i reżyserii na wrocławskiej Akademii Sztuk Teatralnych oraz Story Masterclass w Story Academy w Gotland Folkhögskolaw Szwecji. Dramaturg (m.in. *Niezwykłe odkrycie Papugi*, *Męskie perspektywy miłości*), reżyser (m.in. *Kordian*, *TanzGala*, *Zjemy wasze dzieci. Z cebulą*, *AskAPP*, *Chodź na słówko*). Scenarzysta serialu *Kapitalne opowieści* w 4FUN.KIDS. Stypendysta ZAIKS. Stypendysta „Młoda Polska 2023”.



fot. prywatne archiwum autora

Dragan Jovanović Danilov

3 wiersze

Światła winnicy

A potem nagle we śnie – winogrona!
Zapadłem się w feudalną starość winnicy
między dojrzałe krzewy nad którymi się żarzy.
W winnicy jak w jakimś oddzielnym świecie
pozbywam się ziemskich drobiazgów.
Alkohol wrze w diasporze. Kiedy krew się gotuje
noce są jak trudny powrót. Każdy pęczek
jest mędrcelem w pewnym sensie zamkniętym w swoim
jasnowidzeniu. Zmysłowy meteor który się zatrzymał
na krzewie aby odzyskać zagubione
opanowanie. Dla mnie wiszą te pęczki czyniąc mnie
więzieniem blasku. Zeszłoroczny muscat uderza do głowy
powstrzymuje mnie od abstrakcji; moim podniebieniem trzęsą słodkie
skurcze. Oszalają sopran wina. Trzepot skrzydeł rozkoszy.
Wszystko co nieczyste zostało spalone w ziarnie opalu.
Jak mówi psalm: skosztujcie i zobaczcie!
Z tego dzbana pijesz tylko wtedy gdy do niego wlewa się krew
z soku winogronowego. Niech się wypije więcej wina niż
tej krwi się poleje bo nawet szlachetni szaleją
kiedy otchłań ich pochłonie. Pijaństwo to jest to co
pozostaje w beczce po spuszczeniu z niej całego wina.
Nie istnieje nic od czego można uciec.
Nic nie pomoże pomóc trzeźwemu spojrzeniu.
Wino jest w duszy lub go nie ma. Wino nie jest dłużnikiem
ani powiernikiem. Oprócz pragnienia nie ma w nas nic
stałego. Gdyby Noe nie zasadził po potopie
winorośli zaspani nie śniliby o zachwycie przebudzenia.
Rozum zawdzięczamy winu. Kiedy nie będzie winnicy
słońce zniknie. Kto jest spragniony niech idzie za mną.

Śnieżne szczyty wschodu

Śnieżne szczyty, cerkwie oświetlone religią kryształu
i lodu, przychodźcie do zastraszającej czerni tej ciepłej,
medyterańskiej nocy, niespodziewanie, można by rzec na palcach.
Śnieżne szczyty, śnieżne szczyty, o wyrzeźbionej nagości
błogosławionych kobiet, które pod sercem noszą niemowlęta białe, białe
jak konwalia, czy ktoś śni o was tak jak ja?
Bezsilnością swoją przechodzi przeze mnie nocna mara,
kapiecie z mroku podczas jutrzeńki, nauczając świat języka
białości.
Niebieskie lodowce, które budzicie w człowieku uczucie, że jest poniżony
przed wszystkimi, latarnie morskie orłami, wiekami i jeszcze
nienarodzonymi, jesteście zdrowi, ponieważ chłód zabił wszystkie
mikroby w was.
Zimne górskie szczyty, trony na czyich skalach
kwitnie kwiat szarotka niczym mniszka w swojej czystości,
cisi rodzice moich osamotnień, zamrożone moje tęsknoty –
jesteście mi bliscy o, wy piękni, wysocy chłopcy boskiego spojrzenia,
nadto biali dla moich dni, po blasku w oczach.
A ja kocham wasze ostre, diamentem mrozu cięte
skraje i wyobrażam moje przyszłe dni wybielone waszą
czystą twarzą.

DRAGAN JOVANOVIĆ DANILOV

– urodził się w 1960 roku w Požedze (Serbia). Studiował w Belgradzie historię sztuki na Wydziale Prawa i Filozofii. Wydał wiele tomików wierszy. Obecnie jest jednym z najbardziej znanych poetów serbskich.

Laureat wielu prestiżowych nagród literackich. Danilov jest zarówno krytykiem sztuki, jak i eseistą. Mieszka w Požedze, gdzie pracuje jako dyrektor biblioteki.



fot. prywatne archiwum autora

Dar

Księga wreszcie się otworzyła
i twój głos doszedł do mojego ciała.

Tak naprawdę nie lubię głębi,
boję się jej.

Byłem w niej przez długi czas, abym ją
objął jako swoją głębię.

Z tej podwodnej otchłani
wyciągnęłaś mnie na brzeg.

Wczoraj jest historią, jutro jest
misterium, a dziś jest darem.

Ciepło dnia to twoja dłoń
na mojej klatce piersiowej.

Nie ma cieplejszych słów niż te
z oczu.

Słońce rozjaśnia pokój i twoje
palce piszą teraz mój wiersz.

Przekład z języka serbskiego: Olga Lalić-Krowicka

OLGA LALIĆ-KROWICKA

– urodziła się 2 kwietnia 1980 roku w Šibeniku w Chorwacji, jest serbsko-polskiego pochodzenia. Ukończyła Wydział Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Honorowy obywatel cesarskiego miasta Sirmium (Sremska Mitrovica, Serbia) od 2014 roku. Dwukrotna stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Autorka około piętnastu tomików poezji. Przełożyła wiele tomów poezji i prozy autorów z Polski i Balkanów. Jej wiersze przekładano na języki bułgarski, angielski, macedoński, słoweński, niemiecki, rusiński, albański, rumuński, słowacki, litewski, białoruski i rosyjski. Laureatka około dwudziestu krajowych i międzynarodowych nagród. Publikuje na łamach polskich i bałkańskich czasopism oraz antologii. Rysuje, maluje, fotografuje, projektuje okładki.



fot. prywatne archiwum autorki



GOSIA KULIK

– pochodzi z II poł. lat 80., robi rzeczy obrazkowe. Rysunki, ilustracje, malarsKOŚĆ. Z tematów ludzkie dramaty i mniej lub bardziej zabawne sceny rodzajowe. Autorka powieści graficznych i książek ilustrowanych.



foto: Maciek Bielawski



Michał Czarnota

po bandzie

mogę Cię nazwać x¹ ludzikiem albo sztandarem armii
czerwonej redflagalert! grozimy festung breslau

mam trzydzieści lat oto mój wiersz o miłości:
chcę tylko siebie

ryby pily czaj na mount everest
zlizuję szron z kaloryfera

około poniżej piątego stopnia
celsjusza oceny schodowego

mieszkam w narviku chcę już wiosnę

mam we włosach afganistan
ściąłem je w klasie wywołały
wstrząs anafilaktyczny waląc
o płytki basen medyczny

ala ma kota
tata ma raka

chciałem być poetą

a piszę wiersz dla
zahir kebab włodkowica 33
dziś 50% taniej dla osób słamujących

chciałem być poetą
aniolki chmurki kwiatki
a piszę wiersz o kebabie

wolczery u prowadzącej

1 Wybierz kolor. Wstaw przymiotnik.

korek już dawno wystrzelił teraz toczy
się piana z gwintu z pyska nazywana
pastą do zębów dla słonia

wyrzuciłem monitor za okno i nie wyrzuciłem
go wcale ale słoń robi helikopter trąbą w ogniu

mam dwie rączki dwie nóżki
i nie mam czym już klikać
no chyba że penosem

u nas trawa jest bardziej zielona
zielona zielona góra
ugryzłem zębem ząb

fantomowy ból jedynek
po zjeździe butów na trawie
czerwonej czerwonej

rozlałam mleczny krem
ludzie myślą że to galaktyka

gdyby nie księżyc nie byłoby fal
kruszy brwi podsiadło

po błyskach parzył zimy popiół
szary asfalt
ciekawe jak czuje się deptany
pet gaszony w błocie
elektrownia atomowa udaje że nie pali liści
a ja milego

MICHAŁ CZARNOTA

– urodzony 199x r. w Zielonej Górze.

nr 1/2024 (12)



fot. prywatne archiwum autora

Tristan Korecki

Witebsk

wyżej w ruchliwych drutach trolejbusowych wywczas na Krymie zachwała transparent
 ponad głowami między latarniami głowa Jezusa na tle niebieskim tak to On wielokrotnie
 emblematem jest więc miasta
 między latarniami indziej i na żeliwnościach mostu gwiazda czerwona radziecka
 prześwitują powidoki olgierdowe puentą spizowy posąg konny boć lituańskiej to domeny rozlew
 na drzwiach dworca z jednej |wejście| po białorusku z drugiej |wyjście| po rosyjsku w środku duże
 napisy mandaryńskie bo tu wymiana studenteria handel landszafty technologie chińska mamona tu się miele
 cerkiew jak w Białymstoku ś. Mikołaja Cudotwórcy tylko bryła segmentu kopułowego inaczej ociosana
 i te wieżycy wjazdowe wzgórze cerkiewne spotężniale złoto blichtry w oddali z nią w dialogu płaskowyznie górujące
 dziura w asfalcie przy krawężniku lej dramatyczny jakże niepotrzebna zaraz wiata z cyfr drewniana
 połać hektarów zabetonowana monumentem ku czci gierojów ojczyźnianej wojny ogień
 lej przepotężny kostropaty ku niebu a w bliskiej oddali neon czerwony „podwíg – czyn wielki chwalebny
 – sowietskogo naroda biessmiertien” tu dominujący dalej rzeka ciemna choć rozległa
 ale jeszcze karuzela kapsułkowa sunie sennie odsłania rozleglejszą połać ciemną z kistkami światełek
 w otoku rzeźbień nieczynnych o tej porze stanowisk z kwasem chlebowym koszów na śmieci fikuśnych z muszką
 żółto-czarnych z uchylonym melonikiem a opodal ulica tablica w boju padlszego opodal dowódcy
 spod czerwonej gwiazdy wszak przeciw wrogowi z dogmatu przyszło się masie rzuconej zmagać
 za sznurki pociągają potężni szermierze ich ostrza masę mięsną sieką
 pogłos sieczeń niewygasły echo ech tuman nie opadł tu walka napowietrzna naziemna toczy tok
 no pewnie że może być wojna i tu, tumult trwa, nader blisko, dziwnie, w powietrzu kłęby wiszą
 powiada rysownik znamienity i figura tu od sztukowo-muzealnych wątków w którego figurach
 szaroczarnobiałych duch Chagallowy odesko-witebski nieodparty, kto wie może ratować się przyjdzie
 migrować niby przezroczo jeszcze wśród tych zbitych w wielkie masy stad krów mijanych po drodze do miasta
 Chagall i Zadkine para oblicz płaska na tablicy kamienicy a kamienic białostocznych tu zgromadzenie
 domek narodzenia Mojsieja Szagała bruk latarenki cegła czerwona okolica jak białostockiego rynku trochę
 tego z lat siedemdziesiątych kartofelka dwa złote twarogi ze stągwi ich wody odcisnione bańki świniaki kuraki
 bo stok biały i ruś biała w splotach tajemnych ożywczych niczym naddziśnieńska powietrzna bryza
 tu jak i tam żydowska dzielnica czerwonej cegły więcej jeszcze parterowych domków a i szczególniejszych
 modernistycznych kamieniczek bóznica dźwiga się z ruiny ale jest opodal nowa to różnica z Białymstokiem
 sklep czekoladniczy firmowy chcę stąd naręcze brak mi dwóch kopiejek no ja za pana nie dodam ta zza lady
 lecz od razu starsza pani się ofiaruje usłużyć drobnitką pomocą bo Witebsk jest sowiecki i jezusowy
 i sporo nadto bo mur ten i ów pokryty Malewiczem suprematystycznymi albo konstruktywistycznymi wątkami
 pokrywy włazów do kanałów upstrzone motywami barwnymi na deptaku jadłowe delicje pierozkowe farszowe
 popiersia rzeźby tablice artystów różnorakich muzea a w tym jednym gdzie Chagall artystyczne nauki pobierał
 historia miasta zakątków w obrazach żywych dni rewolucyjne tumult ludzkich spraw wykręceń dążeń ocaleń mimikr
 adaptacyj najbogatszemu zabrano zaraz kamienicę w której wraz uczelnia wybitności hołubiąca Chagall więc El
 Lissitzky piękna Ksenia Bogusławska innych tyłu czerwonym klinem bij w białych tam lejtmotyw teraz podłoga wielka

błyszcząca z permutacjami prawem osobliwego kontrastu i nawiązania Lenin srebrny przed filharmonią jak gdyby w bok przemykał narzucający się o tyle o ile
 pani sprzątająca w wynajętym nam na jedną noc mieszkaniu po kilku słowach (mąż nie może znaleźć pracy ona więc musi czy problemy są aż takie z pracą zatem) ja znienawidziłam swojego męża! pijaka! lachudrę! od lat jesteśmy sobie dalecy mam dość harowania na tę lajzę przekłętą przyjaciółki chociaż miałam dwie ostała się jedna ta druga mówi wojna jest i ma być bić trzeba wrażą nację a ja jestem tak przerażona tą wojną niepotrzebną straszną ludzie niewinni giną Boże co to będzie
 acz nawiedziny zwieńczyć przychodzi rytuałem nabożnym zielnym świątynne wrota gościnne w czasie sakralnym tymczasem spowolnionym wniebowziętym

ΙΣ ΧΣ C C

Spas ----- Spas
 boś Ty Panem dziejów okazywań-się zjawisk
 choć wymykają Ci się one bywa z rąk
 zanadto zaufałeś czleczej wolnej woli a i rozsądkowi
 dar to żywiołowy a nieokiełznany

TRISTAN KORECKI

– (1970) poeta, eseista, tłumacz. W 2023 roku wydał „sylwiczny” zbiór swoich przekładów poetyckich (od poetów łacińskich okresu augustowskiego po poezję amerykańską XX i XXI w.) i scenicznych, pt. *Liber translatorium albo sumariusz poezyjno-historyjalny* (wyd. Dobrota, Konin), zbierający przekłady powstałe w różnych okolicznościach na przestrzeni trzydziestu kilku lat, od debiutu po dziś dzień. Wieloletni współpracownik Instytutu Historii PAN, Instytutu Historii Nauki PAN, Instytutu Badań Literackich PAN, Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, Filharmonii Narodowej i wielu innych instytucji.

Publikował w kwartalniku humanistycznym „Ogród”, „Zeszytach Literackich”, „Dzienniku Portowym”, „Metaforze”, „Opcjach”, „Tekstualiach”, najliczniej zaś w wielkopolskim piśmie literacko-artystycznym „Bezkrę” (poezje, eseje, małe prozy, przekłady). Współautor licznych antologii i almanachów literackich firmowanych przez konińskie wydawnictwo Dobrota.

Jest współautorem (wraz z A. Pańtą i M. Danilewicz-Zielińską) książki *Nowe Jeruzalem i jego niebiańska nauka* (Bydgoszcz 1995).

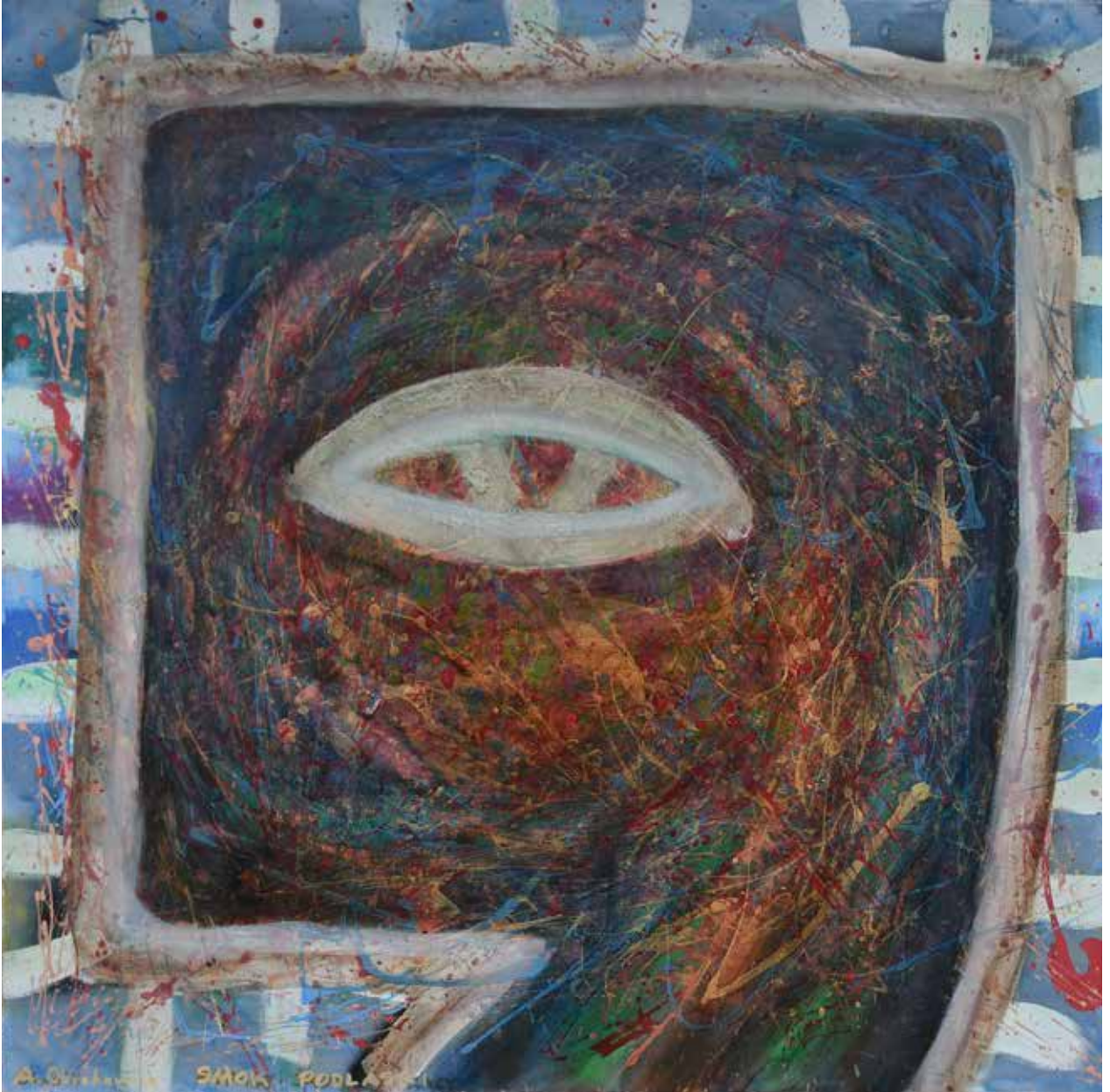
Przełożył na język angielski liczne książki, artykuły i eseje o charakterze akademickim, z różnych dziedzin humanistyki (historiografia, historia idei, literaturoznawstwo, socjologia, muzykologia i in.) – z trylogią *Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918* pod red. J. Jedlickiego na czele (wyd. Peter Lang). Obecnie pracuje m.in. nad polskim przekładem książki starożytnika Toma Hollanda pt. *Dominion. The Making of the Western Mind* (dla Państwowego Instytutu Wydawniczego).



Adam Obuchowicz

Smoki









ADAM OBUCHOWICZ

– rocznik 1971, absolwent LSP w Supraślu i ASP w Łodzi. Mieszkaniec Białegostoku, Podlasia i przeróżnych miejsc na Świecie.

Alhelí Málaga

4 wiersze

co się objawia

pod powiekami nieznane wcześniej widzenia obrazy

w snach rzeka

świat w którym można zlizywać krople potu z cudzej łydki
starać się być czymś więcej niż słowem słabym bledziutkim
szukać kształtu szukać formy
nadawać sobie formę

najntisy

największymi plusami dorastania w najntisach
były just 5 oraz widmo końca czasów
niestety aktualizacje projekcji oddalają ten dzień coraz bardziej

jak tu tkąć bez wędki zarzuconej w przyszłość
bez przetworów drewna na opał

siedzę na plantach czatuję na jeże
nie mogę czy nie chcę
uciekać z krakowa
przynajmniej mam tu miejsce
(chyba) na cmentarzu batowickim



Liliia Lebedieva/ ZDZ w Białymstoku

o końcówkach gałązek

w marcu wieczorem kiedy jest ciemno ale jeszcze nie całkiem
bycie granicą bycie punktem styku w ścieżce zakupowej
ptaków
na granicy powietrza między pustką a bytem
stawaniem się wciąganiem w siebie nadawaniem wagi formy
kształt olchy kształt topoli

igły jeże grzyby jak w ukropie koło ciężarówek i samochodów
(z wiosny też się wyrasta)

ludzkie dzieci będą piszczeć z zachwytu będą cykać fotki

wiersz napisany koło cmentarza żydowskiego w cieszyńie

1. pierwsze podejście

ulica bucewiczka
 a potem halżaska
 na pasach skręcić w lewo
 droga jest przyjemna
 jasne bloki w oddali
 ciemne chmury nad miastem
 równo przycięty żywopłot
 miejsce pamięci narodowej
 zakaz wyprowadzania psów
 czy na cmentarzu można palić
 czy na cmentarzu wypada
 pisać wiersze radosne
 bo bije takie światło z bluszczu
 z przycupniętych macew
 ktoś tu leży ktoś
 dłuwał w nosie
 chodził na skróty
 odważnie małostkowo
 czasami na lenia
 jasne bloki w oddali
 ciemne chmury nad miastem
 byłaś tu przechodniem
 byłaś tu przypadkiem
 w oddali rzeka pociąg
 mieszczuch nie rozpozna
 poszczególnych ptaków
 coś świergocze ćwierka
 buczenie syren
 porzucony domek ślimaka
 kielkujące chwasty

2. rzut wędką

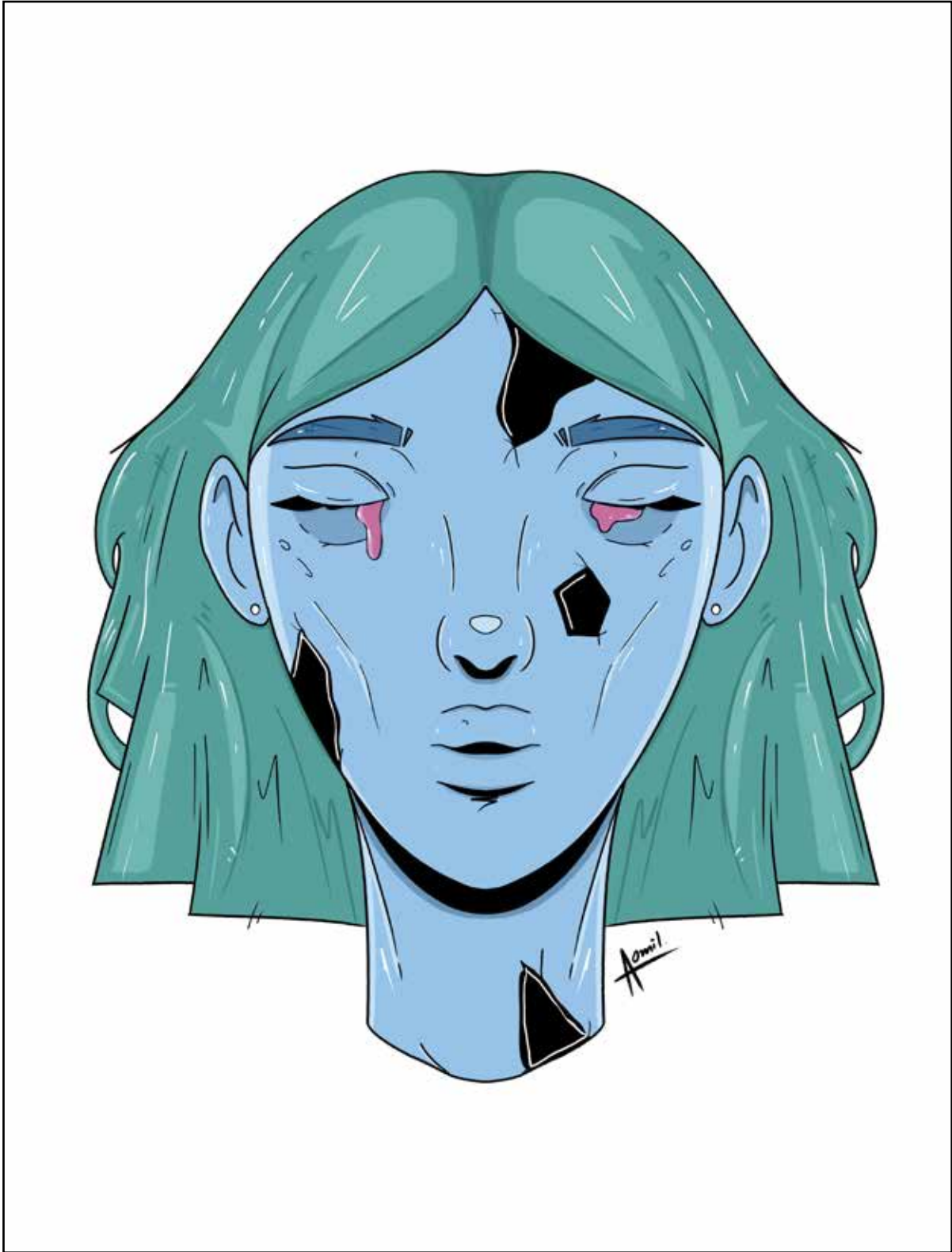
jest tu pięknie ale to nic nie znaczy
 późny lipiec padało więc musi być bujna zieleń
 (wpatrywanie się patrzenie w skalistość
 pokruszonych nagrobków)
 czy przeżycie jest wartością samą w sobie
 przeprowadzanie przez most
 pary nastoletnich chłopców
 pokrzywa przebija się przez tkaninę spodni
 piecze bardzo piecze więc rośnie lza w oku
 nie płacz nie jesteś dzieckiem
 (kamienne serce kamienne spojrzenie)
 (bycie suchym patrzeniem
 w płyty kamiennych nagrobków)

ALHELÍ MÁLAGA

– absolwentka filozofii i socjologii, interesuje się religioznawstwem. Współtworzy peruwiański kolektyw poetycki Paradero Desierto. Jej teksty poetyckie były publikowane w „Helikopterze”, „Kametsie”, „Tlenie Literackim” oraz na łamach „Tinta Digital”, a jej tłumaczenia z polskiego na hiszpański w czasopiśmie „Lucerna” oraz na stronie „Vallejo & Company”. W 2022 ukazała się jej pierwsza książka poetycka *Érase un espejo*. Jest laureatką XXXV edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Władysława Broniewskiego (III nagroda). Mieszka w Krakowie.



foto: prywatne archiwum autorki



Aleksander Omilianuk-Orzechowski / ZDZ w Białymstoku

Marcin Liszkiewicz

3 wiersze

Wakacje

Transcendencja wypełniła świątynie w Jerozolimie
wszystkie denominacje padły na kolana
po raz pierwszy w życiu.

Proroctwo głosi: prorocy wymarli.
W arabskiej części starego miasta
bryza owiewa kamienne schody
żona targuje się o szal
język szaleje.

To nie tak miało być.

Humus na śniadanie
hello that's fine!
wizja ortodoksji
jak miękki rybi brzuch
jak symbol boga na chorwackim murze
jak nozdrza starego rabina
a pustynia wciąga i wypuszcza powietrze.

Żona kupiła balsam i szal
siedzę
naprzeciw stwarza się coś co kiedyś czułem
teraz nazywam.

Żydowskie dziewczyny gdzieś biegą
dotykam cię światłem pustyni
przewietrzone i wypoczęte poranki i noce
i kawa oleista kawa.

Plaża w Collieston

Wody zalały piaskową krtani
oddechem głębokiego spokoju
dwie głębie: cyjanowe indygo
huśtają psy
wierne zwrotnikowym ludziom.

W hołdzie: Gustave Dore „Akrobaci”

O dziecko zachwiała się Twoja noga
marzeniem o otwartym świecie
zastygłeś przed upadkiem
i byłeś wolny w kilkuletnim ciele
zaledwie na sekundę, w której zebrałeś
uwalniającą beztroskość i psoty.

Dziecino prawdziwie żyłeś jedną chwilę
wyrwany z balansującej służby
cyrkowego więzienia cudów i magii
gdzie dusza zaprzędana martwocie rekwizytów
serca przyduszone cieniem śmierci
upiorna: sowa, trąbka i kłown
dukat zagłuszył upadek.

Bezzębni śmieją się
Bezcenne *Schadenfreude*.

A ty matko płacz i rozrzucaj karty
na wiatr, na ziemię, na ogień
na rozpacz ożywczą i pierwszą wolność
okupioną łzami po fakcie straty.
A ty ojczyste pozostań w przebraniu
na wieki.

MARCIN LISZKIEWICZ

– szczęśliwy mąż i ojciec. Pasjonat kolarstwa i sauny. Pojedyncze wiersze wydawane są w Polsce. W przeszłości również za granicą. Zafascynowany przemianą ludzkich serc. Protestant. Ulubione poezje obecnie: poezje nowohebrajskie. Ulubiona proza obecnie: Erich Maria Remarque, Thomas Mann, Jaime Cabre. Ulubiony zapach obecnie: mirra. Ulubiona kuchnia obecnie: indyjska. Ulubiona muzyka obecnie: Piotr Damasiewicz.



Karolina Krasny

4 wiersze

mówimy o chorobie i francesinhie

paralotnie całują nas w czoła
 schodzimy na dziką plażę tam gdzie
 były usta jest pusto obrośnięte twardą trawą

São Martinho

wydłub w skale otwór z widokiem na ocean
 każdy kto przyjdzie po tobie będzie
 widział to co ty, gdy kończyło się Nazaré
 kruszył góry własnym ciałem
 znalazł mowę żółci
 rosnącej na pianie
 jak drzewo lub kwiat

kiedy czytam szklany klosz ktoś przestaje się bać

opisać śmierć
 wygrać
 zabić się
 wylecieć przez nos i
 stać się suchą pianą
 wierzącą
 że po fali nie ma życia
 zatańczyć jak bobas
 który nie wie że jest

wbić w stopę gwiazdę
 białą od braw



Magdalena Cylwik / ZDZ w Białymstoku

wyplułam ciepło bo nie ma już miejsca
 bo srebro i lasy są większe niż ja
 bo jestem prawdziwsza od tego co moje
 bo nawlec mnie na nic jest prostsze niż noc
 cięższe niż strach
 bo miłość się nie zna i wiersz siebie nie zna
 gdy nie mam nic w ręce i szukam w niej wyjścia
 gdy piszę nią „wyjście” a pisk rośnie z piasku
 jak jaśmin pod miastem
 czy ogień od mchu

KAROLINA KRASNY

– (1999) mieszka raczej w Krakowie, pisze i projektuje. Redaktorka „Stonera Polskiego”, współwłaścicielka psa Rufusa, autorka modeli 3D przestrzeni sennych. Laureatka „Polowu Prozatorskiego” organizowanego przez Biuro Literackie. Współpracuje z magazynami literackimi i miesięcznikiem „Architektura Murator”. W grudniu 2023 zdała egzamin na prawo jazdy.



foto: prywatne archiwum autorki

Dawid Bujno, Piotr Janicki

Łepicka, Kapusta, Szymczyk i inni

Piotr Janicki: Za jurorami Nagrody Kazaneckiego pięć lat z ogólnopolskimi debiutami poetyckimi. Gdzieindziej mówi się wtedy o drewnianych godach, więc przypomnijmy zwycięskie drzewa: Nina Manel, Joanna Bociąg, śp. Marta Stachnialek, Anouk Herman i Joanna Łepicka. Co jest nie tak z facetami? Czego(ś) zabrakło Mateuszowi Szymczykowi w tym roku?

Dawid Bujno: Wydaje mi się, że kobiece pisanie w swoich najwybitniejszych momentach stało się dziś dużo bardziej brawurowe i ryzykowne niż męskie. Mam wrażenie, jakby dziewczyny same sobie zawieszały poprzeczkę nieco wyżej i jeszcze przeskakiwały ją w widowiskowym stylu, podczas gdy chłopaki zazwyczaj robią to po prostu pewnie. Ale pozycja facetów w polu poetyckim jest właśnie pewna i takie są tworzone przez nich wiersze. I dzieje się tak nawet wtedy, kiedy to paradoksalnie niepewność jest ich tematem, jak w poemacie *Potrzebne źródła* Mateusza Szymczyka. Mamy tu mocny podmiot, który opowiada o swojej rzeczywistości, o ludziach, rzeczach, miejscach – i nieustannie próbuje wszystko to zakwestionować. Robi to dwoma powtarzającymi się gestami: refrenicznym zwrotem „A potem to wszystko się miesza” oraz zabiegiem z pustymi przypisami, który polega na stawianiu w kulminacyjnych momentach odsyłacza w postaci gwiazdki z dopiskiem „(potrzebne źródła)”. Pewny – z lekturowego punktu widzenia – jest również przebieg całości, od tematu do tematu, od haiku do dłuższych form, co jest oczywiście imponujące. A jednocześnie pojawiają się tu rozwiązania artystyczne, które dla takiej Łepickiej czy Kapusty byłyby chyba za łatwe, zbyt oczywiste, jak linijka: „Na początku było słowo* (potrzebne źródła), potem strona, a potem rozdział”.

A były jeszcze książki Patricka Leftwicha i Szymona Kowalskiego, o których też myśleliśmy w kategoriach finału. Ich gesty z kolei były rzeczywiście brawurowe i ryzykowne, ale jakby puszczane z dezynwolturą, na jaką – jak sądzę – poetki nie mogłyby sobie pozwolić. One by to docisnęły, dopracowały. Kowalski w *Konopeum* zaproponował niezwykle oryginalny mechanizm poetycki, którego chyba nie wprawił jeszcze w pełne obroty. Jak gdyby – wracając do skoków wzwyż – z samego tylko zawieszenia poprzeczki

ponad miarę autor zrobił performance. Tę książkę przeczytałem zdecydowanie najwięcej razy ze wszystkich, ponieważ wierzyłem, że kryją się w niej jakieś tajemnice, ale ostatecznie nie potrafiłem się do nich dokopać. A Leftwich w *0°dll* napisał piękne, długie zdania o końcach świata, które rozbijał eksperymentalnymi zabiegami typograficznymi, jakie, owszem, robiły klimat, ale poza tym nie niosły chyba żadnych sensów. Mnie to aż tak nie przeszkadzało, podczas drugiej lektury po prostu je ignorowałem, zresztą nie tylko ja chciałem ten tomik nominować, ale wobec zdecydowanego weta jednego z jurorów trudno było go bronić. Zresztą recepcja tego tomiku, że jest to tekst trudny, hermetyczny, wydaje mi się cokolwiek niesłuszna.

PJ: A czy nie jest też tak, że – patrząc z wysoka i bez wglądu w pojedyncze, brzegowe przypadki – dziewczynskie wiersze mocują się z realnymi problemami, natomiast faceci nie przejmują się zbytnio, żeby nie powiedzieć, że mają wywalone?

DB: Nie, nie uważam tak. Pytanie, oczywiście, czym są „realne problemy”. Czy mówimy o kwestiach społecznych, ekonomicznych, ideowych, tożsamościowych, egzystencjalnych? Właśnie skończyłem komiks Simona Hanselmanna pt. *Crisis Zone*, który z grubsza mówi o tym, że w momencie, w którym sypie się świat, nasze spory o idee są jednak mniej ważne niż po prostu przetrwanie. Myślę, że powyższe tematy – łącznie z codziennością czy na przykład tak specyficzną dyscypliną jak pisanie o pisaniu – rozkładają się na wszystkie płacie, za wyjątkiem problematyki ściśle feministycznej. Jeśli to miałeś na myśli, to zgoda.

A jeśli pytasz, czy nasza kapituła kieruje się tematem danej książki w swoich wyborach, to powiem ci, że nie. Wiem, bo podczas obrad o tym rozmawialiśmy. Media mnie później pytały, czy nagrodziliśmy w tej drugiej, regionalnej kategorii Mikołaja Grynberga za temat. No nie, nagrodziliśmy go za to, że potrafił stworzyć książkę, która przejeżdża po czytelniku jak walec. A czytaliśmy przecież inne pozycje dotyczące kryzysu na granicy, które jednak w ogóle nie działały.

Osobiście jestem zdeklarowanym estetą. Byłem początkowo podekscytowany, kiedy w tym roku, po raz pierwszy w historii kategorii debiutów, trafił do nas tomik zaangażowany politycznie, ale z prawej strony – również wyraźnie nacechowany gniewem, tak mocno obecnym w lewicowej poezji. Niestety, artystycznie okazał się bardzo, bardzo nie-dobry. I dlatego nie braliśmy go pod uwagę.

Rzecz jasna, wysoka jakość kobiecego pisania jest ściśle związana z polityką i sytuacją społeczną. My, chłopaki, dawno temu zagarnęliśmy tę i niemal każdą inną twórczą przestrzeń wyłącznie dla siebie. To musiało się tak skończyć, głos dziewczyn musiał kiedyś wybrzmieć z taką siłą.

PJ: Skoro wspomniałeś o nominacjach do nagrody podstawowej, wspomnij też może słowem o innych nominowanych do podlaskiej kategorii autorach. Przynajmniej o współwycieczyni (wraz z Grynbergiem), Justynie Kulikowskiej? Wyraźnie leży Wam ta poezja, co?

DB: Leży nam Justyna Kulikowska. To wybitna poetka, jedna z najlepszych w kraju. Jej *Obóz zabaw* był w tym roku bez wątpienia najbardziej spełnioną artystycznie książką. O ile bowiem Mikołaj Grynberg zdecydował się właściwie na brak formy, co w wypadku jego materiału wydaje się najlepszą z możliwych opcji (jest to, przypominam, po prostu zapis rozmów), o tyle Kulikowska wyśrubowała jeszcze bardziej swój idiomatyczny, znany z poprzednich tomów, styl. Ona w ogóle podnosi stawkę swojego pisania. Jej poezja wciąż opowiada o gniewie, przemocy, traumie, ale tym razem nie są to tylko wiersze-akty oskarżenia (przywołując porównanie z *giftu. z Podlasia*). Kulikowska w *Obozie zabaw* mierzy się – za przeproszeniem – z istotą rzeczy. Pierwszy, otwierający książkę obrazek właściwie ustawia całą lekturę – prześwieśla się tu kościec tej poezji, jej fundamentalne pojęcia: bliskość, szacunek, przymus, godność, prawda, konieczność, żal. I w tym sensie autorka stworzyła iście modernistyczny poemat nie tylko dlatego, że podpiera frazę „mocnymi, topornymi nazwiskami”, jak Pound czy Williams. To, jak mówi (jednocześnie wysoko i nisko), ściśle związane jest z tym, co mówi (w tym wypadku mamy poetkę, która rzeczywiście mocuje się z poważnymi rzeczami). Zresztą o tym, w jaki sposób estetyka łączy się u Kulikowskiej z etyką, ładnie pisze Jakub Skurtys w „Notatniku Literackim”.

PJ: Prawie powiedziałeś, że polityka, kwestie społeczne naznaczają książki kobiece. Jak to wygląda u Kapusty i Łępickiej?

DB: Powiedziałem raczej, że tematy nie mają płci – poza samą płcią. Ale rozważania o sytuacji kobiet, o tożsamości płciowej (patrz: nagrodzony w zeszłym roku debiut Anouka Hermana) rzeczywiście mniej lub bardziej ocierają się o zagadnienia polityczne, przynajmniej w naszym kraju. Chcąc jednak mówić o Kapuście i Łępickiej, wolalbym wrócić do myśli, od której zaczęliśmy tę rozmowę. Do ryzyka i brawury. A jak duże ryzyko podjęła Karolina Kapusta, pisząc *fuzję bordo*, podkreślała podczas obrad parokrotnie moja koleżanka z kapituły, Marta Koronkiewicz. Bo jeśli decydujesz się na debiut, który od razu wpisujesz w ograny do bólu dyskurs malady, to trudno jest się nie przewrócić. Ciężko w ogóle stworzyć dziś sensowną książkę o chorobie. A jednak Kapuście się udało. Nie dlatego, że autorka wiedziała, co nowego można w tej materii powiedzieć, ale miała pomysł – znowu – jak to zrobić. A polegał on przede wszystkim na mocnym umuzyczeniu tych wierszy, które przejawia się chyba najbardziej w instrumentacji głoskowej, w aliteracjach, paronomazjach itd. Wystarczy przytoczyć przypadkowe linijki: „ścierali ślady ze ścian”, albo: „w pąsach płąsy pąs”, czy „plótno na pół tną”. To jest pisane krótkimi frazami, co nadaje tym wierszom charakterystyczny, pulsujący rytm. Niektóre wersy chce się aż zaśpiewać: „klucie wklucie tłuszcze nerwy i wę-zeł-ki pleść”. Pamiętam, że gdy zacząłem czytać tę książkę po raz pierwszy, po paru sekundach mimowolnie zacząłem robić to na głos, jakby nie było innego wyjścia. Mamy więc tomik o chorobie, a więc i o ciele – i jego lektura jest także cielesna, ponieważ zmusza ciało do wydobywania dźwięków, do wysiłku, do oddechu wedle narzuczonego przez pauzy wersyfikacyjne rytmu. Wydaje mi się też, że to był najdojrzalszy debiut w tym roku, a na pewno najbardziej dopracowany.

A jednak postawiliśmy na *Zeszyt ćwiczeń* Joanny Łępickiej, choć wybór był naprawdę niezwykle trudny. Głosowanie kapituły – które jest jawne, tzn. po długiej dyskusji po kolei wypowiadamy nasze decydujące typy – wyglądało trochę tak jak finałowe starcia w filmach. Do ostatniej chwili nie wiesz, kto zwycięży.

Nagrodziliśmy Łępicką właśnie za brawurę. Za to, że kilka wierszy z *Zeszytu ćwiczeń* było najlepszymi wierszami, jakie znajdowały się we wszystkich zgłoszonych debiutanckich książkach. Właśnie za te strzały – jak np.

wiersz otwierający, jak „rozwinęta forma ognia”, „otwieranie koła”, „Oda do niebieskiego”, „chodzi mi o zestaw do czasowników” i parę jeszcze. Albo „tekst wyjściowy”, który jest radosnym, wręcz hedonistycznym wierszem o wyjściu na miasto, który ma też coś z litanii (ale nikt nikogo tu o nic nie prosi): „rozpasanie nóg jest święte, / kliry są święte, / pijalnie wódki są święte” itd. I na końcu pojawia się takie zdanie, które robi z tej niezobowiązującej, energetycznej wylizanki coś niesamowitego, wręcz transgresyjnego: „W cieniu czeka cię ciemna gałąź światła, / druga strona ust”. Sztubacki exodus staje się prawdziwą, głęboką liryką.

Dzieje się to wyłącznie w języku, ale o to w tej książce chodzi. Wszystkie kawalki z *Zeszytu ćwiczeń* (nie chcę już powtarzać, jak dobrze tytuł oddaje charakter tomu) nie składają się w żaden koncept, to po prostu płyta z hiciorami. Pamiętam spotkanie autorskie z dziewczynami, którą prowadziłeś dzień przed galą Kazaneckiego. Ktoś rzucił na nim, że podobnie jak Kapusta napisała książkę o chorobie, tak Łepicka stematyzowała napisanie debiutu. Dlatego przećwiczyła w nim użyteczne formy – sonet, pantum, sestynę, vilanelę – ale niemal za każdym razem dokonała jakiegoś językowego przekroczenia. Tak rozumiem słowo *brawura*.

PJ: Chyba coś usłyszałem w twoich rozważaniach o autonomii wierszy Kulikowskiej, Kowalskiego. Czy zauważyłeś w niewyróżnionych debiutach próby budowania nowego językowego uniwersum?

DB: Raczej nie. Zastanowiłbym się może jeszcze nad *rare* Joanny Wróbel, bo poetka buduje tam własne uniwersum, choć jest ono mocno oparte na tradycjach awangardowych, modernistycznych czy lingwistycznych. Albo nad Olgą Rembielińską, która pokazuje w *Klaście* jakiś nowy świat w polskiej poezji, tzn. kulturę rave. I nagle teraz – rok po premierze książki – okazuje się, jak modny i dyskutowany jest to temat. W maju głośno zrobiło się o filmie dokumentalnym Dawida Nickela i Łukasza Rondudy pt. *Rave*. A np. w białostockiej Galerii Arsenal można oglądać – i słuchać! – wystawę Ivana Svitlychnyia *Maybe We Can Have Fun Together*, na której na czynniki pierwsze zostaje rozłożona impreza rave. Na ścianach jednej z sal widnieją fragmenty tekstów, które oświetlają to zjawisko z bardzo różnych stron. Słyszysz dudniącą obok muzykę i widzisz na przykład hasło Oleha Pokalchuka: „Survivors of the Big Bang”. Być może powinienem wrócić do debiutu Rembielińskiej i przeczytać go ponownie właśnie w tym kontekście.



Kinga Waszczeniuk / ZDZ w Białymstoku

PJ: A o co nie zapytałem, nie zapytano cię i byś do końca życia żałował, bo jest, a może pozostanie na zawsze ważne? I czy lubisz wiersze o miłości i jej niepodobnych, przy których opadają ręce psychiatry?

DB: Pytasz mnie, czy lubię wiersze zdrowe, szczęśliwe? Kiedy moja żona trafiła do szpitala na dłuższą chwilę, przywoziłem jej do czytania – właśnie z miłości – powieści szczególne, istotne dla mnie. Później mi powiedziała, że wszystkie były bardzo smutne, depresyjne, odzierające z jakichkolwiek złudzeń (*śmiech*). Ale przecież Andrzej Sosnowski – który, patrząc z góry i bez wglądu w pojedyncze książki, był i jest najważniejszym poetą mojego życia – dużo pisze o miłości, choć, jak wiadomo, jest to miłość „ciemna” i „dzikiego gatunku”.

Jeśli zaś chodzi o nieporuszone kwestie związane z nagrodą, to myślałem ostatnio o tym, co powiedzieli Zuzanna Sala oraz Jakub Skurtyś na wrocławskim Festiwalu

Silesius. Że każda kapituła nagrody literackiej powinna mieć program, strategię estetyczną, o której publiczność wie, jest to jej zakomunikowane. I że eklektyzm w składach jurorskich jest niedobry, ponieważ prowadzi do zgniłych kompromisów. Rozmyślałem więc, jak to się odnosi do Nagrody Kazaneckiego. My jako kapituła nie mamy wspólnego programu ani żadnej strategii (nie nagrodziliśmy Justyny Kulikowskiej na fali zwrotu ludowego czy mody na narracje emancypacyjne), decyzje są oparte na naszych gustach, dość różnych, to prawda, ale pod tym względem coraz lepiej się rozumiemy, jakoś chyba się docieramy, chociaż wciąż będziemy się kłócić o takiego Leftwicha czy Konwerską. Później ktoś wygrywa, ktoś przegrywa, ale od kilku lat są to faworyci jednych członków kapituły albo drugich, żadne kompromisy.

PJ: Andrzej Sosnowski napisał „Hel 1”. Tekst znajdziesz tu <3

DAWID BUJNO

– kieruje Działem Sztuki Współczesnej w Galerii im. Sleńdzińskich, gdzie prowadzi również cykl spotkań „Uwaga! Literatura”, gra na gitarze w zespole Manimal Dissonance; w tym roku przewodził Kapitulę Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego.

Aleksandra Krysińska

Diagnoza

– To jest takie uczucie, jakby... – duka. Nie powie wprost, musi szukać metafor, jak to ona. Nie przyzna się, będzie obchodzić to słowo, żeby nie wyjść na słabą i zasłużyć na prawo do używania konkretnych wyrażeń. „Paluszek i główka, próbujesz zwrócić na siebie uwagę. A to już sprawa, że na tę uwagę nie zasługujesz”. Tego się boi i dlatego bawi się w to całe „jakby”.

– Jakbym miała w brzuchu tafelę szkła, która pęknie i roztnie mi wnętrzności, jeśli choćby głębiej odetchnę. Jakbym przez przypadek wbiła sobie w biodro gwóźdź i przy niektórych ruchach przypominał mi on o mojej niezdarności. Jakby rozpuszczały mi się mięśnie, skapywały gęstą cieczą w przestrzenie między kośćmi i ścięgnami, rozpychały coraz mocniej worek skóry, obciążały kończyny, aż nie mogę wstać.

W końcu on ją spytał:

– A w skali od zera do dziesięciu, jak ocenilaby pani ten ból?

Ona wzdyga się na to słowo, wyskakuje znowu z jakąś „jakby” metaforą.

– Ja to muszę mieć w skali VAS.

Ona znów się dziwi, że nas musi mieć w skali. Skąd wiedział, że nie jesteśmy jednością? Czy to naprawdę tak od razu widać? Chyba że to jedno z tych stwierdzeń na zasadzie „wy, kobiety”.

– Tak się nazywa ta skala. Od zera do dziesięciu.

Jest cierpliwy, nie śmieje się z nas, a przynajmniej nie na zewnątrz. Ona dalej nie umie odpowiedzieć. Trochę mi za nią wstyd. Próbuje z kolejną metaforą, mówi coś o wyciu i błaganiu mamy o wycięcie jej macicy.

– Czyli dziesięć.

– Nie, to zdecydowanie za dużo.

Nie wyszło, już uznał ją za słabą. A tak sprawnie unikała zakazanych słów.

– Dobrze, wpisuję dziewięć.

– Może jednak siedem.

On unosi brwi, ale nic nie mówi. Wstukuje coś na klawiaturze. Ona ma nadzieję, że dalej będzie ją traktował poważnie. Że uzna ją za silną, ale jednocześnie potwierdzi podejrzenie o nieprawidłowości. Żeby sama mogła odrzucić myśl o tym, jak słaba jest.

Pora na badanie. Trzęsę się, przyznaję. Nie przywykłam do takich sytuacji. Od lat konsekwentnie ukrywam się pod tkaninami odpowiedniego kroju i koloru. Musi być szeroko i ciemno, tak żeby nikt nie był pewien, jak naprawdę wyglądam. Nie jestem oswojone z nadmierną uwagą i chyba to mnie tak stresuje. Źle mi z tym, że teraz ona wydaje się zachowywać większy spokój. Dystansuje się ode mnie. Patrzy na ekran z nadzieniem makowca i udaje, że coś tam widzi, a to, co widzi, to na pewno nie my.

– Czy to panią boli?

Znowu to słowo. Jej nie boli. Boleć zaczyna dopiero po trzydziestce, pięćdziesiątce lub siedemdziesiątce, zależnie od tego, kogo spytasz. Ale wszyscy ci powiedzą, że między trzynastką a dwudziestką piątką to wcale nie jest ból.

Mówi, że nie. Naprawdę tak myśli. Więc on zwiększa nacisk głowicy ultrasonografu, czy jak tam się nazywa to białe dildo, i pyta, czy teraz. Ona patrzy mną w sufit, powtarza, że nie boli, choć mnie sztywniej już lekko palce, zaciskają się w pięść. On znowu.

– A teraz?

Ta uparcie przy swoim, a mnie już na poziomie łokci wykręca, połową pleców odklejam się od fotela, mam ochotę temu w koszuli przywalić.

– Teraz?

I naciska mocniej, a ona jak nie krzyknie. Teraz dopiero. Kiedy ja już w pół drogi do skoku, ona wtedy dopiero: BOLI-BOLI-PRZESTAŃ-STOP.

On przestaje, opadam na oparcie, ona próbuje zrozumieć, co się właśnie stało.

– Tak myślałem. Proszę się ubrać.

Ubieram się samo, ona jest myślami gdzie indziej. Chyba się obwinia, że tak wybuchła. Ja ją obwiniam, że zrobiła to tak późno. Ale moja opinia nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Od dawna próbowałam się z nią komunikować, dawać znać, że nie jesteśmy sami. Ona tylko odcinała się ode mnie coraz bardziej, patrzyła na pojedyncze fakty, nie łącząc ich w całość. Rejestrowała to, że wymiotuję, że błędnę, marną, że się trzęsę. I zamiast próbować wysnuć z tego wnioski, słuchała głosów o przesadzie i wymówkach. Zaczęła mnie

traktować jak wroga. Do teraz nie wiedziała, że jest nas troje i tak naprawdę to nie ja robię nam na złość.

– Ma na imię Dziesięć Na Pięć Milimetrów – mówi ten w niebieskiej koszuli.

Oglądamy zdjęcia, DNPM wygląda na nich tak, że w ogóle. Mimo to odehciewa mi się makowca, już chyba na zawsze. Ona się frustruje, że tyle lat żarła nospy, nimesile i ketonale, choć nie zawsze działały, ale żarła, bo tylko nadzieja, że pomogą, pozwalała jej przetrwać to uczucie. . . ten ból, który DNPM powodował. Tymczasem ten tutaj miał to za nic i rósł sobie we mnie dalej. Podobno zostanie z nami już na zawsze.

Pan w koszuli przepisał jakieś leki, dał jakieś rady, doceenił, że wykryte na wczesnym etapie. Mnie to nie przekonuje. Nie rozumiem, dlaczego dla ludzi rzeczy zaczynają istnieć, dopiero gdy zyskają nazwę.

Kiedy wychodzimy, ona dzwoni do mamy, mówi groźne słowo „endometrioza”. Mama płacze za wnusiami, których córka jej nigdy nie urodzi, choć nawet wcześniej tego nie planowała. Jeszcze komentarz, żeby nie brała leków, bo to nienaturalne tak chemią na mnie wpływać. Ona trochę się wkurza, ale i tak jest w całkiem dobrym humorze. W końcu wie, że to wszystko to nie przez jej słabość. Może szastać obcym słowem na prawo i lewo, wzbudzać współczucie, podziw dla trwania tak długo w cierpieniu.

A potem gaśnie.

Słowa „na wczesnym etapie” nie dają jej spokoju. To chyba znaczy, że można cierpieć bardziej. I że my, z naszym flu-bździu Dziesięć Na Pięć Milimetrów zajęliśmy miejsce w kolejce do diagnosty osobom ze zrostami, zwłókniałymi tkankami, a może nawet rakiem.

Staram się nie słuchać. Nie mówię już nic.

ALEKSANDRA KRYSIŃSKA

– osoba. Publikowała w „Szortach”, „Papierze w dole”, „Szpolu”, „Epei” i „ArtPapierze”. Ma psa na odległość, a pies ma grzyba na skórce. Na ten moment nie wiadomo, czy grzyb również jest z kimś związany.



fol. prywatne archiwum autorki

Jan Dulka

2 opowiadania

Pamiętnik znaleziony w Warszawie–Białolece

Kajfus, będący chrabąszczem tuż przed chrztem, przyniósł mu starannie pokrojonego, bolszo posypanego szczypio-rem śledzia, obok stawiając nieco czerstwy bunio, giętą y skorupniaki na twardo. Nykanor Bosy, cieszący się szacunkiem garucha z obnażoną y prawie całkowicie wydziarganą



Nasturcja Podolak

klata, na środku której dumnie nosił trzy sznyty urkowskie, napelnił charą kielonek, golnął, nalal znowu, wydrynił, nadział na wiosło trzy dzwonka śledzia... y wdrug ktoś zastukał do drzwi.

A właśnie ten usługny frajer wniósł gar, z którego buchała para. Wystarczyło raz tylko szwyrnąć lypem, by wiedzieć, że wewnątrz niego w gęstwynie płomienego periodu znajduje się to, co najsmaczniejsze na świecie – kość szpykowa. Przez pacynę przemknął mu obraz Kalsonera, którego dziewięć lat nazad zaciukał krowym gnatem w jego własnej chawyrze...

Bosy przelknął ślunę y zawarczał jak wołk, jadąc wiąchą po rajtach nieznanym gościom:

– A żeby ych lolą pokropyli! A żeby ym kosalkę przyżenyli! Nawet oszamać nie dadzą!... Nie wpuszczaj nykogo, nie ma mnie, nie ma... W sprawie kwadrata dla cweli powiedz, żeby przestały tu latać, w przyszłym wojtku będzie narada mącieli.

Frajer pobiegł do drzwi, a stary urk łyżką wazową wyłowił ją, kość, pękniętą wzdłuż, jak czaszka Korotkowa, który nie wiedzieć dlaczego, próbował wtedy bronyć Kalsonera. Przez ten jego głupy zryw Nykanor zamiast pestki dostał lokomotywę...

W tym momencie do celi weszło dwóch więźniów, a za nimi nie wiedzieć czemu śmiertelnie pobladły frajer. Pierwszy z nieproszonych gości był szwajcarem w powyciąganej szarej pierzynie, zmierzwionymy pleramy, powłóczący lewą szkytą y nonszalancko trzymający jedną rękę w dolynie, drugi – to solówkarz z zaczerwioną kufą y zwracający uwagę głównie trzymanym w pięści paragrafem. Bosy na wydok owych również zbiełał, a pykawa zaczęła walczyć mu jak oszalała, nyby na wydok jakiejś trwohudy. Wstał wdrug, tak niezręcznie, że aż tabor przewrócił się na plażę, która zatańczyła mu pod szkytami. Dziurszlaky zaszyły mu mgłą. „Przecież widzą cynkwais”, mózgowiał. „I jak omynęli moych lapyduchów?” Zrobiło mu się nagle użasno głupio, że stoi przed nimi w samych truskach y tuflach. „A może... może ktoś odkrył jego sekret, może wiedzą, że zaczął pucować”?! Opadły go mygawy

– trukać się czy rzucić po ukrytą w mandziurze kosę y broń do ostatniej kropli farby. . .

– Winowat najmocniej, bez sztempu Urku, jest wolna bardacha na tym pięterku? – zapytał solówkarz z nieśmiałą ułybką y wprawiającym w osłupienie konsansansem.

Coś stuknęło o nienakryty stół (to Nykanor Bosy upuścił wiosło na blat).

– No, jo – odbrechał rychcykiem kajfus. – Ino uważajcie, bo cwele szamają tam obiad.

Przybysze niezwłocznie udaly się na korytarz.

Korona w Soir Bleu

Estella brzdąkała cicho w przypadkowe klawisze wysłużonego pianina, którego dźwięki nie przeszkadzały im tylko dlatego, że obydwójce kompletnie nie mieli słuchu muzycznego. Och, oczywiście każde z nich miało swoje talenty, ale cóż z tego, jeśli jeden szczególny talent jej męża doprowadził ich do tej ponurej sytuacji, w której się znaleźli, w tym ponurym, choć rozświetlonym pokoju, w tej ponurej dzielnicy tego ponurego miasta.

– Edwardzie, jak długo jeszcze będziemy musieli tu. . . – zaczęła nieśmiało.

– Mieszkać? – dokończył mężczyzna.

– Naprawdę myślisz o tym jak o mieszkaniu?

– Życ. . .

– To nie jest życie, Edwardzie. To nie jest nasze życie, siedzimy tu jak jakieś nocne marki. . .

– Wiesz, że nie mamy wyjścia. . . – westchnął jej mąż, odruchowo łapiąc za leżącą na okrągłym blacie gazetę.

Mimochodem obejrzała się na połyskujące politurą drewniane drzwi.

– Na pewno nie tędy. . . – ostrzegł delikatnie.

– Nie wytrzymam dłużej, duszę się w tym ciasnym pokoiku, czuję się tu jak. . . jak w pułapce, rozumiesz?!

– A niby jak ja się czuję twoim zdaniem?!

– Nie waż się podnosić na mnie głosu, Edwardzie. Nie masz prawa, to. . . to wszystko twoja wina! – Wykrzyczałaby mu to w twarz, gdyby nie to, że dzielili ich szpały miejskiego dziennika, którymi zdążył się taktycznie zaslonić.

– Estelle, uspokój się, *darling*. Wszystko się ułoży. Wiesz, że to tylko przejściowe. . .

– Tylko nie „darlinguj” mi tu, Edwardzie. To już tyle trwa. . .

– Trzy dni. . .

– Właśnie! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że ja na wczoraj miałem umówioną wizytę w salonie „Lady Bovary”? Spójrz na moje włosy, wyglądam jak, jak. . .

– Wyglądasz pięknie, Essie! – zabrzmiało to prawie szczerze, ale nie mogło zatrzymać jej rozpedzonych skarg.

– Już ja dobrze wiem, jak wyglądam. Nie mydl mi oczu! A właśnie! Ta łazienka, ten tusz wąski jak stojąca trumna, te tycie mydelka jak z tanich motelików przy międzymiastowej, gdzie gźą się ci wszyscy obleśni zdrajcy żon i kapusie. . .

– Jak możesz, Estelle. . . – zachnął się Ed.

– Nie miałam na myśli ciebie. . . – zbita z tropu, powiedziała już dużo ciszej. – Ja wiem, wiem, że jesteś mi wierny, akurat o to nigdy cię nie podejrzewałam.

– Chodziło mi o to drugie. . .

– Ach. . . Ale kiedy zdradzasz tych złych dla tych dobrych, to chyba nie można cię nazwać ka. . .

– A myślisz, że im to robi różnicę? Myślisz, że oni uważają siebie za złych? Każdy jest tym dobrym w swoich oczach! A jak raz złamiesz omertę, to już nie ma. . . już nie można. . . nie da się. . .

– Życ?

– Mieszkać. Dlatego musieliśmy wyjechać, rozumiesz?

– Gdybym choć mogła zabrać wygodniejszą sukienkę, jakieś podróżny ciuchy. . .

– Nie było czasu. . .

– Przecież wiem!

– To po co. . .

– Jak wy nigdy nic nie rozumiecie! – podsumowała tę już wygasającą kłótnię, jakich we wczesne niedzielne poranki odbywali wiele.

Edward spuścił ponuro głowę i pogrążył się w lekturze przedwczorajszego „The New York Timesa”.

– Ciekawe, czy widać stąd nasz dom przy torach kolejowych na Manhattanie. . . – mruknęła po chwili milczenia Estelle, ni to do siebie, ni to do niego.

– Lepiej nie podchodź do okna. Ktoś może. . .

– Wiem, wiem. Czy nie mogli umieścić nas w pokoju bez okien? Po co nam okno, przez które nie możemy obserwować świata. . . Tylko świat może obserwować nas.

– Może właśnie po to.

– Co tam na świecie, Eddie? – zagadnęła niemal przyjaźnie do męża.

– Jutro. . . to znaczy wczoraj – poprawił się szybko – w MoMA otwie. . . rzyli wystawę obrazów Hoppera.

– Nie znam człowieka.

– Piszą, że ma pracownię przy Washington Square North.

– Coś podobnego, pod trójką mieszka tam ciotka Brigitte.

– Ta, która chrapała na pogrzebie wuja Luigiiego?

– Nie, to była Clodette. Brigitte podrywała na stypie twojego ojca.

– Ta twoja francuska rodzina...

– Phmf! Amerykanie się znaleźli – odrzekła Estelle, bardziej z przekorą niż złością. – A z butów zamiast sznurówek wystaje makaron!

– Pasta, *darling*, pasta!

– Basta! Nie chcę się już kłócić. Chcę tylko, żeby to się już skończyło, chcę znów poczuć na twarzy poranne słońce...

– Poczujesz, Essie, poczujesz. Obiecuję! Kiedy tylko złożę zeznania przed sądem i aresztują Don Carla,

to dostaniemy jakiś kąt daleko stąd, rząd się nami zajmie, zobaczysz. Pamiętasz Franka? Tego księgowego. Pewnego dnia zniknął, a potem aresztowali braci Ferrino. Gambino kazał wszystkim rodzinom szukać Franka, ale nigdy go nie znaleźli, rozumiesz? On też dostał „koronę” i skutecznie go ukryli. Przeczekamy trochę w ukryciu, a potem pojedziemy, gdzie zechcesz. Może do Europy, chcesz? Kupimy mały domek na Lazurowym Wybrzeżu, no co, *darling*, chcesz?

– Chcę... Chcę, *mio caro*... – westchnęła zalotnie, sięgając lewą ręką do wyłącznika lampy ukrytego pod tandetnym, czerwonym abażurem.

JAN DULKA

– pochodzi ze Świnoujścia, mieszka w Warszawie. Z wykształcenia politolog, z zawodu masażysta i nauczyciel.

Studiuje Wiedzę o Teatrze w Akademii Teatralnej.

Tworzy poezję, prozę, dramaty, teksty piosenek, muzykę oraz słuchowiska.

Trzy z jego dramatów były wystawiane na deskach Teatru Konsekwentnego (obecnie Teatr WARSawy) w reżyserii Adama Sajnuka.

W roku 2017 ukazała się jego książka reportażowo-krajoznawcza pt. *Jak nie zlać wilka na piachu*.



foto: Agnieszka Zwierzechowska



Magdalena Cylwik / ZDZ w Białymstoku

Roksolana Zharkova

On, ona, oni

Dla poszukiwacza smutku

Niech będzie ciepło. Nasze zatęchłe mieszkanie za osiem euro za noc, w którym zawsze brakowało wiatru. Zmęczone drzewa marniały niemal bez ruchu pod ateńskim niebem. Czyjeś mieszkanie. Czyjeś łóżko. Sufity innych ludzi. Kilka głosów pod sufitami. Czuję zapach cudzych śniadań, cudzych obiadów. Pachnie ciałami innych ludzi, spoconymi i wątlymi, które są zdolne tylko do marzeń o miłości, która być może nigdy nie istniała... która być może była tak wielka, że zamieniła się w bezsilność.

Zagubieni i nieumyci bezdomni, leżący na zielonym kocu, okryci ciemnością zamiast współczucia, stali się naszymi życzliwymi przyjaciółmi. Tak jest, kochanie! Przyjaciele z dołu.

...chłopcy, opaleni i smutni od promieni dnia, każdego wieczoru (po dwudziestej trzeciej, kiedy ten smutek narasta) z dumą przyjmują trochę narkotyków, aby zniszczyć te wszystkie cholerne białe sufity i w końcu złapać przynajmniej kilka gwiazd w podarte kieszenie swoich szerokich niebieskich džinsów, teraz znoszonych i wytartych. Tacy są nasi sąsiedzi z góry.

Z dołu... Z góry... Słyszysz mnie choć trochę?

Studnie na dziedzińcach są wąskie. Woda jest cicha, nawet gdy wpatrujesz się w nią długo oraz intensywnie, aby zobaczyć najcieńsze małe odbicie matowych dachów, poszarzanych, wyblakłych, osieroconych przez kilka ptaków, które zostały wypuszczone. Długie i uparte. Twoje rozplecione włosy splatają się z moimi myślami w ciasne kłęбки, lekkie i nieważkie, toczące się w półmrok... i znikające... i znikające... długo i uparcie...

Naszą ciszę nieustannie przerywają niskie, zadymione głosy z zewnątrz lub smugi światła rozlewające się po czasami wilgotnej pościeli. Słychać rozmaite bulgoty toalet, których właściciele szykują się do snu, robiąc coś prozaicznego, zgodnie z niepisany zwyczajem – zanim położą się do swoich samotnych łóżek, muszą wyciekać do wieczności w miejskie rury kanalizacyjne. A wtedy fragmenty ich zapachu, mieszaniny moczu i alkoholu, zasmrodzą miejską ulicę,

którą rano boso przemierzać będą pozbawieni rąk żebracy. Żebrzący o chleb i widowiska. A może tylko o chleb?

Wiesz, moje dziecko, często myślę, jakie to straszne... bez chleba można żyć... trochę... a co bez rąk? Kiedy nie masz nic, aby przytulić tego, który był dla ciebie wszystkim... zdarza się każdemu... każdy się boi, posłuchaj... co ty wiesz o strachu, dziecko?

...ciemnoskórzy ślepcy śpią pod naszymi oknami... nie widzisz, ale słyszysz, jak śpimy, dziewczynko... twoje ramiona dotykają moich i wrastają w ściany... twoje ostre kości policzkowe przecinają mój świat na pół... twoje konwulsyjne drgawki jak płacz o poranku... i zanim wstaniesz z tego łóżka... i stracisz mój drżący dotyk na swojej skórze, która smakuje jak ciepły miąższ świeżo zerwanych brzoskwiń... i wyszarpniesz się z tych zimnych ramion... i zaczniesz się ubierać w pośpiechu... Powinienem powiedzieć ci coś jeszcze... cokolwiek... co... nie jest... warte wspomnienia!

Poza naszym zjełczałym mieszkaniem za osiem euro za noc. Tylko te słowa, które nie są już potrzebne, nie są już konieczne... Tylko schody cichej politechniki, na których staliśmy przez jakieś pół minuty... Tylko sposób, w jaki wtedy zesłaś.

Po schodach.

Na dół.

...mówiąc ci, żebyś nie wracał, ona wróci.

Zasnąłeś przy stole, chłopcze, nie skosztowawszy pieczonej ośmiornicy, nie wypiwszy nocnej frappe w jakiejś nadmorskiej tawernie, gdzie nikt nie rozpoznaje ani nas, ani ich. Trzeba po prostu wstać i iść nad morze, i iść w morze, i iść jak okiem sięgnąć, i iść, życząc uprzejmemu gospodarzowi z wielkim piwnym brzuchem zamiast serca *dobrej nocy*.

Nie budź mnie, mówi, nie smakowało mi to, wiesz, nie smakowała mi *ta jedna*, że podałeś mi ich razem na tacy obok ośmiornicy. Jedziemy?, pytasz taksówkarza niewinnie, nieśmiało, jakbyś nie miał czym zapłacić – za nocną podróż,

krótki sen przy stoliku, pijanego kelnera, uprzejmego gospodarza, gorącą ośmiornicę na śliskiej tacy, za wszystkie swoje pragnienia (lęki? porażki?), za nią – w innym pokoju hotelowym w innym mieście, prawdopodobnie.

Czas rzucać kamieniami, pamiętasz. Zbierasz małe kamyki na brzegu i wrzucasz je z powrotem do wody. Podążaj za nią, bądź posłuszny. . . Podążaj za nią, krzyczysz, podążaj za nią, ale nikt nie słyszy.

Patrzeć na fale, ich wzory, to, co zostawiają na naszych ciałach. Będziemy nadzy i szczerzy, jakby te ciała nigdy do nas nie należały.

– A jak to bywa *naprawdę*? – pyta.

Tak, opierasz się o jej ramię. I przyrastasz do niego jak kędzierzawy mech do grzbietu kamienia.

– Jedziemy? – pyta. – Mam dość czekania tutaj, chłopcze. Daj mi trochę pieniędzy na benzynę i zostań sobie na brzegu!

No brzeg cię nie trzyma, woda otwiera usta i polyka tego poszukiwacza smutków, tak jak połknęła wszystkich innych. Rozbierasz się, rzucasz się do wody zamiast kamienia.

Niektórzy będą wozic innych swoim samochodem.

Był *taki dziwak*, taksówkarz opowiada wieczorem swojemu przyjacielowi, *został kamieniem w morzu*. Był *taki dziwak*, rano powiedział dobry człowiek z dużym brzuchem piwnym swojej wątlej żonie, że nic nie jadł i *siedział jak kamień*.

Rybacy zabrali mu ubranie.

Ktoś będzie nosić twoje rzeczy. I twój smutek, pewnie. . .

ROKSOLANA ZHARKOVA

– ukraińska pisarka, eseistka, krytyczka literacka. Feministka, badaczka kobiecego pisarstwa i cech sztuki kobiecej. Absolwentka filologii na Lwowskim Uniwersytecie Narodowym im. Iwana Franki. Uczestniczka, finalistka i zwyciężczyni wielu krajowych i międzynarodowych konkursów literackich i artystycznych. Autorka zbiorów poezji *SłuchaTy – morze* (2015), *Ręce i słowa* (2017), *Wszystkie moje ptaki* (2019), tomików opowiadań i półpowieści *On pachnie jak ty* (2017). Opowieść *Zero całości, zero dziesiątek*, która wygrała w V Ogólnoukraińskim konkursie literackim im. Hryhora Tiutiunnyka (Kijów, 2021), opowiada historię bohatera z okupowanego Ługańska. R. Zharkova bada traumatyczne doświadczenia kobiet w tekstach literackich, porusza kwestie związane z wojną, migracją, uchodźcami, analizuje problem granic w literaturze i sztuce. Tym zagadnieniom poświęciła swój najnowszy zbiór opowiadań *Biegnij, Eurydyko!* (2023).



fol. prywatne archiwum autorki

Barbara Żakiewicz

Aklimatyzacja

W tygodniu czas odmierzam według szkolnych przerw. Czekam na tę piętnastominutową i znikam.

Podczas lekcji próbuję zliczyć, ile razy dziennie myślę o śmierci. Robię kreski w zeszyte do anioła na każdy raz. Po trzech lekcjach zwykle mam dwanaście kresek i nie chce mi się dalej liczyć.

Na polskim przerabiamy romantyzm. Lubię czytać wiersze, choć przeważnie bardziej je czuję, niż rozumiem. Może na tym polega literatura, że się ją czuje każdym nerwem? Baba od polskiego każe mi czytać *Króla olch*, a potem go zinterpretować. Mówię, że najbardziej podoba mi się koniec. Wszyscy się śmieją, a ja dostaję pałę, bo baba myśli, że kpię. A przecież koniec zmienia wszystko. Bez końca nie ma początku, nie ma też środka, nie ma zatem niczego.

Początek, koniec, definicje, całe to od – do. Rodzice powtarzają, że to ważne, żeby wiedzieć, kim się jest i dokąd się zmierza (choć jak patrzę na nich, to wcale nie wiedzą, pływają w kółko, krztuszą się i boją się zanurzyć głowy). Żeby się nie pogubić, trzymam się podstaw arytmetyki. Tomik Szymborskiej ma osiemdziesiąt stron, z mojego pokoju do łazienki są cztery kroki, a do kuchni siedem, na trzecie piętro jest czterdzieści schodów. Szukam miar na siebie, ale nie znajduję. Czy to znaczy, że nie istnieje?

Nareszcie dzwonek. Na korytarzu ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Odwracam się. Sabina.

– Idziemy po szkole w parę osób do mnie. Wpadniesz?

Sabina ma sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i gra w szkolnej reprezentacji siatkówki. Jest wielka i pełna śmiechu. Ten śmiech jest jak pies na smyczy. Gdy się zerwie, nie można nad nim zapanować. Sabina ma długie blond włosy, które na czas meczów wiąże w koński ogon. Nie wiem dlaczego, ale ciągle mnie gdzieś zaprasza. Zawsze odmawiam, tym razem także.

– Zadzwon, jak coś – dodaje Sabina, a potem odchodzi z pozostałymi dziewczynami.

Obie wiemy, że nie zadzwonię.

Po lekcjach wychodzę ze szkoły, wciągam do płuc zapach miasta (pachnie nagrzanym plastikiem), wkładam słuchawki, które dostałam od ciotki Marty, i włączam

Spotify. Słucham Ralphi Kamińskiego. Jego głos kojarzy mi się z wakacjami i napawa mnie dobrym smutkiem. Dobry smutek to taki, który sprawia, że tęsknię za przyjemnymi chwilami. Na przykład za wakacjami w Szczyrzycu, gdzie z ciotką Martą chodziłam do lasu, jadłam borówki prosto z krzaka, a trawa była sucha i prosta jak moje myśli. Ciotka Marta (siostra taty) ma prawie czterdzieści lat, ale jest okej. Podróżuje po świecie i nagrywa filmiki z dziwnych miejsc. Podobno będzie mieć własny program w telewizji. W zeszłym miesiącu była w opuszczonym sanatorium w Gruzji. Wysłała mi stamtąd życzenia urodzinowe po polsku i kilka słów po gruzińsku (chyba „na zdrowie”). Po powrocie opowiadała, że to piękny język, w którym „tata” to „mama”, a „mama” to „deda” i w którym nie ma rozróżnienia na rodzaje.

Wsiadam w autobus numer 194. Z domu to trzydzieści przystanków, ale spod szkoły jest bliżej. Jadę tą trasą przynajmniej raz w tygodniu, bywa, że dwa. Rodzice się cieszą, że odwiedzam dziadka, bo wtedy oni nie muszą. Mama ma o coś do niego żal, ale ona ma żal do wszystkich, bo jej życie jest nudne (jej słowa!). Chciała być pisarką, ale nic nie napisała, a potem ja się urodziłam. Chciała podróżować, ale musiała spłacić kredyt, a poza tym ja się urodziłam. Chciała przeżyć wielką miłość, ale trafił się tata i tak już zostało. No i ja się urodziłam.

Ja do dziadka nic nie mam i nigdy nie rozmawiam z nim o mamie. Niech sami prostują swoje sprawy. To mój jedyny dziadek, obie babcie nie żyją, a dziadka od strony taty nigdy nie poznałam. Wyjechał do Ameryki i ślad po nim zaginął. Raz ponoć przysłał paczkę z Chicago. Futro, rodzynki w czerwonym pudelku, pomarańcze, dzinsy, adidas w rozmiarze niczym, dwadzieścia długopisów, kilka pustych pojemników na lekarstwa, torba m&m'sów, zestaw lego (taki z farmerem i zwierzętami), śrubokręt, taśma klejąca, cynamon. I ananas, którego babcia Walczakowa wzięła za kwiatka. Myślała, że dziadek Rysiek przysłał go w ramach przeprosin za to, że Ameryka połknęła go jak wieloryb Jonasza. Przez kolejne dni ananas sterczał z doniczki, próbując wypuścić korzenie, aż zaczął śmierdzieć i zgnil.

– Jak moje małżeństwo – powiedziała ponoć babcia i wyrzuciła ananasa do śmieci.

Dziadek nigdy więcej nie przysłał żadnej paczki. Czasami wyobrażam sobie, że wciąż żyje i jest bardzo bogaty, a ja któregoś dnia odziedziczę po nim cały ten hajs. Na razie zadowolam się ubogim dziadkiem, który jest na miejscu. To jedna z niewielu starszych osób, jakie znam.

Na moim osiedlu nie ma starych ludzi. To takie osiedle przejściowe. Mieszkają tu studenci, których czasami obserwuję z okna, młode pary z bachorami, jacyś ludzie z Indii, Anglii, Ameryki, co to łążą do pracy z laptopami i nagle znikają. Pewnie wyjeżdżają w jakieś fajniejsze miejsce, ale nie wiem dokąd, bo nikt ich nie zna i oni nikogo nie znają. My zresztą też nie znamy swoich sąsiadów. Jak wyjeżdżamy na dłużej, rybki karmi wujek Andrzej (brat mamy) lub ciocia Marta, jeżeli akurat jest w Polsce (rzadko!). Oboje mają do nas daleko i nie chce im się przyjeżdżać.

Jak raz przyjechali, to zniknął mój ukochany bojownik. Kupiłam go ze względu na pletwę ogonową, która przypominała rozpostarte skrzydła motyla. Pierwszego dnia pletwę obgryzły mu brzanki. Bałam się, że umrze i przeniosłam go do mniejszego akwarium, które postawiłam obok. Nie umarł, lecz całymi dniami pływał w miejscu i patrzył przez szybę w stronę większego akwarium pełnego ryb, jakby planował zemstę. Po kilku miesiącach ogon odrósł, ale bojownik wciąż tylko patrzył przez szybę. Aż w końcu zniknął. Nie wiem, co się z nim stało.

W autobusie nikt ode mnie niczego nie chce i nie muszę się zastanawiać, co jest ze mną nie tak. Słucham muzyki, czytam coś na telefonie albo gapię się przez okno i to jest okej. W domu rodzice zaraz się czepiają.

W piłkę pograć, do kina pójść, ze znajomymi wyjść. Czas ci przez palce przecieka!

A w mieszkaniu dziadka czas stoi w miejscu. Co prawda zegar głośno tyka, ale wskazówki się nie poruszają. Sztosik.

Dziadek pachnie tytoniem. Od kilku lat nie pali fajki, ale palił dużo i ten zapach wlaź w ściany, w sprany dywan i w skórę dziadka, która jest beżowa i szorstka, jak tapeta w przedpokoju. Dziadek ma płaski brzuch. Jak był młody, chodził po Tatrach. Marzyły mu się Himalaje i Karakorum, ale nie wyszło. Podobno poznał Zawadę (nie wiedziałam, kim był Zawada) i Wielickiego (też nie wiedziałam, co to za typo), a nawet Kukuczkę (o nim słyszałam). Dziadek ma pełno zdjęć z gór. Na tych zdjęciach się uśmiecha, na wszystkich innych ma poważną twarz i matowe oczy.

Ja po górach nie chodzę. Rodzice nigdy mnie nie zabierali (mama podobno ma uraz do gór, co mnie śmieszy, bo to jakby mieć uraz do podłogi, że się kiedyś na niej poślizgnęliśmy), a dziadkowi też nie pozwalali mnie zabierać. Góry fascynują mnie zatem teoretycznie. Najbardziej podoba mi się to, że góry są górami i nikt, nawet Kukuczka, nie mógłby na nie wpłynąć, żeby stały się czymś innym.

Dziadek nalewa herbaty do szklanki z koszyczkiem, kładzie na spodku ciastko z dziurką i dwie kostki cukru. Siadamy przy stole. Zamaczam kostkę cukru w herbacie i prędko wkładam do ust. To ważne, żeby nie moczyć zbyt długo, inaczej rozpuści się i nie będzie się dało jej ugryźć.

Najlepsze kostki cukru to te lekko muśnięte herbatą.

Czasami dziadek opowiada o dawnych czasach.

– W piwnicy drukowaliśmy bibulę. Wracalem do domu o świcie, sakramenckie zimno, czarne od tuszu łapy upchnąłem do kieszeni kufajki. Zaszli mnie od tyłu, zamachnęli się palami. Dokąd idziecie, obywatelu? Skąd wracacie? To ja im mówię, że od chorej matki. A oni, że dużo matek ostatnio choruje i że lepiej, żebym się od razu przyznał do naruszania porządku publicznego. Kopniak w brzuch, kopniak w kroczce. Oho, myślę, chłopaki w nastroju! Wyciągnąłem ręce z kieszeni, żeby zasłonić głowę.

– Dziadku, opowiedz lepiej o górach – przerywam, bo nie chcę, żeby się denerwował, ale dziadek nie słucha.

– Od czego macie takie brudne ręce, pyta ten większy. A ja, zamiast skłamać, mówię, jakbym strachu nie znał, że z budowy wracam, że murowałem całą noc! A cóżeście budowali? Polskę. Ludową? Nie. Niepodległą. Bili po rękach, aż straciłem przytomność.

Dziadek przerywa i spogląda na swoje dłonie, jakby chciał sprawdzić, co one na to.

– Potem nie mogłem się już wspinać, ale wciąż uciekałem w góry. Tam byłem sobą. Wszyscy wtedy chcieli być sobą.

– Teraz też, dziadku, wszyscy chcą być sobą.

Dziadek patrzy na mnie, jakby dopiero zauważył moją obecność.

– Tak, trzeba być sobą.

Otwieram usta, żeby zapytać, gdzie znaleźć do tego odwagę, ale wtedy dziadek zaczyna mówić o wysokich górach, aklimatyzacji i zimnie tak wielkim, że zamraża myśli. Wstrząsają mną dreszcze, choć za oknem na dobre rozkręca się maj.

– Pij, póki ciepło – mówi dziadek.

Piję małymi łydkami, żeby się nie sparzyć. Dziadek też pije i głośno przy tym siorbie. Nigdy nie wyciąga łyżeczki ze szklanki. Mama strasznie się o to wkurza. Jest pewna, że kiedyś dziadek wydlubie sobie oko. Mama w ogóle uważa, że dziadek jest nieporadny, że mu się wszystko miesza w głowie jak w kotle i że trzeba będzie pomyśleć, co z nim zrobić. A mnie się wydaje, że dziadek chce znowu poczuć się sobą. Dlatego czasami przykłada wyglądając jak pieróg ucho do ziemi i nasłuchuje, jak góry piętrzą się nad nami wszystkimi. Znikają ściany oraz podłogi, znika stary skrzypiący fotel, wygniecione kapcie, osiedle, które wciąż zgielkocze.

– Najważniejsza jest dobra aklimatyzacja – mówi nagle i odpływa myślami. Może na Świnicę, Orłą Perć albo Zawrat lub wyżej, dalej, na szczyty, których nie zdobył.

Siedzimy w ciszy, aż za oknem robi się szaro. Dotykam dłoni dziadka, dziwnie wielkiej, pofałdowanej, niepasującej do reszty szczupłego ciała.



Gosia Kulik

– Idziesz już, wnusiu?

– Idę.

Niedaleko szkoły, spacerem pięć minut, biegiem – trzy, w starej wilgotnej bramie (jak to w Krakcu) mieści się pewien sklep. Trochę jak vinted, tylko w realu. Sklep prowadzi pani Jadzia. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłam, pomyślałam, że sto procent wredoty, ale to było, zanim się poznałyśmy. Pani Jadzia słucha Radia Złote Przeboje, a na zapleczu maluje Matki Boskie. Trochę się wstydzi o tym mówić, bo odgapiła tę pasję od Kory.

– A gdzie mnie tam do Kory! – powtarza.

Ale i bez mówienia ludzie wiedzą, że Maryjki można pani Jadzi przynieść na makeover. Niektórzy przynoszą i zostawiają na zawsze. Te, po które nikt nie wrócił, trafiają na Instagrama. Profil @maryjkispodlady ma ponad dwustu followersów. Jakie one są piękne! W krótkich spódnicach, z tatuażami, ze szczeniakiem na rękę zamiast Jezusa, z gromadką dzieci. Są też zwykle Matki Boskie, lecz ubrane inaczej, jakby robiły zakupy w sklepie pani Jadzi. Szczególnie podoba mi się Maryjka w spodniach i z słuchawkami na uszach.

Za pierwszym razem gdy szłam do przebieralni, pani Jadzia przyglądała mi się podejrzliwie. Przebieralnia to kąpiel przysłonięty kotarą zrobioną z koca (kocara!). Na ścianie wisi lustro, a pod nim stoi stary odkurzacz. Dziadek ma podobny. Nawdychał się już tyle syfu, a wciąż zipie. Pani Jadzia twierdzi, że rzeczy i ludzie starej daty są lepsze niż to, co teraz, i jak patrzę na odkurzacz dziadka, który nadal działa, a potem na siebie w lustrze, trudno mi się z nią nie zgodzić.

– To na szkolne przedstawienie – powiedziałam speszona, choć nie pytała.

Długa po kostki sukienka miała kolor fuksji i, co tu gadać, wyglądała w niej mega. Gdy zdejmowałam ją w pośpiechu – spieszyłam się na sprawdzian z geografii – materiał rozpruł się na szwie. Krew odpłynęła mi z twarzy. Odwiesiłam sukienkę tak, żeby ukryć dziurę, a potem wybiegłam ze sklepu, bąkając pod nosem niewyraźne do widzenia.

Przysięgam sobie, że nigdy tam nie wrócę.

Wróciłam na następny dzień z pieniędzmi. Pani Jadzia rzuciła mi klujące jak szpilka spojrzenie, lecz na widok banknotów rozmiękla.

– Schowaj, odpracujesz – powiedziała. – Ale najpierw kawusia.

Pani Jadzia przyrządza pyszną kawę. Żadna tam lawa-
zza czy inne kawy dla bogaczy (rodzice takie kupują,
choć bogaci nie jesteśmy, no ale biedni w sumie też nie).
Nie posiada też żadnego sprzętu do jej parzenia. Tylko
młynek i wrzątek z czajnika. Kawa jest gęsta i gorzka.
Dosladzam ją dwoma kostkami cukru. Pania Jadzia
i dziadek to jedyne znane mi osoby, które używają cukru
w kostkach.

Przez kilka następnych dni, zaraz po lekcjach, wpadam
do sklepu, żeby odpracować szkodę. Fuksjową sukienkę,
ze starannie zaszytą dziurą, ktoś w końcu kupuje, ale ja i tak
wciąż przychodzę. Układam, wieszam, segreguję, ubieram
manekina, który stoi w bramie i ma wabić klientów. W wol-
nych chwilach przymierzam żorzetowe sukienki, satynowe
spódnice, jedwabne bluzki we wszystkich kolorach tęczy.
Gdy do sklepu przychodzą klienci (rzadko), chowam się
na zapleczu i dopóki pani Jadzia nie skończy ich obsługi-
wać, czytam poezję.

Może to egzaltowane, ale mam wrażenie, że wszyst-
kie wiersze są o mnie. Oczywiście żaden nie jest o mnie.
Tak naprawdę wszystkie są o wszystkich i o nikim zupeł-
nie. Ciekawe, czy poeci i poetki chcieliby, żeby ich wiersze
rozumieli wszyscy. Czy chodzi raczej o to, żeby wiersze
były tylko dla niektórych? Tych lepszych? Mądrzejszych?
Wszystkim poetom i poetkom mogłabym powiedzieć
to samo: czuję, ale nie rozumiem. Czy to dobrze? Pewnie nie.

Najbardziej kumam Szymborską. Tomik jej wierszy
znalazłam w mieszkaniu dziadka. Pierwszy wiersz, jaki
przeczytałam, to ten o kamieniu, który ma w sobie wiel-
kie, puste sale.

Być może z ludźmi jest podobnie?

Tego dnia przymierzam nową sukienkę. To hisz-
panka. Odsłaniam ramiona i mam ochotę na fiestę. Pani
Jadzia wyciąga skądś perukę. Przymierzam ją i spoglądam
do lustra. Patrzy na mnie dziewczyna, ale to nie jestem ja.
Pani Jadzia twierdzi, że czegoś brakuje, znika na zapleczu
i wraca ze sztuczną różą, którą wkłada mi za prawe ucho.
Potem pani Jadzia siada na odkurzaczu i przygląda mi się
uradowana, jakby z sukcesem zakończyła kolejny makeo-
ver, a mnie robi się smutno. Nie potrafię powstrzymać
łez i po chwili obie płaczemy. Pani Jadzia nad nieżyjącym
mężem, córką w Kanadzie i nad wszystkimi brzydkimi
Maryjkami, których nie uratuje.

Ja płaczę nad tym, że sukienka do mnie nie pasuje.

Nie zauważamy nawet, że ktoś wchodzi do sklepu.

– Robert?

Poznaję ten głos.

Sabina przygląda mi się w osłupieniu. Ma tak głupi
wyraz twarzy, że momentalnie odechciewa mi się płakać.
Patrzymy na siebie zdębiałe, a potem wybuchamy śmie-
chem. Dziwię się, jak łatwo mi to przychodzi. Być może
pod śmiechem chowam strach, ale go nie czuję. Po chwili
śmieje się też pani Jadzia. Jakaś klientka zagląda przez drzwi,
ale na nasz widok ucieka, a my rechoczymy jeszcze głośnie-
j.

Śmiech Sabiny płacze się pod nogami i co chwilę ktoś
się o niego potyka.

– Czulam, że z tobą, że ty – mówi Sabina, a ja się
nie zloszczę, że nie wie, jak dokończyć. Też nie wiem, lecz
próbuję.

– Że jestem...

– A jesteś?

– Nie wiem.

Śmiejemy się jeszcze trochę, pani Jadzia zaparza kawę.
Pijemy, słuchamy Radia Złote Przeboje. Życie jest piękne.

A potem dzwoni telefon.

Dziadek w szpitalu, mama w Berlinie, tata na konferen-
cji, wujek Andrzej na urlopie, ciotka Marta Bóg wie gdzie.

Przebukować, przyjechać, odwiedzić, ucałować,
nie martwić się.

– Który szpital, złociutka? – Pani Jadzia łapie mnie deli-
katnie za podbródek.

– Na Skarbowej.

– To niedaleko. Zawiozę cię.

– Jak?

– Samochodem, a co myślisz!

– Jadę z wami! – woła Sabina.

Szpital cuchnie lizolem, chorobą i śmiercią. Lekarz
wygląda, jakby był niewiele starszy ode mnie. Ma podkrę-
żone oczy i plamę na kieszeni fartucha. Mówi coś o szczę-
ściu, wieku, trzech dobach i potrzebnym spokoju. Przygląda
mi się przy tym uważnie i uświadamiam sobie, że wciąż
jestem w sukience. Nie chcę się tak pokazać dziadkowi.
Nie czuję się na to gotowa. Sabina pożyczka mi bluzę, która
sięga mi prawie do kolan. Zapinam ją pod szyję.

Dziadek leży na sali razem z trzema mężczyznami.
Podchodzę do łóżka i chwytam go za rękę. Wydaje się
mniejsza.

– Robercik?

Wciążam gwałtownie powietrze. Nie znoszę tego imie-
nia, ale przecież nikt o tym nie wie.

– Tak.

Głos dziadka jest ledwo słyszalny. Słowa sypią się do ucha jak piasek.

– Zabierz mnie stąd.

Dziadek wypisuje się na własne żądanie. Pani Jadzia załatwia wózek inwalidzki i wspólnie pomagamy dziadkowi wsiąść do samochodu.

Niebo gęste, szare. Gładko suniemy w jego stronę.

Ja i Sabina siedzimy z tyłu. Czuję bijące od niej ciepło. Nie rozmawiamy, głupio tak przy wszystkich. W końcu ona wyciąga telefon i macha mi przed nosem. Odblokowuję swój i otwieram Messengera akurat wtedy, kiedy na ekranie pojawia się pytanie.

– Jak wolisz, żeby się do ciebie zwracać?

Robi mi się na przemian gorąco i zimno. Patrzę na swoje gładkie dłonie, tak różne od dłoni dziadka, i zbieram się w sobie. Trzy kropki falują na ekranie w nieskończoność, kiedy zastanawiam się nad odpowiedzią. W końcu odpisuję „Ola” i czekam, aż zawali się świat.

Sabina wysyła serduszko, a potem odwraca się w stronę okna, jakby nic szczególnego się nie wydarzyło. Jakby codziennie wchodziła do wnętrza kamienia.

Jestem pianką na cappuccino, dymem z iqosa, unoszę się nad sobą.

Ja. Czyli kto?

Gdy dojeżdżamy na miejsce, wypogadza się. Parkujemy, wyciągamy wózek i pomagamy dziadkowi na niego usiąść, a potem pchamy go po ubitej ścieżce. Niebo odsłania wierzchołki Tatr, w dole jezioro błyszczy jak wyprasowany celofan. Dziadek oddycha głęboko, oczy mu się śmieją. Pani Jadzia kładzie mu ręce na ramionach. Patrzymy na góry tak długo, aż niebo nabiera koloru zanurzonych w herbacie kostek cukru.

Myszę o początkach, końcach, definicjach.

Gdzie kończy się Robert, a zaczyna Ola? Nie potrafię tego określić. Aklimatyzuję się powoli.

BARBARA ŻAKIEWICZ

– urodzona w Krakowie, absolwentka Szkoły Pisania KMLU 2022/2023. Zadebiutowała opowiadaniem *Pokój obok* w „Stronie Czynnej”. Publikowała także w „Tlenie Literackim”. Jej opowiadanie *Aklimatyzacja* zdobyło pierwszą nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu w 2023 roku. Skończyła studia, ale nie pamięta jakie. Pracuje jako menedżerka w korporacji. Domatorka, która kocha podróże, oraz miłośniczka kundli. Czyta. Pisze. Marzy, że na starość zostanie pisarką.



foto: prywatne archiwum autorki

Jacek Bierut

Ludzie (fragmenty)

1.

Najpierw było słycać tylko dogłosy. Potem zza budynku stacji benzynowej wylonili się oni. Pierwszy szedł dzieciak w szynelu z ciągnącymi się po ziemi frędzlami. Maszerował odwrócony plecami. Głowa ledwo wystawała spod odciętego kołnierza. W rękach miał broń. Karabin. Za nim coś wypełzło. Zalane krwią. Pewnie uderzone kolbą w głowę. Mężczyzna? Na pewno zasługiwał na współczucie, ale wydawał się przede wszystkim groteskowy. Ojciec. No przecież. Bo kto inny? Na czworakach. Nisko przy ziemi. Z przerażeniem w oczach. Czy hieny to było tylko preludium. Jak można mieć takie oczy? Na końcu orszaku dwóch maluchów. Może ośmioletnich. Z karabinami gotowymi do strzału. Te karabiny wydawały się większe od nich. Musiały ich strasznie boleć rączki. Karabiny wycelowane w plecy ojca.

– Tat.

W zupełnie zapadnięty grzbiet. Jakby struna grzbietowa zrobiona była z gumki po starych szortach. W tych okolicznościach należało jednak zadbać o wyprostowaną postawę.

– O, mamó.

Wybiec ze studni z krzykiem i zginąć razem z ojcem? Z najprostszego wyjścia należy korzystać tylko wtedy, kiedy wiadomo, że przyniesie dobry efekt. Matka Murzyna już wtedy to wiedziała.

– Pewnego dnia zrozumieją to wszyscy mądrzy – powiedziała Murzynowi, kiedy był taki mały jak ci chłopcy w szynelach. – Trzeba robić dobre rzeczy dla innych, ile tylko można, a wtedy dostanie się nagrodę. Ale trzeba wiedzieć, co ma być nagrodą. To nie może być byle co. Dla jednego to będzie to, dla innego tamto. Ważne, żeby robić odpowiednie rzeczy. Do robienia nieodpowiednich rzeczy ludzi jest dość. I nigdy nie trzeba się starać, żeby były robione z grzecznością. Nawet czasami lepiej je robić niegrzecznie. Bo jak ludziom się wydaje, że czegoś naprawdę chcą, to najczęściej wcale to nie znaczy, że to będzie dla nich dobre.

Ale wtedy nie miała czasu na myślenie. Do pełzającego ojca zbliżył się kolejny chłopaczek w szynelu. Starszy. Może

dwunastoletni. Może trzynastoletni. Zobaczył go przez okno i wyszedł z budynku stacji benzynowej. Szynel leżał na nim jakoś lepiej. Prawie nie ciągnął się za nim po ziemi. Z tyłu miał tylko kilka frędzli. A zamiast butów miał bose stopy. Klapały po betonie. Wesoło. Jakby to była zabawa grzecznego dziecka w niegrzeczne dziecko. Tylko szczęk broni do tego nie pasował. Wiadomo, jak broń szczęknę, to zaraz zaczyna pierdzieć. I świat jest już zepsuty. Pusty. Bez mamy. Bez ojca. Bez sensu. Bo co dalej? Oglądać się za jakimś chłopakiem dla siebie? Jakimś opiekunem? Starym dziadem z jednym długim zębem? Serce ojca, a dobrze je było widać, skulone, oglupiałe, zamarło pod żebrami. Popukiwało ostatnimi puknięciami. Matka Murzyna wygrzebała się ze studni.

– O, chłopaki, jesteście! – zaczęła bardzo głośno, zanim stanęła na ostatnim szczeblu. – No to pomóżcie! Trzeba pomóc! – dodała jeszcze głośniejszym głosem, żeby wszyscy słyszeli.

Odwrócili się od ojca. Może to było dla nich coś nowego? Takie serce starego Lemba już świetnie znali. Ten z karabinem wymierzonym w ojca odwrócił tylko głowę. Reszta jego ciała nie skończyła jeszcze roboty. Tej roboty, na której się świetnie zna. Pierdzenia. Wystarczy poruszyć palcem. Mały ruch. Jak u małego chłopczyka puszczającego bąka.

Białas ze stacji stał z czołem przyklejonym do szyby. Też chyba starał się przedłużyć swoje małe życie o kilka długich sekund. A może nawet wielkich minut? Jaki on brzydki, rzuciło jej się w oczy.

– Fajne macie ciuchy! Jak na filmach. Znacie filmy?

Ten dwunastoletni odwrócił resztę ciała. Bardzo powoli. Z bronią wciąż gotową do pierdzenia i z przymrużonymi oczami ruszył wprost do matki Murzyna. Widać było, że zna się na swojej robocie. Szedł, starając się nie odrywać bosych stóp od ziemi. Tak, żeby wszyscy czuli, że zaraz nic tu nie zostanie w jednym kawałku. Oprócz niego samego. Bo on potrafi i ma takie możliwości i magazynek gotowy na jeszcze więcej. I palec.

– Co znamy, to znamy – odpowiedział.

– Chodź, zobacz. – Matka Murzyna powiedziała to tak lekko, jakby mówiła do młodszego kolegi, syna

sąsiadów. – Wpadła. Jaka przestraszona. Popa. Jaka. Wyciągniemy?

W dole brzucha to już nie była rewolucja. To była sraczka. Chyba po tej wodzie z kibla. Ale to nie sraczka. To coś innego. Nie było czasu na dół brzucha i nagle bóle.

– Co? – spytał z wciąż przymrużonymi oczami.

Mógł albo spytać, albo pierdzieć. A jak pierdzieć, to porządnie. We wszystko dookoła. W szklaną ścianę na końcu. Żeby się rozsypała. Jak uwolniona woda.

– Ale patasz. Sam popatrz. Biedactwo.

Nie spojrział tam, gdzie chciała. Spojrział na nią. Jednym okiem. Przez muszkę na końcu lufy. I to tak, że poczuła, że sama stoi na końcu tej rurki, a on wędruje po jej ciele, w górę, przez brzuch, aż do głowy. Nigdy nie wolno tracić głowy. Chociaż z brzucha chciało się coś urwać. Jakieś kamienie. Jakiś syf.

– Jak na ciebie mówią? – spytała.

Ruch jego lufy zatrzymał się wprost na jej oku. Zrobiło jej się ciepło w tę część twarzy. Wszystko w niej chciało zamknąć powieki, ale ich nie zacisnęła. On nie nacisnął cyngla. Palec mu się jakoś nie rwał do roboty. Może wcale nie jest tak łatwo zabić kogoś, kto chce poznać twoje przezwisko. A może uniosło się chłopięce serce?

– Imię to wiesz. Nie pytam o imię. Mój stary dał mi na imię tak, że nawet matka tak do mnie nie mówiła. Nikt tak do mnie nie mówi. Jak na ciebie mówią?

Ojciec spojrział na nią wyraźnie zdziwiony. Ale chyba bardziej cieszył się z tego, że nikt na razie do niego nie strzelił.

– Na mnie mów Pi – powiedziała i trochę się zmartwiła, że na chłopaczkę nie zrobiło to żadnego wrażenia. – Wiesz, co to jest? To jest taka liczba, której nikt nie zna. I nie pozna. Nigdy.

– Akurat – zaśmiał się. – Ja znam wszystkie liczby. Do stu. A nawet więcej. Liczby są słabe. Jak się coś da policzyć, to znaczy, że nie warto tego liczyć.

– Ja tam lubię liczby. A ty? Co lubisz?

Naprawdę się zastanowił. Ucieszyła się. Uważanie ludzi za tych, kim są, jest słabe. Ludzi lepiej uważać za tych, którymi chcieliby być.

– Lubienie jest dla głupków – odpowiedział.

– No pewnie, ale jak byś lubił, żeby na ciebie mówili? – Pokazała na jego kumpli i zatoczyła ręką na cały Płaskowyż.

Chyba mu się to spodobało. Cały Płaskowyż. Zastanowił się dokładniej.

– To ważne, jak na ciebie mówią i jak będą mówić. Życie jest fajne, gdy się przechodzi do legendy. Inne życia są dla głupków.

– Chcę, żebyście na mnie mówili – zwrócił się do pozostałych chłopaków – Kapitan.

– Kapitan – wybuchnęli śmiechem.

– Nie mogę.

– Zejszczę się.

– Słabitan.

– Głupi jesteście. – Pi przerwała im zabawę. – On jest od teraz Kapitan i koniec. Może nie?

Śmiechy ucichły.

– A na ciebie jak mamy mówić? Jak chcesz? – spytała pierwszego z brzegu.

Bardzo go zaskoczyła. Skulił się pod szynelem. Przykurczył. Niemal zniknął. Prawie nie było go widać. Nabral powietrza i poruszył bezgłośnie ustami. Ale tylko tak, jakby próbował je przyzwyczaić do ruchu, jaki jest potrzebny, żeby udało się wymówić to słowo. A może jakby to sobie przypominał? Pobierał z innego świata?

– Żołądeczek – powtórzył ten sam ruch ust, ale wypowiedziane słowo było tak ciche, że niemal nie było go słychać.

– Jak? – krzyknął jego kolega.

– Żołądeczek – powtórzył już pewniej. – Żołądeczek. Wszyscy w śmiech.

– Żołądeczek! Żołądek!

– Nie Żołądek tylko Żołądeczek. Nie znacie się. Nic a nic. Mama tak do mnie mówiła.

Przestali rechotać w jednej chwili.

– Żołądeczek, słyszycie. Mama nie żyje? – spytała Pi, chociaż nie trzeba było pytać, bo chłopcu zaszkliły się oczy. Innym także. To chyba nie było wśród nich mile widziane. – Jak mama tak mówiła, to Żołądeczek i już. Co mama, to mama. Żołądeczek. Fajny jesteś. Też miałam mamę. Mama jest super. I dla mnie ona wcale nie jest tak całkiem nieżywa. Tu ją noszę. – Klepnęła się w bawelnianą podkoszulkę. – Żołądeczek, Kapitan, chodźcie do mnie. Będziemy razem zapamiętywać. Każdego po kolei. Wszystkim się należy. Wszystkich zapiszemy tu. – Przetarła ziemię tuż przed sobą. – A potem będziemy czytać. Każdy zapamięta. Kapitan – schyliła się i kciukiem zapisała pierwszego, głośno literując – fajne nazwanie. Kapitan. Podoba mi się. Super. I łatwo zapamiętać. Ja już pamiętam. Kapitan i Pi. Nie? Wszyscy tak będą mówić. Zobaczysz. Będą mówić: Kapitan i Pi. Zrobili to i to. Teraz ty. Żołądeczek. Ciebie zapiszemy

obok. Żo-łą-de-czek. Ładnie. Żołądeczek – powiedziała to tak, żeby wszyscy usłyszeli i żeby im się spodobało. Miała bardzo ciepły głos. Podniosła głowę. – Żołądeczek jest fajny. Aż od razu chce się go lubić. Taki miły. Ja cię lubię, Żołądeczek. Kapitan też. Kapitan i Pi lubią Żołądeczka. Kto następny?

Zostawili ojca pod szklaną ścianą. Podeszli. Przybiegli też następni z budynku stacji. Mieli w rękach czekolady. Białas z dodatkowymi brwiami odszedł od okna i gdzieś zniknął.

Czasem ludzie nie wiedzą nawet, jakie chcą mieć przezwisko. Pi potrafiła pomóc każdemu. Pi potrafi wszystko! Został jej ostatni. Nic nie mówił. Nawet spytany po raz dziesiąty, jak by chciał być nazwany.

– Ty będziesz Płaskowyż – wypaliła. – Zapiszę je największymi literami.

Płaskowyż. Nawet Kapitan jęknął. Wszystkim się to spodobało. Zazdrość to zazdrość. Płaskowyż to nazwanie dla szefa Kapitana, nie odwrotnie. Nikt jednak nie oponował. Hierarchia została ustalona. Poza tym nikt już nie śmiałby się sprzeciwiać Pi. Sprzeciwianie się Pi byłoby już głupie. Nikt by tego głośno nie powiedział, ale po co mówić rzeczy, które wszyscy wiedzą?

– Płaskowyż. Ty jesteś silny i odważny. Pomożesz mi w studni.

Nie musiała tego powtarzać. Zaraz zresztą wszyscy podeszli zajrzeć, co tam się dzieje. Hiena zobaczyła w ciasnym kółeczku na tle nieba samiutkie główki. Pisnęła. Od tych głów szedł zapach, który hieny uwielbiają i który je przeraża. Zapach trupów, których nie można zjeść.

– Idę pierwsza – zdecydowała Pi. – Potrzymaj. – Podała klapki Żołądeczkowi. – A ty za mną – powiedziała do tego, który się jeszcze nie odezwał, ale wszyscy mu i tak zazdrościli.

Zatrzymała się nagle. Obejrzała w kierunku stacji. Podążyli za nią wzrokiem. Ojciec siedział koło kibla oparty o ścianę. Wyglądał jak nieprzytomny.

Głowa zwisała mu na jedno ramię. Coś mu kapalo z ucha. Aż się prosił, żeby ktoś pierdnął seria. Pi powstrzymała ich samym ruchem dłoni.

– Kapitan. Niech mi ktoś tego starego porządnie przypilnuje. Bo z nim to muszę jeszcze coś załatwić. Oj, muszę – powiedziała tak, jakby mu życzyła najgorszego. – A ty, Kapitan, jesteś najważniejszy. I dlatego przyprowadź tego białaska z dodatkowymi brwiami po nosem. Tylko,



Gosia Kulik

żeby mi cały był. Mamy z nim do zatańczenia. Nie? Ale najpierw wyciągnie toto z tej dziury. Prawda? Płaskowyż. Co się będziemy męczyć? To robota dla białasa.

- Hienę?
- No.
- A po co wyciągać hienę?
- No co ty? Pomyśl, jak to będzie śmiesznie wyglądało.

2.

– Pani Arleta Ludzie? – tak zapytał ją głos w słuchawce, a ona odpowiedziała: – Tak jakby – zupełnie odruchowo.

Bo zadzwonił telefon. Ludzie czasami mają telefon; nikt żywy nie ma do nich numeru, ale telefon dzwoni. Tak to było. Gracjan dość szybko wpadł na to, że jednak oboje powinni mieć w przedziwnym kraju telefony komórkowe, a zaraz potem go nie było.

– Telefon bez drutu to wynalazek, który zgubi ludzkość.

Głos po polsku na drugim końcu świata, gdzie woda w odpływie wanny tworzy lej lewoskrętny, a słońce w południe jest na północy. I nawet jej to nie zdziwiło. Polszczyzna to najlepszy dowód na to, że rzeczywistość dla Polaków jest nieosiągalna. Polszczyzna to tylko mieszanina dziwnej wiedzy i wyobrażeń o świecie, o jego przeszłości, niefrasobliwego podejścia do faktów i oczekiwań mylnie traktowanych jako fakty. Polszczyzna powstała z nieustannego wystawiania ocen. Wszystkiemu i wszystkim. Choć nikt nie istnieje po to, żeby oceniać. I żeby być ocenianym. Wolność polega na tym, że nie ma znaczenia, jak, co i kogo się ocenia, i dlatego nikogo i niczego nie ma potrzeby oceniać. Bo dlaczego w polszczyźnie można zdrobnić słowo „przyjaciółka”, a nie można zdrobnić słowa „przyjaciel”?

– Tak, Arleta Ludzie, słucham – poprawiła się.

Była spokojna. Czuli się bezpiecznie. Nic jej nie tknęło. To dobre słowo. Czuli się nietykalna. Cokolwiek by czuła i robiła, nie miało żadnego znaczenia. I kryła się w tym siła. A nawet szczęście. Tak, cięża zmienia wszystko. A podwójna zmienia także i to.

– A dlaczego pan dzwoni z tego telefonu?

– Nie mam dobrej wiadomości. Człowiek, z którego telefonu dzwonię, miał wpisany tylko pani numer i numer niejakiego Hopera.

- Hopera?
- Tak.
- To jego kolega z dzieciństwa.
- Hoper nie odbiera. Odpisał tylko „Wal się na ryj”.

- Odpisał?
- Tak.
- I pan dzwoni do mnie z jego telefonu?
- Nie. Z tego drugiego. Znaczący tak.

– Szczęście nigdy nie jest wystarczające. Wystarczy poczuć jego wyjątkowy smak, a ono natychmiast przestaje wystarczać. I nigdy nie wiemy, gdzie się znajduje największe ze wszystkich szczęść. A gdzie się zaczyna nieszczęście. W tej chwili dotarło do niej tylko to, że musi zemdleć. Z powodu stanu, w jakim znalazł się świat.

- A kim pan jest?
- Jestem policjantem.
- Policjanci południowoafrykańscy mówią po polsku?
- Jeden tak.
- I to jest właśnie pan?
- Ja.
- To taki zbieg okoliczności?
- Być może.
- Ale pan świetnie mówi po polsku.
- Tak.

– Polszczyzna to nie jest normalny język, prawda?

– Czemu?

– Wypala piętno. Nawet jeśli kiedyś było w niej coś szlachetnego, dziś już tego nie ma.

- Rzadko mam okazję rozmawiać po polsku.
- To dobrze. Ludzi, którzy rozmawiają w tym języku, nic nie czeka.

– Ale pani Arleta Ludzie?

– Ludzie, tak, którzy mówią tym językiem, nie chcą żyć tak, jak żyją.

– Właśnie w tej sprawie dzwonię.

– Ale ja nic nie wiem. Mogę powiedzieć tylko, że oni się ludzą w najważniejszej sprawie, że mogą nie pozwolić na to, żeby sprawy toczyły się dalej same. Ale pozwalają każdego dnia. Ale czy to sprawa dla policji?

– Toczyć się same? Tak, w tej sprawie również dzwonię. Do kogo należał telefon, z którego dzwonię?

– Wie pan, ja nie chciałam przyjąć na ślubie, cywilnym ślubie, żeby nie było, jego nazwiska, a on nie chciał mojego. Nie mogliśmy znaleźć niczego. Nic. Polszczyzna jest pusta. Dlatego przyjęliśmy oboje nazwisko Ludzie. Innego nie ma dla nas w tym języku. A pan? Jak pan się nazywa?

- Warat. Tu Warat. Po polsku Waszczurski.
- Szczur?
- Tak, ale na „wa”.
- Co pan tu robi?

– Jestem policjantem.
 – A w Polsce?
 – W Polsce byłem nauczycielem.
 – Nauczyciel. Czego pan uczył?
 – Polskiego.
 – Polonista.
 – To za duże słowo.
 – Zostawił pan kogoś w Polsce?
 – Pyta pani o kobietę?
 – Tak.
 – Nie.
 – A kogoś poza tym?
 – Brata.
 – Kim jest brat?
 – Żołnierzem.
 – Żołnierz.
 – Tak.
 – Myśli, że w jego robocie rozstrzyga się wszystko? Ale jego robota polega na tym, że musi robić rzeczy, które ktoś inny każe mu robić.
 – Chyba tak.
 – Nie tęskni pan?
 – Nie.
 – A do polskich książek?
 – Polskie książki są słabe.
 – To ciekawe. To po to pan dzwoni?
 – Nie.
 – Ja też nie lubię rozmawiać o polskiej literaturze. W polskiej literaturze fajne jest tylko to, że można o niej bez żalu nie rozmawiać i to żaden grzech.
 – Jest pani wierząca?
 – Tego nie wiem. W Polsce takich rzeczy się nie wie od początku do końca. To jest kwestia chodzenia do kościoła lub nie.
 – A pani chodzi?
 – Oczywiście. Jak można nie chodzić do kościoła?
 – No właśnie. Śmiertelne znużenie służące śmiertelnemu znużeniu.
 – Pięknie pan to powiedział. Jak pan ma na imię?
 – Robert.
 – Pięknie pan to powiedział, panie Robercie.
 – Możemy się umówić na identyfikację zwłok?
 – Zwłok?
 – Zwłok.
 – To jak w piosence. Wokalista śpiewa i śpiewa, a nagle przestaje?

– Nie znam się na muzyce rozrywkowej.
 – Ja też.
 – Mogę po panią przyjechać.
 – Widzi pan, to tak miło porozmawiać z rodakiem, szczególnie z takim jak pan. Pan nie mówi czasem przeszłym, preferuje pan czas teraźniejszy, panie Robercie, a nawet czuję, że chciałby pan mówić czasem przyszłym, ale ja jestem zamężna.
 – Właśnie w tej sprawie dzwonię.
 – Słucham.
 – Czy rozmawiam z panią Arletą Ludzie?
 – Przy telefonie.
 – Dzień dobry.
 – Dzień dobry. Coś czuję, że mówi pan: dzień dobry, dzień zły.
 – Mniej więcej. Nie lubię takich telefonów. Zawsze inni dzwonią, ale tym razem ja musiałem, bo nikt nie mówi po polsku. Mówi pani po angielsku?
 – Słabo.
 – No właśnie. Ale przejdźmy do rzeczy. Pani Arleta Ludzie?
 – Mówi Arleta Ludzie.
 – Młodszy aspirant Robert Warat z policji kpszadzkiej. Wydział zabójstw. Znaleźliśmy w porcie ciało człowieka bez dokumentów. Miał w kieszeni telefon, z którego do pani dziwonię. Miał w kontaktach tylko pani numer i numer niejakiego Hopera.
 – Mówił pan, że Waszczurski.
 – Zmieniłem nazwisko. Nikt nie potrafił go wymówić.
 – Ja potrafię.
 – Ale nie w tej sprawie dzwonię.
 – To jakaś pomyłka. Pan dzwoni z jakiegoś innego telefonu i próbuje mi coś wmówić. Hoper to jakiś chłopiec z dzieciństwa. Skryjdę razem mieli. Tyle wiem. Nigdy potem się nie widzieli. A pan takie rzeczy. To jakiś żart? Policji nie można wierzyć. Poza tym co on miałby robić w porcie?
 – Gdzie pani teraz jest?
 – Powiedział pan to tak, jakby wszystko nadal istniało.
 – To spytam inaczej. Umówi się pani ze mną? Zaraz przyjadę.
 – Na kawę?
 – Na kawę. Może być.
 – Nie pijam kawy. Nie mogę. W moim stanie.
 – Ale jakoś musimy to załatwić.
 – To pana zadanie.

Mówił jak wariat, ale nie był wariatem. Miał taki niewinny, ciepły głos. Troszkę kobiecy, choć niski i męski. Zawsze miała słabość do takiego głosu. Człowiekowi, który się nim posługuje, nadaje zwykle miły wyraz twarzy. Nawet przez telefon. Urodę w tonach szlachetnych. Nawet w połączeniu z żebraczymi ubraniami. A ten w mundurze musiał się prezentować świetnie. Na takich ludzi wszystkie pary kobiecych oczy patrzą tak, jakby to patrzyła jedna para oczu. Stwardniały jej sutki. Spojrzała w lustro. Łagodne doliny obojczyków wyglądały jak uzupełnienie zbyt małych, niechających się kołysać piersi. Za to monstrualne uda przylegały do siebie za sprawą przekserowanej obfitości.

– One wyglądają tak, jakby jedno karmiło drugie.

Tak, jak się ma piersi po ojcu, to uda ma się po matce. Zawsze tak jest. Ale za to oczy błyszczące. W każdej źrenicy duża, nigdy niegasnąca kropla światła. Subtelne i wspaniałe, kiedy dół ciała najzwyczajniej kurewski. Każda kobieta chciałaby mieć wielkie sterczące cycki i wąskie biodra, ale niektóre dostały to odwrotnie. Taka dupa i malutkie cycuszki. Dupa, która długo nie podejrzewała nawet, do czego została stworzona. I cycki stworzone po nic. I w takim stanie mam zidentyfikować zwłoki? Kiedy to wszystko jeszcze takie świeże? Takie bliskie. Kiedy nie mam do tego żadnego dystansu?

– Co pani teraz robi?

– Płaczę.

– Gdzie pani płacze?

Miał w tym głosie coś, co sprawiało, że wszystko w nim jest bardzo poważne, ale jednocześnie bardzo zwykłe.

– Wie pan, to smutne. Przypadek sprawia, że ktoś do nas dzwoni, rozmawiamy z tym kimś, troszkę go poznamy, on nawet robi na nas pewne wrażenie, a potem go tracimy. To jest smutne. Bardzo smutne – powtórzyła ze śmiechem.

– Ale o co pani chodzi? Nie chce pani zidentyfikować ciała?

– A co to jest ciało? Jakaś przynależność, nawet przywiązanie; ufa się mu. Ono mówi: nie rób mi tego wszystkiego, ale mu się to robi. I nagle pojawia się niepewność. I ta niepewność zostaje już na zawsze. To jedyny stały element każdego ciała. Wie pan, ktoś dzwoni i już jest po wszystkim.

– Ja jestem w pracy, wie pani. Nie mogę tak rozmawiać.

– Ciało to marna zasłona, panie Robercie. Jak praca. Jak się to już wie, coś nigdy już nie mija. Tylko czy to jest spokój, czy to jest niepokoje?

– Jest takie miejsce, w którym być może znajdzie pani odpowiedź.

– Co to za miejsce? Kościół?

– Prosektorium. Przywiozę panią. Chodzi tylko o zidentyfikowanie zwłok. Zerknie pani, poda nam pani imię, nazwisko, nic więcej. Może polski adres. Zadam pani kilka pytań. To wszystko. Przynajmniej na razie.

– On na pewno nie żyje?

– Tak. Na pewno.

– A kto?

– Tego mam nadzieję dowiedzieć się od pani.

– Ja nie mogę. Właśnie mdleję, panie Robercie.

Chciała, żeby wszystko znów stało się jasne i przyjazne. Chciała tylko najnormalniejszych na świecie rzeczy. A utraciła je na zawsze. Żadnego zadośćuczynienia. Niczego w zamian. Rozumiała jedynie, co się stało, że naszła ją taka chęć na rozmowę. Cisza. Przyszła do niej cisza. Niekończąca się cisza.

– Mogli mu ukraść ten cholerny telefon.

– Mogli. Właśnie dlatego do pani dzwonię. Trzeba zidentyfikować zwłoki.

– Ja go przecież kochałam – powiedziała to już do siebie, bo wszystko stało się jasne. – A jak to się stało?

– Badamy sprawę. Zabezpieczyliśmy ślady.

– Jakaś prozaiczna przyczyna? Mówiąc dokładniej, coś, co się odczuwa z nagłą siłą? Co się szybko wzmacnia i jeszcze szybciej staje się nieznośne? Aż staje się do zniesienia? Wtedy przyjeżdżacie wy?

– Pewnie ma pani rację, ale musimy to opisać dokładniej.

– Ze szczegółami?

– Tak.

– Czyli będzie jakiś akt oskarżenia?

– Tego jeszcze nie wiem, ale wiele na to wskazuje.

– Zabójstwo?

– Według mnie skrecono mu kark. Nie mówiłbym pani tego, ale pani pewnie wie, z czego składa się ciało. Chciałbym okazać pani zwłoki.

– Chciałby pan, panie Robercie?

– To złe słowo. Nie mówię już tak dobrze po polsku.

– Jego ciało składało się głównie ze skóry i kości. I ataku zmarszczek. Wargi miał spękane. Uszy duże. Zielonkawę. Jak próbował pozbierać myśli, to masował sobie czoło, a robił to na tyle często, że nad brwiami porobiły mu się takie luki jak u myszki Miki. I pocierał często skronie, przez co włosy ma troszkę wytarte.

– Dobrze go pani opisała. To on. Ale musimy doko-
nać okazania. Nie może być żadnych wątpliwości. Jak się
nazywał?

– Teraz mówi pan do mnie w czasie przeszłym.

– Taką mam pracę. Badam tylko to, co się już
wydarzyło.

– A w życiu prywatnym?

– Nie mogę o tym mówić.

– Proszę powiedzieć.

– Nie mogę.

– Pan coś ukrywa.

– Nie, ale nie mówię o tym nikomu.

– Co to takiego, panie Robercie?

– To zupełnie inna sprawa.

– Proszę mi powiedzieć.

– Nie mogę.

– W takim razie to może być tylko jedna rzecz.

– Tak?

– Ktoś inny mógłby chcieć przemilczeć gwałcenie
kobiet, ale nie pan.

– Nie gwałcę kobiet.

– Wiem. I wiem, o czym nie chce pan mówić.

– Chcę teraz umówić się tylko na okazanie zwłok.

– Pokój, w którym pan śpi, przypomina wagon
kolejowy?

– Coś w tym rodzaju.

– Kładzie się pan spać w odświętnym nastroju?

– Nie powiedziałbym tak.

– Koledzy piją, ale pan nie pije zbyt wiele?

– Nie mam zbyt wielu kolegów. Piję sam.

– Pan stara się, żeby powiodła się panu rzecz
niemożliwa?

– Właściwie się nie staram.

– Tak, to złe słowo. Pan próbuje zrobić coś, czego nie da
się zrobić?

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Oj nie, nie chodzi mi o to, że pan, tak jak koledzy
z pracy, myśli czasami o tym, żeby sobie zaszyć dupę i prze-
stać pić.

– Nie myślę o tym wcale. Nie ma takiej potrzeby.

– I wstaje pan chwilę przed budzikiem albo nawet
nie używa pan budzika?

– Nie używam.

– Wiem. Do pana to dociera, bo pan się nad tym
zastanawia.

– Nad czym?

– Jak zrobić coś, czego nie da się zrobić.

– Co?

– Napisać dobrą powieść po polsku. Prawdziwą dobrą
powieść.

JACEK BIERUT

– prozaik, poeta, dramaturg, autor pięciu powieści (*PiT, Spojenia, Hajs, Pornofonia, Powstanie Grudniowe*), tomu opowiadań (*71*), pięciu tomów wierszy (*Igła, Fizyka, Frak człowieka, Kocia wiara, Folie*) i tomu dramatów *Pestka mandarynki i inne dramaty*, a także tomu esejów *Przesieka*. Laureat nagród literackich. Jego książki były nominowane do nagród Silesius, Angelus i innych. Laureat I nagrody Strefy Kontakt 2019. Współredaktor opracowania literatury dolnośląskiej po 1989 roku *Rozkład jazdy* i redaktor dwujęzycznej (polsko-ukraińskiej) antologii poezji wrocławskiej i podwrocławskiej *Nielegalny prąd*. Założyciel wydawnictwa j i dziennika literackiego w internecie (wydawnictwoj.pl). Eseista, krytyk literacki, tłumacz, redaktor, wydawca.



fol. prywatne archiwum autora

Marcin Hanuszkiewicz

Rozwibrowanie przeciwności

Gdy mrówka zatrzymuje się przed nitką ślimaczego śluzu rozciągniętą między dwoma kępkami mchu, przywilejem człowieka jest dostrzec w tym egzotycznie opancerzonego podróżnika, który – posłany z misją w dalekie krainy – przedostać się musi na drugą stronę półprzeźroczystego, półopalizującego mostu.

Tym więc, co człowiekowi przysługuje, jest możliwość otwarcia się na inny – mityczny lub symboliczny – wymiar zjawisk i wrażeń zakotwiczonych w tym świecie. W przeciwnym wypadku podróż, zmiana fizycznego położenia, nie mogłaby być metaforą wewnętrznej przemiany.

Jako że podróż stanowi jednak taką metaforę, T. S. Eliot mógł w wierszu *Podróż Trzech Króli* stworzyć obraz wielkiej, albo i największej, przemiany.

Naszukujemy szybko kontekst.

Podróż Trzech Króli powstała jako pierwszy z tzw. „wierszy Ariela”, od których rozpoczął się w poezji Eliota chrześcijański zwrot. Składające się na ten cykl utwory ukazywały się w publikowanej na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku serii ilustrowanych broszur poetyckich, które miały pełnić również funkcję swoistych kartek bożonarodzeniowych.

Znamienne, że Eliot właśnie na motywie trzech mędrców oparł utwór, w którym dał wyraz swojemu nawróceniu. Przyniósłszy dary tajemniczemu, nowemu królowi, pokłon oddali tak naprawdę przed Bogiem, stając się w pewnym sensie pierwszymi nawróconymi spośród pogan. Eliot sięga tu więc do źródłowego obrazu człowieka, który – niejako ku własnemu zaskoczeniu – odnajduje u kresu jakiejś wędrówki, zewnętrznej bądź wewnętrznej, właśnie Chrystusa.

Przejdźmy teraz do samego tekstu (który cytować będę w tłumaczeniu Artura Międzyrzeckiego).

Oto jeden z trzech mędrców, będąc w podeszłym już wieku, opowiada o pamiętnej podróży. Słyszymy oczywiście o przeciwnościach: o niesprzyjającej pogodzie i zajechnych wierzchowcach, o chciwych przewodnikach i niegościnnych stronach, w których wędrowcy tęsknili do „Letnich pałaców i tarasów na wzgórzach, / Jedwabnych

dziewcząt roznoszących sorbet”; słyszymy o podszeptach męczących ich podejrzeniem, „Że wszystko to szaleństwo”.

Słyszymy jednak także o cudownym odnalezieniu drogi w dolinie pełnej symboli, których mędrcy wprawdzie nie znali, ale które nas, słuchających tego dziś, odwołują do późniejszych wydarzeń Ewangelii, pozwalając nam spojrzeć na nie z perspektywy prorocstwa, wyjętej spod prawa czasu. Słyszymy wreszcie, że mędrcy odszukali, „ani o chwilę za wcześnie, / To miejsce, rzec by można, zadośćuczynienia” – zadośćuczynienia zarówno trudom wędrówki, jak i danym w prorocztwach znakom.

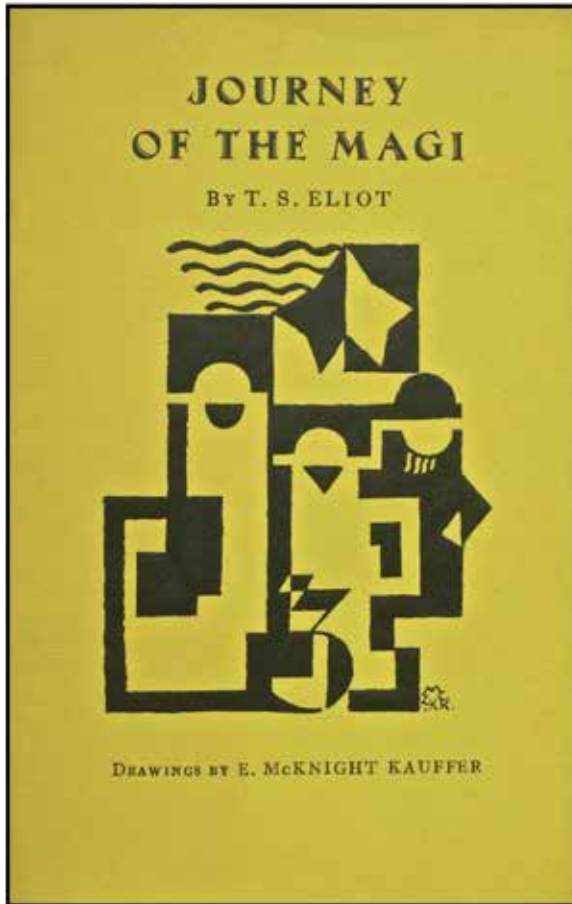
Przechodzimy do końcowej, najważniejszej części wiersza, gdzie zasugerowana jest – poprzez ukazanie przemiany, jaka zaszła w opowiadającym magu na skutek wyprawy – głębia doświadczonego w jej punkcie kulminacyjnym zdarzenia.

Słyszymy, że chociaż od wspomnianych wydarzeń upłynęło wiele lat i że choć mędrzec zrobiłby to wszystko ponownie, to nie zdołał on nigdy jednoznacznie „rozstrzygnąć: / Czy cała ta podróż prowadziła nas / Do Narodzin czy Śmierci?” Ponieważ „te Narodziny były dla nas / Ciężkim i gorzkim konaniem”, nie dało się już po powrocie „do rodzinnych Królestw” odnaleźć „spokoju w prawach dawnej wiary, / Wśród obcych ludzi trzymających się swoich bóstw”.

Mędrcy nie byli już u siebie wśród niegdysiejszych pobratymców. Wrócili co prawda do „Letnich pałaców i tarasów na wzgórzach”, ale nie mogli uczestniczyć w wyznawanym tam porządku świata. Widzieli przecież, jak ten porządek umiera – sami umarli o tyle, o ile stanowili część tego porządku.

Jest zatem w wierszu Eliota poziom, na którym uchwycona jest złożoność nawrócenia, trudność wiążąca się z tą przemianą, dojmująca tym bardziej, im głośniejsze są głosy powtarzające, „Że wszystko to szaleństwo”.

Eliot dotyka jednak w *Podróży Trzech Króli* czegoś jeszcze głębszego, bliższego esencjonalnej tajemnicy. Stary astrolog kończy swą opowieść, mówiąc: „Uszczęśliwiłaby



mnie inna śmierć”. Ale nie chodzi tu tylko o przecucie, że ani śmierć, ani narodziny nie znaczą tego, co sobie onegdaj wyobrażał, i że w związku z tym „inna śmierć” to tak naprawdę nadzieja na inne narodziny, na inne Królestwo.

Co roku w okresie świąt Bożego Narodzenia kościoły rozbrzmiewają pieśnią, w której przyjście na świat Chrystusa opisane jest serią oksymoronów. „Bóg się rodzi”, chociaż nie jest stworzeniem. Jest „nieskończony”, ale „ma granicę”. Ten, którego nawet prorocy nie oglądali w swych wizjach twarzą w twarz, jest „obnażony”. Wzgarda obraca się w chwałę i nicują się żywioły: „moc truchleje”,

„ogień krzepnie, blask ciemnieje”. „Śmiertelny” wiecznie królować będzie.

W tym samym ciągu sprzeczności stoi niepewność „Narodzin czy Śmierci”, której doświadcza u Eliota mędrzec. Ten sam ciąg widzimy już u samego Izajasza, gdy prorokuje on nadejście niewinnego, a obwinionego. Wszystko to odnosi się do Słowa, w którym rozwibrowaniu ulegają po ludzku rozumiane przeciwieństwa i którego sens – skandalicznie niezgodny z filozoficznymi zasadami tożsamości i niesprzeczności – dochodzi do nas drogą oksymoronów: dziewiczej matki, cielesnego wyrazu oraz obietnicy

wiecznego życia złożonej poprzez pojedynczą śmierć; śmierć, która po dziś dzień odcisnięta jest na ludzkiej podświadomości paradoksalnym symbolem rąk wzniesionych jak gdyby w uniwersalnym geście potęgi, ale przybitych przeciw do krzyża.

Krótko mówiąc, Eliot nie tylko osiąga w *Podróży Trzech Króli* poetycką intensywność, która jednoczy metaforę z jej empiryczną podstawą, tworząc w tym przypadku obraz podróży tożsamej z przemianą; poeta odnosi ponadto ów obraz do gruntowniejszego przeistoczenia i znajduje tym samym punkt styczny między porządkiem ludzkim a boskim: przemiana mędrców zbiega się ze zmianą dokonywaną w naturze rzeczywistości. To w takich właśnie punktach widoczne się staje, że jeśli zdarzenia w świecie rezonują z człowiekiem w jakiś esencjonalny sposób, to gwarantuje to siła wyższa, której ingerencja czyni zbieg okoliczności spłotem nieskończoności.

I oto docieramy do sedna, bowiem uwypuklenie styczności porządku ludzkiego z boskim w *Podróży Trzech Króli* oferuje odpowiedź tam, gdzie w *Ziemi jałowej* trwać mogło jedynie bezpłodne pytanie zgoła innego króla: „Kiedyż na ziemiach moich zaprowadzę ład?”

Sprawa jest o tyle istotna, o ile przedstawiony tam przez Eliota obraz człowieka próżnującego w zrujnowanym, odczarowanym świecie nie stracił niczego ze swej aktualności. Przeciwnie, nietrudno odnieść wrażenie o profetycznym charakterze tego (przełożonego przez Czesława Miłosza) obrazu: „Jakie korzenie tu tkwią, jakie gałęzie rosną / Z tych kamiennych rumowisk? O synu człowieka, / Rzec nie potrafisz ni zgadnąć, bo ty znasz jedynie / Stos pokruszonych obrazów, i słońce tam pali, / I martwe drzewo nie daje schronienia, ulgi świerszcz, / Ni suchy kamień dźwięku wody”.

Istotnie, od zatrutego powietrza przez tonące w halasie miasta po wypełniające się syntetycznymi cząstkami organizmy – rozmaite zanieczyszczenia penetrują wszystkie środowiska, a wielu ludzkich serc nie krzepią już symbole, które roztrzaskano w imię racjonalnego postępu. Jest wszak zbrodnią przeciwko oświeconemu rozumowi przekonanie, jakoby życie miało mieć obiektywny, płynący z jakiegoś tajemniczego i ponadludzkiego źródła sens.

Eliot nie poprzestaje jednakże na opisie uwiedłego świata. Służąca za rdzeń poematu arturiańska legenda daje nam również wskazówki co do przyczyn odmalowanego w nim marazmu. Królem, który wzdycha nad panującym na jego ziemiach nieładem – samemu „Łowiąc ryby, z jałową równiną” za plecami – jest bowiem Król Rybak. Legenda tej postaci zmieniała się na przestrzeni wieków, ale najbardziej interesują nas w tym momencie dwa kluczowe, powtarzające się w różnych wersjach opowieści elementy: motyw ziem jałowięjących na skutek rany, choroby lub impotencji ich władcy¹ – czyli Króla Rybaka właśnie – oraz motyw rycerzy podróżujących w poszukiwaniu sposobu, aby uzdrowić władcę, a w konsekwencji – jego ziemie; w niektórych późniejszych, schryścianizowanych interpretacjach poszukują oni Świętego Graala, kielicha krwi Chrystusowej.

Tragizm wprowadzony w tę historię przez Eliota polega zatem na tym, że do bezradnego króla łowiącego „w zatęchłym kanale” „za wieżą gazowni” nie przybyli – zdaje się, że nigdy – żadni rycerze.

Zbierając więc wszystkie wątki, sytuacja rysuje się następująco.

Centralna metafora wędrówki i przemiany w *Podróży Trzech Króli* dramatyzuje człowieczeństwo jako dążenie ku sensowi, który wychodzi człowiekowi naprzeciw, podczas gdy odpowiedzialny za *Ziemię jałową* Król Rybak – o którego podróżujących rycerzach nie słyszymy ani słowa – obrazuje stagnację, niemożliwość przemiany; on siedzi z wędką w ręku, a świat wysycha wokół niego i osuwa się w nierzeczywistość: „Nic niczym uwieńczę, / Z niczym połączę / Nic”.

Ta pustka brzmi aż nazbyt znajomo. Powyższy cytat to wszak nihilizm w pigułce – w zatrutej pigułce – a czy naszej epoki nie przesycą właśnie nihilizm w miękim, udomyślnionym wariacie? Czy rzeczywistości nie odmawia się znaczenia, skazując wyobcowane jednostki na taplanie się w rozproszeniach, w których albo się grzęźnie, albo od których przechodzi się – wskutek rozczarowania – do wymyślanego ciągle na nowo absurdu? „Nic niczym uwieńczę”, przebierając się za drobinę pyłu dryfującą w obojętnym ogromie, pozbawioną znaczenia w równie

1 Celtycki korzeń legendy wiąże wyjałowienie ziem z klątwą nałożoną na władcę w odpowiedzi na jego transgresję. Co ciekawe, inną postacią wpłątaną przez Eliota w tekst *Ziemi jałowej* jest Tejrezjasz, ślepy wróżbita, który pojawia się między innymi w mitach tebańskich jako ten, który wiedział, że za spadające na tebańczyków klęski odpowiadają władcy sprzeciwiający się nakazom bogów.

bezsensownym i losowym wszechświecie; „Z niczym połączę / Nic” – i wyobrazę się sobie szczęśliwym.

Z tych oto bezdroży, na które nieuchronnie prowadzą drogi tego świata, swą drogę ucieczki wytycza – idąc po śladach Trzech Króli – Eliot.

Możemy na koniec wyobrazić sobie, jak wyznaczoną tak ścieżką rusza również, głuchy wreszcie na głosy powtarzające, „Że wszystko to szaleństwo”, Król Rybak. A kiedy odnajduje on „To miejsce, rzecz by można, zadośćuczynienia”, jego opustoszałe dotąd serce wypełnia się niepojmowalnym

sensem wibrującym między rozciągniętymi od początku do końca – między Alfą i Omegą – przeciwieństwami.

Konfrontacja z takim sensem, sensem niemieszczącym się ani „w prawach dawnej wiary”, ani w normach nowoczesnego świata, przemienić może umarłego za życia – którego obrazem jest łowiący od wieków, zapętlony w jałowych czynnościach Król Rybak – w żyjącego poprzez śmierć.

MARCIN HANUSZKIEWICZ

– w sercu mistyk, z konieczności opowiadacz wielofunkcyjny. W konkursach wyróżniany, ale nie zwycięski. Autor gry tekstowej *rzygowiny czarny pałac*. Prowadzi otwarte spotkania literackie „Tchnienie” w Bielsku-Białej. Publikował wiersze w czasopiśmie i antologiach. Eseistykę oraz analizę uprawiał na łamach „Frondy Lux”, „Projektora” i innych pism. Jego kolaże ukazywały się między innymi w „Always Crashing” i „ctrl + v”, a utwory z gatunku *spoken word* znalazły się w audionumerze „Magazynu Malkontenty” oraz na składance remiksowej płyty eh hahah pt. *Remixed: And The Weather So Breezy, Man, Why Can't Life Always Be This Easy?*.

Krzysztof Puławski

Słonik na podstawie bajki *The Elephant Child* Rudyarda Kiplinga

Dawno, dawno temu słonie nie miały trąb, tylko zwykłe nosy. Żył sobie wówczas pewien Słonik, który lubił wtykać ten swój zwykły nos w sprawy innych i ciągle zadawał pytania. Zwierzęta początkowo mu odpowiadały, ale potem zaczęły się niecierpliwić. A Słonik ciągle pytał: dlaczego? po co? jak? kiedy? I: o co w tym wszystkim chodzi?

Pytania krążą wciąż w mojej głowie,
Kto je wyjaśni? Kto mi odpowie?
Skąd tu te drzewa? I jak się zwa?ą?
Ten świat jest taki ską... ską... ską...

Pytania krążą wciąż w mojej głowie,
Kto je wyjaśni? Kto mi odpowie?
Co robią gwiazdy? I gdzie w dzień są?
Ten świat jest taki ską... ską... ską...

Pytania krążą wciąż w mojej głowie,
Kto je wyjaśni? Kto mi odpowie?
Dlaczego mama jest mamą mą?
Ten świat jest taki ską... ską... ską...

Pytania krążą wciąż w mojej głowie,
Kto je wyjaśni? Kto mi odpowie?
Skąd deszcz się bierze? A skąd znów grom?
Ten świat jest taki skom... skom... skom...

– Skomplikowany? – Domyślił się wreszcie tata Słonika i powiedział mu, żeby poszedł się pobawić gdzie indziej, do dżungli, na sawannę, jak najdalej, najlepiej tam, skąd w ogóle nie będzie go słychać.

Słonik chciał spytać jeszcze, skąd nie będzie go słychać, ale kiedy zobaczył minę taty, zrezygnował. Na początku wahał się, dokąd ma iść, ale ponieważ nie bardzo miał kogo zapytać, ruszył przed siebie, w stronę bambusowego gaju. A w głowie wciąż krążyły mu przeróżne pytania, dlatego zaśpiewał:

Pytania krążą wciąż w mojej głowie,
Kto je wyjaśni? Kto mi odpowie?

Skąd tu te drzewa? I jak się zwa?ą?
Ten świat jest taki ską... ską... ską-pli-ko-wany.

Szedł i śpiewał. A kiedy skończył piosenkę, zaczął zadawać pytania napotkanym zwierzętom. Kiedy spytał Małpę, dlaczego skacze po drzewach, ta rzuciła w niego kokosem. Spytał więc Strusia, dlaczego ma pióra w ogonie, a ten schował głowę w piasek. Spytał Pytona, dlaczego nie ma nóg, zaś ten odpełził gdzieś, tylko coś sycząc. Słonik zatrzymał się w końcu, bo nagle poczuł, że ma naprawdę ważne pytanie, i dlatego wypowiedział je bardzo, bardzo głośno:
– Co je Krokodyl na śniadanie?!

W bambusowym gaju i na sawannie nagle zapanowała cisza. Nawet te zwierzęta, które nie zważały na pytania słonika i zajmowały się swoimi sprawami, teraz zamarły. Umilkły nawet gadające papugi. Surykatki pochowały się do swoich norek. Ale słonik w ogóle nie zwrócił na to uwagi, tylko zaczął śpiewać:

Co je krokodyl na śniadanie?
– Ciekawi mnie to nieslychanie,
Czy owoc mango, czy jajecznicę?
Chcę poznać jego tajemnicę.

Co też krokodyl taki jada,
Gdy wstaje rano, żeby śniadać?
Czy płatki z mlekiem? Czy kaszkę mannę?
– Ja wątpliwości mam nieustanne.

Co na śniadanie krokodyl jada,
Muszę koniecznie teraz zbadać:
Czy pęk bananów? Czy sitowie?
Zaraz się tego szybko dowiem.

Rozejrzał się wokół, ale nikt nic mu nie chciał powiedzieć. Prawdę mówiąc, nikogo nie było widać. Słonik miał wrażenie, że został sam jak palec, i dlatego postanowił osobiście pójść nad wielką rzekę i się tego dowiedzieć. Trochę się bał, więc żeby dodać sobie otuchy, zanucił ot taką pioseneczkę:

W drogę,
Wyruszę w drogę
Postawię prawą, potem lewą nogę.

Za chwilę,
Już za chwilę
Wyruszę, by się spotkać z krokodylem.

Tak zrobię,
Tak właśnie zrobię,
A on na pewno wszystko mi opowie.

W drogę,
W drogę wyruszę,
Bo w końcu krokodyla poznać muszę.

Droga.
Za nogą noga
– Tak właśnie się zaczyna ta przygoda.

Słonik nie bardzo wiedział, dokąd iść, ale po drodze natknął się na zawiązanego w supel Pytona. Spytał go, dlaczego jest związany w supel, a Pyton jedynie zaszczał ze złością, lecz kiedy Słonik pomógł mu się rozsuplać i spytał, gdzie znajdzie krokodyla, Pyton pokazał mu ogonem kierunek. A potem się zamyslił, podrapał się końcem ogona po głowie i mruknął: „Oj, będą kłopoty”.

Słonik jednak w ogóle go nie słuchał, tylko pognał we wskazanym kierunku i – sądząc ze wskazań słońca – już po kwadransie stanął nad brzegiem rzeki Limpopo.

Przez chwilę patrzył na jej spokojne fale. Zanurzył nawet stopę w wodzie, ale wydała mu się ona zbyt mokra na kąpiel. Zresztą nie przyszedł tutaj po to, żeby się bawić – miał przecież ważny cel.

Wreszcie zobaczył Krokodyla, który najwyraźniej miał inne zdanie na temat wody i kąpeli. Słonik przywitał się i starał się nawet przez jakiś czas rozmawiać z nim o pogodzie, ale w końcu nie wytrzymał i spytał go, co je na śniadanie. Krokodyl poprosił go, żeby się zbliżył.

– Mam kiepski słuch – wyjaśnił.

Słonik zbliżył się i powtórzył swoje pytanie.

– Jeszcze bliżej. . .

W tym momencie na brzegu pojawił się Pyton i zawoła, żeby Słonik uciekał. Krokodyl złapał jednak Słonika za nos i zaczął ciągnąć.

– To boli! – zawołał przestraszony Słonik.

Nos zaczął się wydłużać, ale Słonik mimo bólu też ciągnął. Nos robił się coraz dłuższy, lecz Słonik się nie poddawał. Kiedy brakło mu sił, pomagał mu Pyton. Razem udało im się wyrwać sponiewierany nos Słonika z zaciśniętej paszczy Krokodyla, który, bardzo niezadowolony, popłynął sobie dalej, mrucząc: „I znowu śniadanie mi uciekło!”.

Z oczu słonika zaczęły płynąć łzy. Chlipał, ale jednocześnie zanucił sobie pod. . . hm, nosem:

Już wiem, co jeść krokodyl może!
– Wszystko się mogło skończyć gorzej,
Wszystko się mogło skończyć źle,
Bo na śniadanie mógł zjeść mnie!

Słonik zerknął na lustro rzeki, żeby upewnić się, że nie ma tam już Krokodyla, i zobaczył swój nos. Aż usiadł z przerażenia.

– To ja?! – zapytał rozżalony.

Zaczął narzekać na to, że jest taki brzydki, i powiedział, że zostanie tu i poczeka, aż nos mu się skurczy. Że nie może mieć przecież takiego długiego nosa.

Pyton popatrzył na swoje wydłużone ciało.

– Hm, niektórzy nie wiedzą, co jest naprawdę dobre – stwierdził.

Słonik na moment przestał płakać, a w jego oczkach znowu pojawiła się ciekawość.

– To powiedz przynajmniej: dlaczego nie masz nóg? – zapytał płaczliwie.

Ale Pyton wyjaśnił, że nie odpowiedział na to pytanie, bo nie ma pojęcia, jak brzmi właściwa odpowiedź, a wstyd mu się było przyznać. Słonik tylko pokręcił głową i znowu popatrzył na swoje odbicie w wodzie. Ba, nie było to wcale konieczne. Wystarczyło, że zrobił tylko lekkiego zezą, a już widział ten swój przekłety dłuugi nos, a prawdę mówiąc to nawet

dł

u

u

u

u

u

u

u

u

gi

nos.

– Trąbę – poprawił go Słonik. – Specjalnie sobie wydłużyłem. . .

I znowu popatrzył, lekko zezując, na swój nos. Nagle przyszło mu do głowy, że na świecie jest jednak całkiem miło i że dawno tak dobrze się nie czuł:

Żyrafa ma tylko długą szyję,
I z taką szyją jakoś żyje,
Zaś długie nogi ma antylopa
I może sama siebie kopać,
A ja mam za to długi nos,
Taki mój los, wspaniały los.

Pyton ma długie. . . sam już nie wiem,
Ot, ma długiego samego siebie,
Zaś rajski ptak ma długie pióra,
I z trudem leci przez to w górę,
A ja mam za to długi nos,
Taki mój los, wspaniały los.

Małpa ma bardzo długie łapy,
Żeby do krwi się nimi drapać,
Długie rozmowy mają papugi
I plotą bzdury jedna drugiej,
A ja mam za to długi nos,
Taki mój los, szczęśliwy los.

Nagle w gaju wybuchł pożar. Zwierzęta zaczęły uciekać przerażone. Małpa chciała uciec na drzewo, ale Struś powiedział jej, że drzewo też się spali, a w dodatku z jego jajka zrobi się jajecznicza. I że najlepiej byłoby schować się do dziury z wodą, bo woda gasi ogień, ale dziura jest za mała.

– Nic nas nie obroni przed ogniem! – biadał przerażony Struś.

Słonik myślał przez chwilę, co jakiś czas zezując na swój nos, czy raczej trąbę.

– Woda może nas obronić? – powtarzał. – Woda może nas obronić?

I to było pierwsze pytanie, na które odpowiedział sobie sam.

Nabrał wody w trąbę i wylał ją na ogień. Jeszcze raz i ogień był ugaszony. Przerażone zwierzęta jeszcze przez moment patrzyły na wszystko, jakby nie rozumiały, co się stało, a potem rzuciły się, żeby podziękować Słonikowi.

– To może teraz odpowiecie na moje pytania – zaproponował Słonik.

Ale Małpa stwierdziła, że nie wie, dlaczego skacze po drzewach, a Struś dodał, że nie wie, dlaczego ma takie pióra w ogonie. I że było im z tego powodu głupio i dlatego się do tego nie przyznawali. A potem oboje spytali Słonika, skąd ma taką wspaniałą trąbę.

– Ja wiem – odpowiedział Słonik. – Ale nie powiem.

Wszystkie zwierzęta prosiły, żeby powiedział, lecz on tylko kręcił odmownie trąbę. W końcu od strony baobabu zaczęli go wołać rodzice i Słonik skinął głową zwierzętom.

– Muszę już iść – powiedział. – Do zobaczenia jutro. I ruszył, nucąc pod nosem:

Jutro spokojny ranek
Mnie obudzi
I obietnicą niespodzianek
Będzie ludzić.

Popatrzę wtedy w niebo niebieskie
I się ucieszę, że tutaj jestem.

Jutro sawanna znowu
Mnie przytuli
I drzewa kolorowe
Od motyli.

Popatrzę wtedy w niebo niebieskie
I się ucieszę, że tutaj jestem.

Jutro otworzę oczy
Wcześniej rano,
Aby na skórze słońce poczuć
Takie samo.

I znów popatrzę w niebo niebieskie,
By się ucieszyć, że jednak jestem.

Magdalena Cyłwik / ZDZ w Białymstoku



KRZYSZTOF PUŁAWSKI

– (1964) anglista, tłumacz, asystent na Uniwersytecie w Białymstoku.

Zajmuje się szeroko rozumianymi problemami przekładowymi, z uwzględnieniem poezji oraz niestandardowych odmian języka angielskiego, głównie Hiberno-English.

Przetłumaczył ponad sto książek prozatorskich z języka angielskiego, w tym takich autorów jak David Lodge, Tracy Chevalier, Raymond Carver, Flann O'Brien, Michael Ondaatje, Bruce Chatwin, E.L. Doctorow czy Joe Biden oraz wiersze Williama Blake'a i Williama Butlera Yeatsa, a także kilkadziesiąt dramatów, w tym Andrew Bovella, Jordana Tannahill, Maxa Posnera i Jeza Butterwortha, oraz piosenki, między innymi Michaela Flandersa i Toma Lehrera.

Tłumacz, jak również autor dramatów, z których trzy ukazały się w „Dialogu” (4/2005, 4/2008, 7–8/2016), z redakcją którego stale współpracuje, a także tomiku poezji *Martwiątka* (Białostocka Kolekcja Filologiczna, 2017) i dwóch tomów prozatorskich: *Mikołajek w szkole Dobrej Zmiany* (dla dorosłych) i *Pan Walczyk w mieście B* (oba: Pewne Wydawnictwo, 2019, 2021). Zbiór wierszy *Martwiątka* uzyskał w 2018 roku nominację do literackiej nagrody Wiesława Kazaneckiego.

Mieszka w Supraślu.



fot. prywatne archiwum autora

Jeremi Siudyła

O księżniczce Janinie, lubelskiej baszcie i strzałach w wąwozie

Dawno, dawno temu na lubelskim wzgórzu urosła baszta. Jej komnaty były okrągłe, schody kręcone, ceglasta skóra gruba, wpuszczająca tylko drobne promyki światła przez małe okna.

W baszcie zamieszkała księżniczka Janina wraz ze swoją dwórką Zosią. Całymi dniami czytały, śpiewały, tańczyły, biegały po schodach i zjeżdżały po krętych poręczach aż do basztowych piwnic. W piwnicach stały wielkie szafy z kolorowymi strojami, była tam biblioteka, dużo miejsca do zabawy i przyjmowania gości. Piękni rycerze przyjeżdżali w odwiedzinach i zabierali panny na spacer po lubelskich wąwozach, a tam bawili się, strzelając z łuku do tarczy.

Czy księżniczka Janina wyszła za mąż za najdzielniejszego rycerza? Czy obie z Zosią żyły długo i szczęśliwie? Lubię wyobrażać sobie, że tak.

A tak naprawdę...

Janina Tyszkiewicz, siostra mojej prababci, była harcerką. Hufcową Związku Harcerstwa Polskiego na Lubelszczyźnie i we Francji, gdzie zakładała polskie drużyny skautowe w latach trzydziestych XX wieku. Była wesołą dziewczyną, z mnóstwem przyjaciół i narzeczonym, który przyjeżdżał konno w odwiedzinach na jej obozy harcerskie.

Wróciła do Polski tuż przed wybuchem wojny. Weszła do służby wywiadowczej Związku Walki Zbrojnej razem ze swoją podopieczną, drużynową Zosią.

Ktoś je zdradził. Zosia została aresztowana przez gestapo 29 marca 1940 roku. Janina dostała wiadomość i pomoc w ucieczce. Nie skorzystała. Nie ukryła się, poszła na gestapo, nie chciała zostawić Zosi samej. Obie znalazły się w piwnicach lubelskiej baszty zamkowej, gdzie były przesłuchiwane, głodzone i torturowane.

Janina nie zdążyła wyjść za mąż za swojego rycerza. Nie zdążyła żyć długo i szczęśliwie. Nie opuściła Zosi, tak jak Stary Doktor Korczak (ten od Króla Maciusia Pierwszego) nie opuścił swoich wychowanków. Janina i Zosia zostały rozstrzelane 29 kwietnia 1940 roku w wąwozie w Rurach Jezuickich.

Czy każda bajka musi się dobrze kończyć? Może szczęśliwe bajkowe zakończenia są nam potrzebne, bo pozwalają na spokojne sny i marzenia? Za to prawdziwe historie dają tym marzeniom siłę i mądrość?

JEREMI SIUDYŁA

– bardzo młody człowiek, odkrywający świat nauki, sztuki i literatury w edukacji domowej. Podróżnik, zaangażowany bywalec muzeów i galerii malarstwa, miłośnik kina niemego, pożeracz książek. Początkujący filmowiec techniką animacji poklatkowej. Autor opowiadań. Laureat I miejsca w konkursie literackim „Opowieści o korzeniach” w ramach programu Narodowego Centrum Kultury „Bardzo Młoda Kultura”.



foto: prywatne archiwum autora



Izabela Chodziutko / ZDZ w Białymstoku